

WIOSNA

KARL OVE KNAUSGÅRD

z obrazami Anny Bjerger



WIOSNA

KARL OVE KNAUSGÅRD
z ilustracjami Anny Bjerger

Z norweskiego przełożyła
Milena Skoczko

WYDAWNICTWO LITERACKIE





JEDEN

Nie wiesz, czym jest powietrze, a oddychasz. Nie wiesz, czym jest sen, a śpisz. Nie wiesz, czym jest noc, a jesteś nią otulona. Nie wiesz, czym jest serce, a jednak bije ono miarowo w Twojej piersi, dzień i noc, dzień i noc, dzień i noc.

Masz trzy miesiące i jesteś niejako spowita rutyną, leżysz na warstwie tych samych nawyków, bo nie masz kokonu jak larwy ani torby lęgowej jak kangury, ani nory jak borsuki, ani gawry jak niedźwiedzie. Masz butelkę z mlekiem, przewijak z pieluszkami i chusteczkami nawilżanymi. Masz wózek z poduszką i kołderką, duże ciepłe ciała swoich rodziców. Otoczona tym wszystkim, rośniesz tak wolno, że nikt tego nie zauważy, a najmniej Ty sama, bo najpierw rośniesz na zewnątrz, dotykając i chwytając to, co znajduje się dookoła Ciebie – dłońmi, ustami, oczami i myślami, które dzięki temu powstają – i dopiero po kilku latach, gdy świat stanie już na pewnych fundamentach, zaczniesz odkrywać tę, która

dotyka i chwyta, i rosnąć również do wewnątrz, w stronę samej siebie.

Jaki jest świat dla noworodka?

Jasny i ciemny. Zimny i ciepły. Miękki i twardy.

Cały arsenał przedmiotów istniejących w domu, cały sens relacji między członkami rodziny, całe znaczenie, w którym są osadzeni ludzie – to wszystko jest niewidoczne, ukryte, nie w ciemności, lecz w świetle tego, co nierozróżnialne. Słyszałem kiedyś, że heroina wydaje się tak fantastyczna, ponieważ wywołuje uczucia spokrewnione z tymi, które odczuwamy jako dzieci, gdy inni opiekują się nami i dają nam poczucie bezpieczeństwa, i właśnie to jest tak wspaniałe. Wszyscy, którzy wprowadzili się w stan odurzenia, chcą przeżyć go znowu, ponieważ wiedzą, że istnieje i jest możliwy do osiągnięcia.

Twoje i moje życie dzieli przepaść. Moje wypełniają problemy, konflikty, obowiązki, sprawy, które trzeba załatwić, naprawić, ustalić, pragnienia, które trzeba zaspokoić, pragnienia, które trzeba odrzucić, być może raniąc czyjeś uczucia, stały strumień spraw, prawie nic nie stoi w miejscu, wszystko jest w ruchu i wszystko trzeba odeprzeć.

Mam czterdzieści sześć lat i tak brzmi wniosek, do którego doszedłem: że życie to zdarzenia, które trzeba odeprzeć. Natomiast w chwilach szczęścia chodzi o coś dokładnie odwrotnego.

Co jest przeciwieństwem odpierania?

Nie chodzi o cofanie się ani o skłanianie ku Twojemu światu ciemności i światła, zimna i ciepła, twardości i miękkości. Nie chodzi również o światło tego, co nierozróżnialne, ani o sen, ani o odpoczynek. Przeciwieństwem odpierania jest tworzenie, budowanie, dodawanie czegoś, co wcześniej nie istniało.

Ty wcześniej nie istniałaś.

Miłość nie jest słowem, którego często używam. Wydaje mi się zbyt wielkie w stosunku do życia, jakie wiodę, w stosunku do świata, jaki znam. A poza tym wyrosłem w kulturze, która ostrożnie odnosiła się do słów. Moja matka nigdy nie powiedziała, że mnie kocha, ja też nigdy jej tego nie powiedziałem. To samo dotyczy mojego brata. Gdybym powiedział mojej matce lub bratu, że ich kocham, byłiby przerażeni. Obarczyłbym ich ciężarem, w gwałtowny sposób naruszyłbym równowagę między nami, prawie tak, jakbym zataczał się na chrzcie dziecka.

Gdy się urodziłaś, nic o Tobie nie wiedziałem, a jednak przepełniły mnie uczucia do Ciebie, najpierw oszałamiające, bo poród jest czymś oszałamiającym, również dla tego, kto patrzy – zupełnie tak, jakby wszystko w pokoju zgęstniało, jakby powstała grawitacja, która przyciąga cały sens, tak że przez kilka godzin sens istnieje wyłącznie tam – potem coraz spokojniejsze, niejako podporządkowane codzienności, rozcieńczone wieloma godzinami nicnierobienia, a jednak zawsze obecne.

Jestem Twoim ojcem. Znasz moją twarz, mój głos i sposób, w jaki trzymam

Cię na rękach, ale poza tym mogę być dla Ciebie kimkolwiek, wypełniony czymkolwiek. Mój własny ojciec, Twój dziadek, który już nie żyje, spędził ostatnie lata ze swoją matką i ich wspólne życie stanowiło gehennę. Ojciec był alkoholikiem w stanie regresji, nie potrafił niczego odpierać, wszystko wypuścił z rąk, tylko siedział i pił. Nie bez znaczenia jest fakt, że robił to u swojej matki. To ona go urodziła, opiekowała się nim, nosiła, karmiła, dbała o to, żeby miał ciepło i sucho. Wiąż, która powstała między nimi, nigdy nie została przerwana. Próbował to zrobić, wiem o tym, ale nigdy mu się to nie udało. Dlatego tam był. Tam mógł się stoczyć. Bez względu na to, jak bardzo to było skarlłowaciale, jak ohydne, była tam również miłość. Gdzieś tam, głęboko ukryta, znajdowała się miłość, bezinteresowna miłość.

Nie miałem wtedy jeszcze dzieci, więc tego nie rozumiałem. Widziałem tylko ohydę, zniewolenie, regres. Teraz to rozumiem. Miłość to bezmiar; większa jej część jest ulotna, związana z tym, co się aktualnie dzieje, z tym, co przychodzi i odchodzi, z tym, co najpierw nas wypełnia, a następnie opróżnia, ale bezinteresowna miłość jest stała, tli się przez całe życie. Chcę, żebyś wiedziała, że urodziłaś się w takiej właśnie miłości i że będzie Cię ona otaczać bez względu na wszystko, dopóki my, Twoi rodzice, będziemy żyć.

Może się zdarzyć, że nie będziesz jej chciała. Może się zdarzyć, że odwrócisz się do niej plecami. I pewnego dnia zrozumiesz, że to nic, że to niczego nie zmienia, że bezinteresowna miłość jest jedyną miłością, która nie zniewala, lecz czyni wolnym.

Zniewala inny rodzaj miłości, nie tak czystej, bardziej związanej z tym, kto kocha; ta miłość ma większą moc, jest w stanie przyćmić wszystko, nawet zniszczyć. Ją trzeba odpierać.

Nie wiem, jak potoczy się Twoje życie, nie wiem, co będzie z nami, ale wiem, jak teraz wygląda Twoje życie i jak nam się obecnie wiedzie, a ponieważ nic z tego nie zapamiętasz, żadnego, nawet najmniejszego szczegółu, opowiem Ci o pierwszej wiośnie, którą spędziliśmy razem. Miałaś cienkie włoski, które pod światło wydawały się rude i rosły nierówno: z tyłu głowy brakowało ich zupełnie, prawdopodobnie dlatego, że ta część prawie cały czas ocierała się o coś: o poduszki i kocyki, kanapy i krzesła, ale i tak wydawało mi się to dziwne, bo przecież Twoje włosy nie są jak trawa, która rośnie tylko tam, gdzie świeci słońce i gdzie powietrze ma swobodny dostęp.

Miałaś okrągłą twarz, małe usta, ale stosunkowo szerokie wargi, i okrągłe, dość duże oczy. Spałaś w łóżeczku ze szczebelkami w jednym końcu domu, z karuzelą pełną afrykańskich zwierzątek wiszących nad Tobą, a ja spałem na łóżku obok Ciebie, bo to było moje zajęcie: opiekować się Tobą w nocy, ponieważ Twoja mama śpi jak zając pod miedzą, a ja śpię jak suseł, mocnym, głębokim snem. Czasem budziłaś się w środku nocy i płakałaś z głodu, ale ponieważ nic nie

słyszałem albo miałem wrażenie, że Twój płacz dobiega z bardzo daleka, w ten brutalny sposób nauczyłaś się, że gdy jest ciemno, płaczem nic nie wskórasz, i zaledwie po kilku tygodniach przespiałaś całą noc, od szóstej wieczorem, gdy kładliśmy Cię spać, do szóstej rano, gdy się budziłaś.

Ten ranek zaczął się jak wszystkie inne. Obudziłaś się w ciemności i zaczęłaś krzyczeć.

Która była godzina?

Szukałem po omacku telefonu komórkowego. Powinien leżeć na parapecie, tuż nad moją głową.

Znalazłem go.

Światło wyświetlacza, nie większe od mojej dłoni, wypełniło niemal cały ciemny pokój delikatną poświatą.

Za dwadzieścia szósta.

– Och, maleńka, jest jeszcze wcześniej – powiedziałem i usiadłem na łóżku. Ruch sprawił, że coś zacharczało w mojej piersi, wywołując kaszel.

Ucichłaś.

Podszedłem do łóżeczka i pochyliłem się nad Tobą, przyłożyłem dłonie do Twoich maleńkich boków i podniosłem Cię, przycisnąłem do klatki piersiowej, z jedną ręką pod karkiem i potylicą, chociaż już potrafiłaś trzymać główkę.

– Hej – powiedziałem. – Wyspałaś się?

Oddychałaś spokojnie, przytulając policzek do mojej piersi.

Zaniosłem Cię do łazienki. Przez okno dostrzegłem wąską smugę światła tuż nad horyzontem na wschodzie, czerwonawą na tle czarnego nieba i czarnej ziemi. W domu panował chłód, noc była usiana gwiazdami i najwyraźniej spadła temperatura, na szczęście suszarka była włączona przez całą noc i odrobina jej ciepła, czasem niemal tropikalnego, wciąż ogrzewała pomieszczenie.

Położyłem Cię ostrożnie na przewijaku wciśniętym między wannę i zlew i znowu zakaszlałem. Flegma oderwała się od gardła, wypłułem ją do zlewu, odkręciłem kran, żeby ją spłukać, patrzyłem, jak leży przyklejona do małej metalowej ścianki odpływu, gładka i gęsta. Woda spływała po jej obu stronach, aż w końcu plwocina powoli zaczęła się odklejać, a potem nagle, jakby z własnej chęci, zniknęła w odpływie. Rzuciłem przelotne spojrzenie na lustro wiszące nad zlewem, na swoją twarz podobną do maski, która się we mnie wpatrywała, zakręciłem kran i pochyliłem się nad Tobą.

Spojrzałaś na mnie. Jeśli o czymś myślałaś, to nie za pomocą słów i pojęć, nie byłaś w stanie sformułować swoich myśli, ale mogłaś coś poczuć. „To on” – może właśnie to poczułaś na mój widok, a twarz, którą rozpoznałaś, wywołała szereg innych uczuć związanych z tym, co i jak robię, kiedy się Tobą opiekuję. Wiele musiało być w Tobie niejasności i otwartości, jak odcienie światła na niebie, ale czasem wszystko musiało zbierać się i stawać czymś wyraźnym

i nieuniknionym, to były te podstawowe odczucia: głód, pragnienie, zmęczenie, chłód lub przegrzanie. Właśnie w takich momentach wybuchałaś płaczem.

– O czym myślisz? – spytałem, żeby odwrócić Twoją uwagę, gdy rozpinalem pierwsze guziki białej piżamki. Ale Twoje usta wygięły się w podkówkę i zaczęły drżeć. Popchnąłem palcem wskazującym ogon jednego z drewnianych samolocików, które wisiały nad przewijakiem, tak że zaczął się obracać. Potem zrobiłem to samo z następnym i kolejnym.

– Nie mów, że znowu dałaś się na to nabrać.

Ale tak właśnie było. Szeroko otwartymi oczami zaczęłaś śledzić to, co działo się w powietrzu. Zdjąłem Ci piżamkę i wrzuciłem ją do kosza na brudną bieliznę. W tej samej chwili rozległy się nad nami czyjeś kroki. To musiała być Twoja starsza siostra, bo najstarsza uwielbiała długo spać, a Twój brat prawdopodobnie wstał już wcześniej. Odkleiliśmy przylepce pieluszki i wyjąłem ją spod Ciebie. Odnosząc pieluchę do kosza na śmieci, poczułem, że jest ciężka, zaskakująco ciężka, zważywszy na fakt, że materiał, z jakiego ją zrobiono, pozwala oczekiwać lekkości. Byłem zadowolony z jej ciężaru, który mówił mi, że wszystko jest w porządku, że Twoje ciało funkcjonuje prawidłowo. Wszystko inne się psuło, od żarówki nad kuchenką, która ponad rok temu zaczęła mrugać, aż w końcu zgasła, chociaż wciąż tkwiła bezużytecznie w swojej obudowie, po samochód, który po przekroczeniu pewnej prędkości nagle zaczął się trząść i został odholowany do warsztatu przez pomoc drogową. Nie mówiąc już o jedzeniu, które jęczało lub pleśniało, guzikach koszuli, które odpadały, zamkach błyskawicznych, które się zacinały, zmywarce do naczyń, która przestała działać, czy o rurze od kuchennego zlewozmywaka, która zapchała się gdzieś w ogrodzie, prawdopodobnie od zastygłego tłuszczu, jak powiedział hydraulik, gdy przyszedł ją naprawić. Za to dziecięce ciała w naszym domu, z zewnątrz gładkie i miękkie, wewnątrz nieskończenie bardziej skomplikowane od jakiegokolwiek maszyny lub mechanizmu, zawsze funkcjonowały idealnie, nigdy się nie psuły ani nie rozpadały na kawałki.

Nałożyłem Ci czystą pieluszkę, poszerzyłem dłońmi otwór w body i przeciągnąłem je przez Twoją główkę. Poruszyłaś rączkami i nóżkami powolnym, gadzim ruchem. Wziąłem Cię na ręce i zaniósłem do kuchni. Niemal jednocześnie weszła tam Twoja starsza siostra, bosą, z oczami wąskimi od snu.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Dobrze ci się spało?

Przytaknęła.

– Mogę ją potrzymać?

– Jasne, bardzo proszę – odparłem. – Ja w tym czasie przygotowuję mleko. Usiądź na ławie.

Usiadła, a ja podałem jej Ciebie. Wlałem wodę do jadowicie żółtego czajnika, wyjąłem butelkę i mleko w proszku, odmierzyłem sześć łyżeczek

i zalałem proszek letnią wodą. W tym czasie Ty wymachiwałaś nóżkami, pół siedząc, pół leżąc na kolanach siostry.

– Chyba jej się podoba – powiedziała i chwyciła Twoje rączki w swoje, które nagle wydały się ogromne.

Twoja starsza siostra miała dziewięć lat i więcej myślała o innych niż o sobie, to była jej charakterystyczna cecha. Często zastanawiałem się, skąd się to wzięło. Była jasną duszą, życie przepływało przez nią, nie napotykała na wiele przeszkód; może to, że nie wątpiła w siebie, nie kwestionowała samej siebie, sprawiało, że bycie nią nie wymagało żadnego wysiłku ani starań, dzięki czemu było w niej więcej miejsca dla innych? Gdy byłem na nią zły i podnosiłem nieco głos, reagowała gwałtownie, zaczynała płakać tak rozpaczliwie, że nie byłem w stanie tego wytrzymać, natychmiast próbowałem cofnąć to, co powiedziałem, najczęściej w jednym z wielu kątów domu, w których chowała się, by oddać się rozpacz. Ale takie sytuacje należały do rzadkości, po pierwsze dlatego, że prawie nigdy nie robiła nic złego, a po drugie dlatego, że konsekwencje były dla niej zbyt bolesne.

– To dobrze – odparłem. Zakręciłem nakrętkę, odchyliłem kciukiem miękki smoczek na bok, żeby mleko nie trysnęło, i potrząsnąłem butelką. Czerwona smuga na wschodzie powiększyła się, kolor nie był już tak intensywny, lecz bardziej rozmyty, a niebo nad nim zbladło. Ziemia, która ciągnęła się płasko we wszystkie strony, nie zaczęła jeszcze odbijać światła, drzewa w ogrodzie również nie, wręcz przeciwnie: w pewnym sensie pochłaniały światło, tak że czerń powoli wypełniła się szarawymi ziarnami napęczniałymi ciemnością.

– Chcesz ją nakarmić? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Ale najpierw muszę iść do ubikacji.

Wziąłem Cię na ręce i zaniósłem do salonu, w którym Twój brat leżał na kanapie przed komputerem i grał w gry. Był rozczochrany i miał na sobie zieloną, za małą pizamę.

– Tu się zadekowałś – powiedziałem. – Od dawna nie śpisz?

– Tak – odparł, nie odrywając wzroku od monitora.

– Wiesz, że rano nie wolno ci grać?

– Tak – przytaknął.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Przeniosłaś wzrok na lampę na regale z książkami.

– Ale nie mam co robić – dodał.

– Możesz czytać – zaproponowałem.

– Nuda.

– Możesz się ubrać – powiedziałem, siadając na kanapie. – Chyba że to też uważasz za nudne?

– No – odparł i się zaśmiał. – Wszystko jest nudne!
Położyłem Cię na swoich kolanach, które uniosłem tak, że niemal siedziałaś,
i spojrzałem Ci w oczy.
Zamachałaś rękami, wydając bulgoczący dźwięk.
– O czym pomyślałaś? – spytałem.



Wpatrywałaś się we mnie intensywnie.

– Wiesz, co będziemy dzisiaj robić?

Miałem wrażenie, że chcesz poruszyć głową, ale ponieważ jeszcze nie miałaś nad nią pełnej kontroli, opadła nieco na bok.

– Odwiedzimy mamę w Helsingborgu – oznajmiłem. – Pojedziemy do niej zaraz po tym, jak odwieziemy Twoje rodzeństwo do szkoły.

– Ja też chcę odwiedzić mamę – powiedział Twój brat i zwinął się w kłębek obok nas. Nie przestawałaś wpatrywać się we mnie szeroko otwartymi oczami. Siadaliśmy tak kilka razy dziennie, to był rodzaj treningu, który narodził się ze strachu, bo gdy byłaś noworodkiem, nie mogłem nawiązać z Tobą kontaktu. Przez pierwszy miesiąc życia prawie cały czas spałaś, a kiedy nie spałaś, odwracałaś wzrok. Nie mogłem sobie przypomnieć, żeby Twoje rodzeństwo zachowywało się podobnie, wręcz przeciwnie: wydawało mi się, że pamiętam, jak spoglądali na mnie zaciekawionym wzrokiem. Tego kontaktu nie mogłem zapomnieć tym bardziej, że gdy ja patrzyłem im w oczy, oni niejako ukazywali się sami sobie. Ich wnętrze przypominało las nieodseparowanych uczuć, a te momenty były jak polana, nagły prześwit. W Twoich oczach tego nie dostrzegałem, byłaś ciągle jakby nieobecna wzrokiem, co mnie niepokoiło. Bałem się, że coś jest nie tak. Podejrzywałem, że masz uszkodzony mózg albo jesteś chora na autyzm. Nikomu o tym nie wspominałem, bo wierzę, że myśl wypowiedziana na głos staje się prawdą. Dopóki jej się nie wypowie, myśl nie istnieje, przynajmniej nie całkiem, a jeśli nie całkiem istnieje, nie zdążyła się zdomowić, a jeśli się nie zdomowiała, może zniknąć.

Innymi słowy: zamykam oczy na to, co nieprzyjemne. A to było bardziej niż nieprzyjemne, to było przerażające.

Nie patrzyłaś na nas.

To trwało miesiąc. Potem powoli sytuacja zaczęła się zmieniać, byłaś coraz bardziej obecna w przestrzeni, nie tylko w sobie. Gdy zaś zauważyłem, że dostrzegłaś samą siebie, a z czasem ujrzałem w Twoich oczach radość, mój niepokój zniknął. Urodziłaś się o miesiąc za wcześnie, może to był powód, może potrzebowałaś tych kilku dodatkowych tygodni. Ale towarzyszące mi przez pierwszy miesiąc przerażenie sprawiło, że bardzo pilnowałem, by do Ciebie mówić, patrzeć na Ciebie, rozmawiać, żartować.

Bałem się, że może chodzić o uszkodzenie mózgu lub autyzm, ponieważ Twoja mama przyjmowała przez pewien czas silne leki, gdy była z Tobą w ciąży. Musiała, a poza tym te leki, które bardzo jej pomogły, były dostosowane do jej odmiennego stanu, więc właściwie nie istniało żadne niebezpieczeństwo, ale żeby mieć absolutną pewność, urodziłaś się na Oddziale Położnictwa Izolacyjnego i przez pierwszy tydzień życia byłaś monitorowana na Oddziale Neonatologii. Nic nie wskazywało na to, żeby coś było nie w porządku, urodziłaś się zdrowa jak ryba,

a mimo to trudno było nie martwić się faktem, że unikasz naszych spojrzeń i odwracasz wzrok, gdy próbujemy nawiązać z Tobą kontakt.

Z drugiej strony wiedziałem, że noworodki są silne i odporne i że byle co nie wytrąca ich z fizjologicznej ścieżki życia, którą kroczą. Na przykład w to, że różne stany umysłu matki mają wpływ na dziecko pływające w macicy, w płynie owodniowym o temperaturze ciała, ani trochę nie wierzyłem. Chociaż dziecko żyje w symbiozie z matką, jest od niej niezależne w tym sensie, że kod genetyczny, według którego się rozwija, jest gotowy od pierwszej chwili. Myślę, że od dawna o tym wiedzano, bo właśnie to wyraża stare powiedzenie, że los człowieka jest zapisany w gwiazdach.

– Wkrótce odwiedzimy mamę wszyscy razem – powiedziałem. – Ale dzisiaj musisz iść do szkoły.

– A co, jeśli nie chcę?

– Wtedy będę musiał cię tam zanieść.

W tej samej chwili przyszła Twoja siostra i usiadła obok nas, miękka i nadal trochę senna.

– Kiedy wrócić do domu, babcia już tu będzie – powiedziałem.

– Naprawdę? – ucieszyła się.

– Tak! – zawołał Twój brat i spojrzał na mnie wyraźnie podekscytowany. – Mogę spać u niej w pokoju?

– Sądzę, że możesz – odparłem. – Ale dzisiaj jest noc Walpurgii, więc połóżcie się spać trochę później niż zwykle.

– Czy babcia pójdzie z nami?

– Nie wiem – odparłem, wstając. – Zajmiecie się nią? Pójdę na chwilę do siebie i napiję się kawy, dobrze?

Twoja siostra skinęła głową. Położyłem Cię na jej ramieniu i wręczyłem butelkę, którą od razu wsunęła Ci do ust.

– Przyjdźcie po mnie, jeśli coś będzie nie tak – powiedziałem i spojrzałem na syna. – Dacie sobie radę?

– Oczywiście – odparła córka, zbyt skupiona na zadaniu, by podnieść na mnie wzrok.

– Przyjdźcie po mnie, jakby co – powtórzyłem i wyszedłem do kuchni, przygotowałem sobie filiżankę kawy, zaniósłem ją na korytarz, wsunąłem stopy w buty i otworzyłem drzwi. Chłodne wiosenne powietrze osiadło na mojej twarzy niczym delikatna błona. Słońce było już nad horyzontem. Płonące pomarańczowe światło, tak wyraźne i skoncentrowane wysoko na niebie, rozproszyła ogromna odległość, tak że tu, na dole, niemal rozpływało się w powietrzu, lekkim i jasnym, i padało na wszystkie powierzchnie, odbijając się od nich w miękkich barwach, z wyjątkiem miejsc, do których promienie słoneczne docierały bezpośrednio, takich jak czubek jabłoni, gdzie rozwinięte do połowy listki błyszczały jak małe lustra.

Przeszedłem przez podwórze do domku po drugiej stronie, w którym urządziłem sobie gabinet, i gdzie mogłem palić. Gdy kupiliśmy tę posiadłość, mieścił się tam warsztat i chociaż zasłoniłem wszystkie ściany książkami, pomieszczenie zachowało taki charakter, trudny do zdefiniowania, zupełnie jakby urządzono je z myślą o ćwiczeniach i aktywności, trochę jak garaż, i ani dywany na podłodze, ani obrazy na ścianach nie były w stanie tego zmienić.

Usiadłem w fotelu w rogu pokoju. Na stole leżał plik kopert z rachunkami, jak wyrzut sumienia, nie potrafiłem się zmusić, żeby je zapłacić, a gdy to w końcu robiłem, było zawsze dawno po terminie, przychodziły ponaglenia i wezwania do zapłaty. Łatwo było temu zaradzić, wystarczyło zapłacić, miałem pieniądze, a jednak przychodziło mi to z ogromnym trudem. Na wierzchu leżał rachunek z Kronofogden^[1]; z nimi nie było żartów: gdybym nie zapłacił, zaraz zjawiłby się komornik. Już nam się to zdarzyło: raz, gdy mieszkaliśmy w Malmö, i raz tutaj.

Ech!

Wziąłem do ręki kopertę, otworzyłem ją, położyłem rachunek na stole, włączyłem komputer, wszedłem na stronę banku, z tylnej kieszeni wyjąłem małe etui na karty i położyłem je obok rachunku, rozglądając się za tokenem. Leżał na książce Williama Blake'a, na półce tuż obok miejsca, gdzie siedziałem. Wsunąłem kartę, wpisałem hasło i kod na stronie banku i przeszedłem do zakładki, z której opłacałem rachunki.

Gdy miałem to już za sobą, wypilem łyk kawy i wziąłem paczkę papierosów leżącą na półce pod Blakiem, na książce Svena Nykvista pod tytułem *Kult światła* i jednej Klausa Manna, której nigdy nie czytałem. Mam te książki od tak dawna i od tylu lat stoją w tym samym miejscu, że łączy nas zażyłość, jaka dużo częściej wiąże człowieka z kwiatami w ogrodzie niż z książkami na półce. Mogłem cieszyć się jednym i drugim: tu rosną lilie, a tu stoją sagi islandzkie, tam rosną przebiśniegi, a tam stoi Jayne Anne Phillips – sięgałem po książkę i zaczynałem czytać, tak jak przynosi się kwiaty do domu i wstawia do wazonu.

Przypomniało mi się, jak pewnego dnia siedziałem przy biurku i pisałem, gdy nagle usłyszałem łomot za plecami. Odwróciłem się gwałtownie. Jedna z książek spadła z półki na podłogę. Ale jak to było możliwe? Przecież stała na płaskiej desce wciśnięta między inne książki. Zaciekawiony, wstałem i podszedłem do regału.

Czy to mogła być sprawka jakiegoś zwierzęcia? Myszy albo szczura?

Nie. Za to w otworze po książce, która spadła, znajdowało się pnące. Pięło się po zewnętrznej ścianie domu, aż dotarło do dachu, gdzie znalazło prześwit pod dachówkami i w samej konstrukcji dachowej, między belkami i deskami, po czym zaczęło płożyć się po ścianie wewnątrz domu, trafiło na regał i zaczęło napierać na jedną z książek, dokładnie na *American Psycho* Breta Eastona Ellisa. Przesuwało ją nieskończenie powoli, milimetr po milimetrze, aż pewnego dnia książka osiągnęła

punkt, w którym zadziałała na nią siła ciężkości, i powieść spadła z hukiem na podłogę z wysokości dwóch metrów.

Nadal uważałem, że to było niesamowite. I trochę przerażające, zwłaszcza ta ślepa siła wzrostu. Gdy później zabrałem się do usuwania pnączy i wyciągnąłem je z ich kanałów jak liny, sążeń za sążniem, odkryłem, że ta część, która rosła pod dachem, była zupełnie biała, jak wszystko, co rośnie w ciemności.

Przechyliłem się i strzepnąłem mały kapelusz popiołu o krawędź filiżanki. Z miejsca, w którym siedziałem, było widać nasz dom, okna jadalni i drzwi, dzięki czemu miałem pewne wyobrażenie o tym, co się tam dzieje. Minuty, które kradłem w ten sposób, pozwalając, by Twoje rodzeństwo się Tobą opiekowało, właśnie tak traktowałem: jak kradzione, nieprzysługujące mi. Wiedziałem, że wszystko będzie dobrze, że nic złego się nie stanie, chodziło więc bardziej o niepokój wywołany tym, jak by to wyglądało w oczach innych, chyba właśnie to mnie męczyło, gdy siadałem wygodnie w fotelu, zaciągałem się powoli, żeby nie wywołać kolejnego ataku kaszlu, wydmuchiwałem dym i piłem łyk kawy. Co by się stało, gdyby ktoś przyszedł i zobaczył, że siedzę sobie tutaj i palę papierosa, podczas gdy moje małe dzieci opiekują się niemowlakiem. Co by o mnie pomyślał?

Zeszłego lata, pół roku przed Twoimi narodzinami, zostałem wezwany na rozmowę do Urzędu Ochrony Praw Dziecka. To było rutynowe działanie, zawsze tak postępowali, gdy zdarzało się to, co przytrafiło się nam, ale nie mogę powiedzieć, że się tym nie przejąłem, nie tylko dlatego, że to było upokarzające siedzieć tam i odpowiadać na pytania dwóch młodych, dwudziestoparoletnich kobiet dotyczące moich dzieci i życia osobistego, ale również dlatego, że czułem wstyd, ponieważ to oznaczało, że my jako rodzina zbliżyliśmy się do strefy, w której osoby postronne mają prawo wtrącać się w nasze sprawy, udzielać nam rad, a nawet ingerować we władzę rodzicielską. Nigdy do tego nie doszło, ale istniało takie ryzyko, taka była najdotkliwsza możliwa konsekwencja tego spotkania.

I dlatego nie zjawiłem się tam taki, jaki jestem, nie pojechałem nieumyty, nieuczesany i ubrany w to, w czym chodzę od tygodni, choć zwykle właśnie tak robię. Tym razem miałem zbyt wiele do stracenia; urzędnicy mogliby sądzić, że dzieciom również pozwalam się nie myć, nie czesać i chodzić w tych samych rzeczach przez kilka tygodni. Nie, tego ranka wzięłem prysznic, umyłem włosy i zęby, włożyłem czyste wyjściowe ubranie, wsiałem do samochodu i pojechałem do miasta.

To było fantastyczne lato, dzień po dniu czyste, błękitne niebo, zero wiatru, upał. Ten dzień nie stanowił wyjątku. Gdy zaparkowałem samochód, miasto było skąpane w słońcu, które odbijało się w maskach aut i dachach, oknach i fasadach, i mimo wczesnej pory na ulicach było mnóstwo ludzi, ubranych w szorty i T-shirty, topy i spódnice, sandały i buty do biegania. Nawet powietrze w cieniu nad

chodnikiem przed funkcjonalistycznym budynkiem, w którym miało się odbyć spotkanie, tuż przy placu, było ciepło i gęste.

Zameldowałem się w recepcji. Poproszono mnie, żebym usiadł i czekał. Jak we wszystkich współczesnych poczekalniach na małym stole piętrzył się stos tygodników i jak w niemal wszystkich, przynajmniej tych, w których sam siedziałem i czekałem – przychodniach lekarskich, szpitalach i warsztatach samochodowych – leżało kilka bezpłatnych gazet. Wziąłem jedną do ręki, spojrzałem na datę, dziennik był sprzed kilku tygodni, ale to nie miało znaczenia, ponieważ wiadomości mają tę dziwną cechę, że są zupełnie puste, nie zostawiają po sobie najmniejszego śladu. Po przeczytaniu ma się wrażenie, że się ich nie czytało.

Do poczekalni weszły dwie młode kobiety. Wstałem i podałem im rękę, poprosiły, żebym udał się z nimi piętro wyżej. Weszliśmy do dużej sali, one usiadły po jednej stronie stołu, ja po drugiej. Położyły przed sobą jakieś papiery i powiedziały, że to rutynowa sprawa, że zawsze tak postępują, gdy wydarzy się to, co wydarzyło się u nas. Odpowiedziałem, że rozumiem, i uśmiechnąłem się do nich, starając się zachowywać na tyle swobodnie i przyjaźnie, na ile to było możliwe. Za oknami znajdował się niewielki park; patrzyłem przez chwilę na nieruchome korony drzew o gęstym listowiu wypełnionym światłem, na przechodzących ludzi, na błyszczące od słońca samochody.

W końcu przeniosłem wzrok na kobiety.

– Czy panie mają dzieci? – spytałem.

– Niestety nie – odparła jedna. Druga potrząsnęła głową i się uśmiechnęła.

A więc nic nie wiedzą, pomyślałem i poczułem rozdrażnienie wywołane faktem, że tak młode osoby będą przesłuchiwać mnie na temat mojej rodziny, chociaż same nie mają żadnego osobistego doświadczenia i nie wiedzą nic więcej poza tym, co wyczytały i usłyszały.

Chciały wiedzieć, co się wydarzyło. Opowiedziałem im.

Potem poprosiły, żebym opisał swoje dzieci. Zrobiłem to, rozpocząłem od najstarszego, potem przeszedłem do środkowego i skończyłem na najmłodszym. Wiedziałem, że chcą się upewnić, że mam z nimi kontakt, że je „dostrzegam”, to, kim są. Starłem się dać tym kobietom to, czego chciały, chociaż wszystko się we mnie buntowało, właśnie dlatego, że same nie miały dzieci i nie mogły skonfrontować moich przeżyć z własnymi doświadczeniami. Poza tym byłem zdenerwowany, nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, wydawało mi się, że to, co mówię, jest niewystarczające i zbyt szczere.

Jedna z nich zdawała się tłumić śmiech.

Czyżbym był śmieszny?

Czy w sposobie, w jaki mówiłem o dzieciach, było coś niewłaściwego?

Nagle moje oczy zaszyły łzami.

Odwróciłem wzrok. Płacz w tych okolicznościach byłby najgorszą rzeczą, jaką mógłbym zrobić. Wtedy napisałyby w swoich papierach „niestabilny” lub „niewydolny wychowawczo”. „Ojciec labilny uczuciowo”.

– Niełatwo je opisać – powiedziałem. – Można by o nich mówić godzinami.

– Rozumiemy – odparła jedna z nich z uśmiechem.

– Kto się nimi teraz opiekuje? – spytała druga.

– Moi przyjaciele, którzy przyjechali z wizytą – odparłem. – Są parą, mają troje dzieci. Troje dorosłych dzieci. Najmłodsze z nich wyprowadziło się niedawno z domu.

– Brzmi nieźle – skomentowała jedna z kobiet. Obie się uśmiechnęły.

Spotkanie nie trwało dłużej niż pół godziny, a jednak wyszedłem z niego wstrząśnięty. Wstrząsające było to, co kryło się w nazwie, to, że dzieci miałyby potrzebować ochrony ze strony kogoś innego niż my. Kto wie, może nawet ochrony p r z e d n a m i.

Odtąd każdy wybuch złości naszych dzieci, każdy bałagan w domu, każdy nieporządek w naszych sprawach przywodził mi na myśl Urząd Ochrony Praw Dziecka, jakbyśmy żyli na krawędzi.

Rozum podpowiadał mi, że tak nie jest, ale wyobraźnia trzymała mnie w szachu. Żyliśmy na krawędzi. Od tamtej pory takie drobiazgi jak wypicie piwa wieczorem były nie do pomyślenia; już sobie wyobrażałem przypadkową wizytę kuratora: jak siedzę z piwem na kanapie, sprawując opiekę nad trojgiem dzieci.

Ale dzieci niczego nie przeczuwały. Czasem myślałem, że moja rola polega na tym, by rozprawiać się z cieniami, tak aby dzieci rosły w świetle. Że unieszkodliwiałem cienie.

A jednak czegoś się domyślały. Niektórych cieni nie udało mi się pochłonąć. Być może sam byłem cieniem dla własnych dzieci.

Wrzuciłem wciąż palącego się papierosa do jednej z filiżanek na stole, w której zgasł, wydając krótki, cichy syk, wstałem i wróciłem do domu.

Gdy chwilę później odprowadzałem dwoje młodszych dzieci do świetlicy, leżałaś w wózku i wpatrywałaś się w jaśniejące, błękitne niebo. Droga wiodła przez podwórze sąsiedniego gospodarstwa, między ogromnym budynkiem z cegły – po części stajnią, po części stodołą – i domem mieszkalnym, który leżał nieco na uboczu, otoczony drzewami, potem biegła lekko w dół, po jednej stronie ciągnęły się pola uprawne, a po drugiej drzewa. Zimą szliśmy w ciemności, daleko od pierwszego światła, które ukazywało się jak blada smuga na horyzoncie – jeśli niebo było bezchmurne, mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się gdzieś w centrum wszechświata, wśród gwiazd i planet – natomiast w ciepłej połowie roku światło wydobywało pola uprawne i drzewa, ziemię i trawę, tym gęstsze i bogatsze, im bliżej było do letniego przesilenia.

Tymczasem w krajobrazie wciąż było widać pewną oszczędność, brakowało

mu tej głębi i obfitości, które przynosiło lato, zieleń drzew była nadal jedynie odcieniem, bo właśnie taki jest kwiecień: pąki, kielki, wahanie, niepewność. Kwiecień znajduje się między wielkim snem i wielkim przeskokiem. Jest tęsknotą za czymś innym, choć to inne pozostaje nieznanne.

Jedną ręką pchałem wózek między budynkami, drugą trzymałem dłoń Twojego brata; miał niecałe siedem lat i nadal potrafił prowadzić swojego ojca, nie zdając sobie z tego sprawy. Twoja siostra szła po drugiej stronie wózka, oboje z tornistrami podskakującymi na plecach. Szczerze mówiąc, chciałem, żeby chodzili do szkoły sami, tak jak ja w ich wieku, ale teraz, w tych okolicznościach, bałem się, że personel uzna, że puszczam je same z lenistwa, że je zaniedbuję, i dlatego każdego ranka odprowadzałem je tych kilkaset metrów do budynku, w którym mieściła się świetlica.

Weszliśmy na niewielkie wzniesienie i spojrzeliśmy na pola uprawne ciągnące się w stronę łagodnych wzgórz widocznych w oddali. Część pól była żółta od rzepaku, część zielona, część w kolorze suchego brązu – te niedawno zostały zaorane. Wszystko błyszczało w świetle nisko zawieszzonego, płonącego słońca.

– O której po nas przyjdiesz, tato? – spytała Twoja siostra.

– Nie wiem – odparłem. – Może o czwartej?

– Tata odwiedza dzisiaj mamę – powiedział Twój brat.

– Tęsknię za mamą – przyznała córka.

– Wiem – odpowiedziałem. – Ona też za tobą tęskni.

– A za mną? – spytał syn.

– Oczywiście, że tak!

Zawsze wiedziałem, że kochają ją bardziej niż mnie albo z większą intensywnością. Była osobą cieplejszą i serdeczniejszą ode mnie i dawała im to, czego ja nie mogłem im dać. Ale mnie również potrzebowały, bo gdy wracałem do domu po kilkudniowej nieobecności, było widać, że oddychają z ulgą, w domu robiło się spokojnie, jakby moja obecność wprowadzała równowagę w ich życie.

Monotonne podskakiwanie wózka sprawiło, że zaczęłaś zamykać oczy, i gdy zatrzymaliśmy się przed żółtym budynkiem, który pełnił również funkcję czegoś w rodzaju kawiarni dla seniorów, spałaś. Zostawiłem Cię w wózku i zaprowadziłem dzieci do środka, żeby pokazać się personelowi. Jedna z pracownic wtoczyła wózek pełen kartonów mleka, jogurtów i płatków śniadaniowych do sali, w której dookoła dwóch stołów siedziało pięcioro, może sześcioro dzieci, czekając na posiłek.

– Dzień dobry! – powiedziałem.

– Dzień dobry! – odpowiedziała.

Twoje rodzeństwo zdążyło już zdjąć buty i kurtki. Twoja siostra przytuliła się do mnie pospiesznie i pobiegła za bratem. Zawsze się zastanawiałem, czy robi to dla mnie czy dla siebie.

– Bawcie się dobrze! – powiedziałem i zobaczyłem, jak opadają na swoje krzeselka i zlewają się niejako z pozostałymi, cichymi jak poranek dziećmi, zrywając ze mną więź. Coś podobnego działo się ze mną, gdy zamykałem za sobą drzwi: dzieci znikwały ze świadomości, potrafiłem o nich nie myśleć przez cały dzień, aż do popołudnia, gdy nadchodził czas, by odebrać je ze świetlicy.

Wciąż spałaś. Odblokowałem stopą hamulec wózka, jedną ręką otworzyłem żelazną furtkę, przepchnąłem wózek, zamknąłem ogrodzenie i ruszyłem wąską asfaltową ścieżką w stronę szosy, którą szliśmy przez jakieś dwadzieścia metrów, po czym skręciliśmy w pełną drogę.

Drzewa na skraju, tworzące coś w rodzaju ściany, stanowiły część niewielkiego lasu, kwadratowego obszaru między dużym osiedlem domów, w których mieszkała większość mieszkańców wsi, a jej starszą częścią skupioną wokół kościoła, gdzie my mieszkaliśmy. W środku zagajnika znajdował się duży, zniszczony, murowany dom przypominający dworek, a tuż obok staw, prawdopodobnie sztuczny; cała posiadłość była ogrodzona, więc chodziło raczej o stary park lub duży ogród niż o las. Było w tym miejscu coś ciemnego i ponurego, ziemia wydawała się grząska, ciągle przykrywał ją cień, ale kiedyś, pomyślałem, kiedyś to miejsce musiało tętnić życiem, to tutaj napływały pieniądze i tutaj były wydawane. Może ta posiadłość należała niegdyś do kościoła? Może była to dawna plebania?

Kilkadziesiąt lat temu we wsi znajdowały się browar i mleczarnia, kilka sklepów i warsztat, bank i poczta, zatrzymywały się tutaj również pociągi, ale gdy rolnictwo zostało zmechanizowane, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, drugi sektor gospodarki padł i ludzie zaczęli się stąd wyprowadzać. Teraz był tu już tylko sklep spożywczo-przemysłowy, ale i on zostanie zlikwidowany, kiedy jego obecni właściciele przejdą na emeryturę, powiedziała mi kiedyś pracownica sklepu. Starą szkołę zamknięto, zanim minął rok od naszej przeprowadzki, a przedszkole miało problemy z utrzymaniem się z powodu zbyt małej liczby dzieci.

Między drzewami niewielkiego zagajnika stał ogromny koń i przyglądał się nam. Szczotki pęcino- we na kończynach sprawiały, że wyglądał, jakby nosił futrzane kozaki. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie patrzę na konia ardeńskiego. Słońce padało na szeroki grzbiet i pulsujące umięśnione boki. Zwierzę obserwowało nas przez chwilę, spokojnie i w zamyśleniu, po czym spuściło łeb i pasło się dalej. Ruszyłem w stronę szczytu łagodnego zbocza, pchając wózek, w którym wciąż spałaś, gdy nagle z domu wyszedł mężczyzna ubrany w kombinezon, minął podwórze i wsiadł do pick-upa. Podniosłem dłoń w geście pozdrowienia, on zrobił to samo. Chociaż byliśmy sąsiadami, nigdy nie zamieniliśmy ze sobą słowa, nie licząc zdawkowego „dzień dobry”. Nic o nim nie wiedziałem. To miało związek z położeniem; jego dom – mieszkał sam? miał żonę? dzieci? – leżał na tyłach naszego i podczas gdy my mieliśmy do czynienia

z drogą od frontu i tym, co ta droga reprezentowała: związek z miastem, a co za tym idzie ze światem, który napływał do nas światłowodami i ukazywał się w obrazach na ekranach naszych telewizorów i komputerów, jego dom leżał na tyłach, zwrócony w stronę pól uprawnych, stanowiących prawdopodobnie źródło jego utrzymania, w rzeczywistości, która znajdowała się poza moim osobistym doświadczeniem, w krajobrazie z jego pradawną strukturą: rozległymi polami i niewielkimi skupiskami domów wokół kościoła. Mieszkaliśmy w samym środku tego krajobrazu i widziałem go każdego dnia: pole za polem, wieś za wsią, kościół za kościołem, a mimo to tęskniłem za nim, czasem z gwałtowną siłą. Za czym tak tęskniłem? Może za tym, żeby być związanym z tym miejscem czymś więcej niż tylko spojrzeniem?

To znaczy ciałem? To znaczy pracą na roli? Tych kilka razy w życiu, gdy to robiłem, marzyłem o tym, żeby jak najszybciej przestać i wrócić do ciepłego domu, do książek lub telewizora.

To nie była do końca prawda. Przez ostatnie lata dość regularnie pracowałem w ogrodzie i po kilku pierwszych godzinach oporu i znudzenia czułem się tak, jakbym przebił się przez mur, wpadałem w rytm i zachowywałem się jak opętany: grzebałem w ziemi niemal do północy!

Ale, mój Boże, cóż to był za ogród!

Ogród był małym sztucznym niby-światem, a natura w nim była niby-naturą, nie istniała w nim żadna konieczność, nic nie powstawało poza zadowoleniem w sercu, które chyba również było niby-zadowoleniem, skoro powstało sztucznie?

Światło wschodzącego słońca sprawiło, że dachówki znajdującego się przed nami budynku gospodarczego połyskiwały czerwono. Drogą leżącą jakieś sto metrów dalej, która biegła przez całą wieś, jechała ciężarówka z przyczepą, wielką jak mały dom. Głęboki warkot silnika zdawał się drzeć w powietrzu, pod skrzeczeniem kawek, które mieszkały w koronach drzew na rogu ponurej posiadłości. Nagle przypomniał mi się charakterystyczny dźwięk wydobywający się z samochodów marki Volvo w latach siedemdziesiątych. Poza warkotem silnika i szumem kół mknących po asfalcie słychać było cienki, przenikliwy, niemal piskliwy dźwięk podobny do dźwięku małego fletu. Gdy szliśmy po kładce dla pieszych nad osiedlem, nie widząc głównej drogi biegnącej mniej więcej dziesięć metrów pod nami, zawsze potrafiłem rozpoznać po odgłosie, czy samochód, który właśnie przejeżdża, to volvo czy nie.

Skręciłem za stajnię, przejechałem przez trawnik, dotarłem do ogrodu na tyłach naszego domu, minąłem furtkę i ustawiłem wózek przed drzwiami, żebym mógł widzieć Cię przez okno. Wszedłem na korytarz i zawołałem:

– Obudziłaś się?

Twoja siostra odburknęła coś w odpowiedzi.

– Musisz wstawać – powiedziałem. – Autobus odjeżdża za pół godziny!

- No...
- Wstawaj!
- Przecież powiedziałam „no”!
- Świetnie! To wstawaj!
- Och, tato, daj spokój!

Wszedłem do kuchni, włożyłem dwa kawałki chleba do tosterka, nastawiłem czajnik, wyjąłem margarynę, żółty ser i opakowanie szynki, położyłem wszystko na tacy i zaniósłem do jadalni. W tym samym czasie Twoja siostra zeszła po schodach, otulona kołdrą niczym peleryną, minęła mnie i weszła do salonu, nie racząc mnie nawet spojrzeniem.

- Chcesz herbaty? – spytałem.
- Nie, dziękuję.
- Już nastawiłem wodę.
- To po co pytasz?

– Sam nie wiem – odparłem i podszedłem do okna, żeby sprawdzić, czy śpisz. Spałaś. Udałem się do kuchni, wyjąłem z pudełka torebkę herbaty, włożyłem ją do filiżanki i zalałem wrzątkiem.

– Chodź i zjedz coś – powiedziałem, gdy przyniosłem do pokoju filiżankę ze spodkiem i postawiłem je przed córką.

- Nie jestem głodna – odparła.
- Musisz zjeść przynajmniej jeden kawałek.

Stałem w drzwiach. Leżała na kanapie przykryta kołdrą. W pokoju panował mrok, słońce wstało po drugiej stronie domu, ale droga, szara i sucha, była gdzieś oświetlona promieniami, które przedarły się między drzewami i żywopłotem, ścianami domu i krzewami.

– Moja panno – powiedziałem. – Autobus odjeżdża za dwadzieścia minut, a ty nawet nie jesteś ubrana.

- Zdążę.
- Jeśli zaraz zaczniesz się ubierać. Twoja siostra śpi w wózku na dworze. Możesz jej przez chwilę popilnować? I powiedzieć mi, jeśli się obudzi?

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Dokąd się wybierasz?
- Do ubikacji.
- Nie pytałam o szczegóły.
- Szczegóły ci daruję.

Widziałem, że stara się ukryć uśmiech.

- Możesz jej popilnować?
- Jasne – odparła, podnosząc się z kanapy. – Ale herbaty nie wypiję.

Wszedłem do łazienki, zamknąłem drzwi na klucz, spuściłem spodnie i usiadłem na desce klozetowej. Biała firana, którą moja matka zrobiła dla nas na

szydełku, była wypełniona światłem. Cień, wyglądający jak długa szyja zakończona małą głową, kołysał się na boki, gdy siki obryzgiwały porcelanę i spływały w kierunku wody zebranej na dnie muszli. Firana zdawała się całkowicie pochłaniać promienie słoneczne, ponieważ białe światło wypływało niejako z samego materiału, jakby było iluminacją. Wszystkie przedmioty, które się tutaj znajdowały, na przykład dwa duże mydła leżące na półce pod przewijakiem, gotowe do użycia przez osobę kąpiącą się w wannie, jedno jasnoniebieskie, niemal turkusowe, drugie w kolorze piasku, wciąż z widoczną nazwą producenta na powierzchni, lub mały stos złożonych ściereczek frotté, leżały nieniekajone, jakby niezależne od światła, tak dyskretne i tak równo rozdzielone w całym pomieszczeniu, że wydawało się niewidoczne, choć to właśnie ono wydobywało wszystko z mroku. Plastikowe butelki z szamponem i balsamem, białe z zielonymi nakrętkami, niebieska, pękata plastikowa torba z pieluszkami, szczoteczki do zębów w kubku na zlewie, czerwone, białe, żółte, zielone, niebieskie. Wszystkie te rzeczy nie tylko znajdowały się w tej konkretnej przestrzeni, lecz ją tworzyły. Można by pomyśleć, że przestrzeń łazienki jest po prostu pustym sześcianem, który został wypełniony przedmiotami, ale ona istniała jedynie w myślach, należała do naszego sposobu myślenia. Wszyscy malarze posiadali tę wiedzę, dlatego jedną z pierwszych rzeczy, których się uczyli, było rysowanie przestrzeni między przedmiotami, a nie samych przedmiotów. Uczyli się, jak tworzyć przestrzeń, by nie zdradzała samej siebie. Nawet łazienka, do której wchodzimy kilka razy dziennie i z którą jesteśmy zżyci bardziej niż z czymkolwiek innym, trzyma się kupy dzięki oczekiwaniu rzeczywistości i jeśli tylko człowiek się wysili i zaneguje tę przestrzeń stworzoną przez wyobraźnię, może stać się czymś o ile nie zdziwałym, to w każdym razie chaotycznym: ohydny zbiór kształtów i wzorów, kolorów i płaszczyzn.

Tylko po co człowiek miałby to robić?

Napiąłem mięśnie brzucha i poczułem, jak kał przesuwają się przez ostatni odcinek jelit, w którym leżał i rósł jak kiełbasa włóczana do osłonki, i wydostaje się na zewnątrz przez odbytnicę.

Najbardziej zwierzęce nie było w tym wcale to lekko tłące się zadowolenie, lecz fakt, że zapach wydawał się przyjemny. Zawsze byłem zdania, że jest w tym coś przedcywilizacyjnego, że nasze własne odchody pachną delikatnie i przyjemnie, natomiast innych obrzydliwie śmierdzą.

Wstałem, oderwałem kawałek papieru toaletowego i się podtarłem. Już miałem wrzucić papier do muszli i spuścić wodę, gdy nagle zobaczyłem, że muszla jest pełna krwi.

Po białej porcelanie ściekała jasnoczerwona strużka, natomiast na dnie krew była ciemniejsza, jakby cięższa.

Krew? I to w takiej ilości?

Krew oznaczała niebezpieczeństwo. Przestraszyłem się.

Ale potem pomyślałem, że co ma być, to będzie.

To była pokrzepiająca myśl.

Rozejrzałem się szybko dookoła, chociaż wiedziałem, że oprócz mnie nie było tam nikogo innego, nacisnąłem przycisk i patrzyłem, jak nowa, czysta woda spłukuje starą, czerwoną i wpycha ją do rury odpływowej. Podciągnąłem spodnie, umyłem ręce i wytarłem je ręcznikiem, który wisiał obok zlewu. Prawdopodobnie to tylko hemoroidy, pomyślałem. Przecież prowadzę siedzący tryb życia, i to od wielu lat. Nie ma się czym przejmować.

Ale zdaje się, że dziadek zmarł na skutek krwawienia wewnętrznego. Sądził, że cierpi na hemoroidy, i nie zgłosił się do lekarza, aż w końcu babcia znalazła go na podłodze w łazience, a po przewiezieniu do szpitala okazało się, że doszło do masywnego krwotoku.

Ale czy on na pewno zmarł z wykrwawienia?

Nie, żył potem jeszcze przez jakiś czas.

W takim razie na co umarł?

Przypomniały mi się słowa babci, gdy opowiadała nam o tym zdarzeniu. Dziadek leżał na podłodze w łazience, słaby, bliski śmierci, czekali na karetkę. W pewnej chwili chwycił babcie za rękę i powiedział, że wybiorą się do ciepłych krajów. Może chciał ją pocieszyć, dodać otuchy, i może babcia ścisnęła jego dłoń i przytaknęła. Ale nam, mojemu bratu i mnie, powiedziała ze śmiechem, że dziadek wybierał się wtedy w zupełnie inne miejsce.

To był trafny komentarz i jestem pewny, że słysząc go, uśmiechnąłem się, ale w środku czułem się lodowaty.

Otworzyłem drzwi łazienki i wszedłem do jadalni, w której Twoja siostra siedziała przy stole, przed talerzem z niedojedzoną kanapką.

– Najwyższy czas! – powiedziała.

– To ty za późno wstałaś, nie ja. Ubieraj się, jeśli mamy zdążyć na autobus.

– Nie obudziła się.

– Dobrze, że śpi na dworze.

– Dlaczego?

– Świeże powietrze. Samo zdrowie. Dziękuję, że jej pilnowałaś.

Wyjąłem z kieszeni komórkę i spojrzałem na wyświetlacz.

– Autobus odjeżdża za jedenaście minut.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam jeść!

– Weź kanapkę ze sobą. Zbieraj się.

Miałem wrażenie, że chce zaprotestować, ale zmieniła zdanie, wstała, ruszyła w stronę łazienki i zamknęła za sobą drzwi na korytarz.

Usiadłem przy stole. Wózek stał w pełnym słońcu, metalowa rączka błyszczała, ale twarz miałaś ukrytą w cieniu, i chociaż w białej czapce, w którą

byłaś opatulona, Twoja głowa przypominała bulwę, nawet wtedy, gdy spałaś, było w Tobie coś szlachetnego, niemal majestatycznego: wyglądałaś tak, jakby świat należał do Ciebie.

Zresztą tak właśnie było.

Poczułem lekkie ukłucie radości w sercu, wstałem, zebrałem talerze, zaniósłem je do kuchni i wstawiłem do zmywarki. Powinienem pójść do lekarza, pomyślałem i wyjrzałem przez okno na ogród, na trawę, która wciąż była bladozielona, na rozsiane niebieskie kwiaty, które mieniły się w trawie pod jabłonią. Ale to była jedna z rzeczy, których nie robiłem. Było w tym coś żenującego: iść do lekarza, żeby dać się zbadać i usłyszeć, że nic złego się nie dzieje.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wmaszerowała Twoja siostra ze szczotką do włosów przy głowie.

– Idziemy – powiedziałem i spojrzałem na zegar w telefonie.

Autobus odjeżdżał za siedem minut.

Odkąd była tak mała jak Ty teraz, Twoja najstarsza siostra chłonęła wszystko, co działo się wokół niej, i już wtedy zastanawiałem się, czy ta jej niesłychana wrażliwość była dodatkiem, czymś, czego miała więcej niż inni, czy raczej brakowało jej tego czegoś, co w przypadku większości ludzi pozwala trzymać świat na dystans. Gdy dużo się działo, gdy byliśmy na dłuższym spacerze w mieście z Twoją siostrą w wózku, potrafiła rozplakać się po powrocie do domu, czasem trudno ją było uspokoić. Gdy trochę podrosła, potrafiła zamknąć oczy i udawać, że śpi w wózku, gdy spotykaliśmy znajomych, albo chowała się, gdy przyjmowaliśmy gości w domu. To były sposoby małego dziecka na odpieranie zdarzeń.

O tak, istnieje ogromna różnica między byciem w świecie, gdy jest się odpornym na płynące z niego bodźce, a chłonięciem wszystkiego, co ze sobą niesie, bez jakichkolwiek zabezpieczeń. Człowiek odporny jest wolny, może robić, co chce i na co ma ochotę. W tamtym czasie widziałem mnóstwo dzieci, które zdawały się wyposażone w emocjonalny strój ochronny, dzięki czemu nie dostrzegały milionów wrażeń, bodźców i pragnień, jakie iskrzyły między ludźmi; bez żadnych oporów rzucały samochodzikami o podłogę, biegly z krzykiem z pokoju do pokoju albo po prostu przebywały w danym miejscu z taką oczywistością, że świeciły jak małe słońca. Twoje rodzeństwo zachowywało się tak tylko w tych miejscach, w których czuło się całkowicie bezpiecznie, gdzie było wiele razy i znało wszystkich. Dla nas oznaczało to wykonywanie tych samych czynności każdego dnia po to, by zapewnić im stabilizację i poczucie bezpieczeństwa.

Nie bez powodu ukuto pojęcie „rodzina nuklearna”^[2]. Bo kiedy Twoje rodzeństwo przechodziło okres buntu, w którym wszystkie uczucia przepływają

swobodnie i każda, nawet najmniejsza rzecz może stanowić przeszkodę nie do pokonania, i kiedy bardzo ważne są stabilizacja i konsekwencja, lub w późniejszych epizodach, kiedy uczucia wymykają się spod kontroli, mogła powstać reakcja łańcuchowa, w której ich działania zazębiały się z moimi i sprawiały, że robiło mi się ciemno przed oczami i wybuchałem w sposób, który był mi obcy od czasów własnego dzieciństwa. Potrafiłem stracić nad sobą panowanie nawet wśród obcych ludzi. Kiedyś w centrum handlowym wrzeszczałem do Twojej starszej siostry: MAM TEGO DOŚĆ! MAM TEGO DOŚĆ!, mogła mieć wtedy dwa i pół roku, przerzuciłem ją sobie przez ramię jak worek i wyniosłem na ulicę. Krzyczała, wrywała się i wierzgała nogami, a we mnie się gotowało. Oczywiście, ludzie się na nas gapili, pozwalałem im na to, w końcu byłem w miejscu, gdzie inni ludzie i ich oceny nie odgrywały żadnej roli. Potem: dziki żal, dzika rozpacz. Jeśli wiedziałem cokolwiek na temat wychowania dzieci, to to, że najważniejsza jest przewidywalność. I że pierwsze lata życia są absolutnie decydujące dla rozwoju osobowości. Więc co ja wyprawiałem? Nie poznawałem samego siebie. Ostatni raz byłem zły, gdy miałem dwadzieścia lat, może trochę więcej. Moja matka powtarzała, że hamuję w sobie agresję, ale myślałem, że mówi tak, ponieważ sama to robiła, bo właśnie tak jest, że najszybciej identyfikujemy u innych te cechy, które nas samych charakteryzują. Ja sam uważałem, że jestem po prostu spokojnym człowiekiem. Nigdy się na nikogo nie gniewałem, nawet gdy miałem ku temu powód, na przykład gdy ktoś mnie upokorzył. Działo się tak, ponieważ zawsze brałem winę na siebie, tłumiliłem wściekłość, kierując ją do wewnątrz, nie dlatego, że chciałem, lecz dlatego, że taki już byłem. Każdy ciąg myślowy, który kołatał się w mojej głowie przed snem, kończył się albo czymś wstydliwym, albo silnym poczuciem winy, a w konsekwencji wyobrażeniem, że strzelam do siebie, trzymając lufę w ustach lub przykładając ją do skroni albo czoła. Starłem się myśleć o czymś innym, ale po krótkiej chwili lądowałem w tym samym miejscu i znowu strzelałem do siebie. To było tak zwyczajne, że nie zwracałem na to uwagi. Gdy w końcu zwróciłem, próbowałem z tym skończyć, ale nie dałem rady: obraz pojawiał się automatycznie. W myślach wsuwałem lufę do ust, przyciskałem do skroni lub czoła, nie byłem w stanie się od tego uwolnić. Tak jak nie byłem w stanie skierować agresji na zewnątrz ani lufy wyimaginowanej broni w stronę innych osób; nawet w myślach nie umiałem pogrozić palcem nikomu innemu, tylko sobie. A dlaczego miałbym to robić? Przecież to nie miało nic wspólnego ze mną.

To było dziwne czuć, jak ogarnia mnie wściekłość, zupełnie jakbym był starym, martwym drzewem, które czuje, jak zaczynają krążyć w nim soki. Moje wyobrażenia o sobie były zupełnie inne. Czy to na pewno byłem ja? Czy to oznaczało, że moja wściekłość pozostawała przez te wszystkie lata uspiona? A może były we mnie uspione również inne uczucia, które miały się ujawnić

w bardziej sprzyjających okolicznościach? Czy kierowały nami okoliczności? Czy to one wydobywały prawdę o nas?

Raz zdarzyło mi się być tak wściekłym, że uderzyłem z całej siły pięścią w poręcz kanapy, powodując jej pęknięcie. Wszystkiemu przyglądały się Twoje siostry, z oczami otwartymi szeroko ze zdumienia.

Dręczył mnie niepokój, że to w nich pozostanie w postaci pęknięć w poczuciu własnej wartości i pewności siebie. Z drugiej strony, było tak wiele dni, tak dużo czasu, który spędziliśmy razem – bez dramatyzmu. Poza tym małe dzieci potrzebują mnóstwa praktycznych rzeczy: trzeba przygotowywać im posiłki, zmieniać ubrania, chodzić z nimi na spacer, do tego dochodzi przedszkole, w którym również obowiązują jasne zasady i panuje spokój, dzięki czemu w środku wewnętrznego chaosu istnieje zewnętrzna równowaga, system, przestrzeń, nadzieja, światło. To działało, Twoje rodzeństwo rosło, a ja lubiłem myśleć, że nie jest im ani gorzej, ani lepiej niż innym dzieciom, bo każda rodzina ma z czymś problem, moja miała, Twoja i wszystkie inne znane mi rodziny również mają; to część naszej rzeczywistości.

Ale być może to były jedynie wymówki, coś, co powtarzałem sobie, żeby się pocieszyć. Bo tak to już jest, że usprawiedliwiamy wszystkie nasze błędy i braki, tworzymy historie, które mają obrócić je na naszą korzyść. Oszukiwanie samego siebie to chyba najbardziej ludzka cecha.

W ciągu tych lat zrozumiałem również, że nie jest tak, jak zawsze myślałem, że dziecko się rozwija, a rodzice pozostają tacy sami, że dziecko dorasta w niezmiennym reżimie; zrozumiałem, że relacja rodzice-dziecko jest bardziej dynamiczna, że dziecko niejako kreuje własne wychowanie. Dzieje się tak, ponieważ dzieci mają różne potrzeby, które są zaspokajane w różny sposób, to tak, jakby myśli i działania rodziców były płynne i dostosowywały się do wymagań dziecka: wypełniały puste miejsca, a przepływały obok tych, które były wypełnione.

Twoja najstarsza siostra była dumna i bojaźliwa, trzymała wysoko głowę i nie sposób ją było przegadać; choć nadal była dzieckiem, miała w sobie ironię człowieka dorosłego, która pomagała jej stworzyć dystans do świata. Gdy tego dystansu było za dużo, należało wzmocnić bliskość, to samo dotyczyło poczucia bezpieczeństwa, bo jeśli polegało ono jedynie na unikaniu wyzwań, utrudniało jej rozwój. Nawet jeśli to się nie działo samo z siebie, to w każdym razie bez planowania; przez tysiące codziennych drobnych poprawek, wprowadzanych po to, żeby wszystko toczyło się możliwie lekko i bez wysiłku, powstawały wzorce, kręgi, sposoby bycia – zarówno u dzieci, jak i u rodziców.

Ale tego roku chodziło wyłącznie o to, by przeżyć.

Podjechałem wózkiem do samochodu, wyjąłem Cię, otworzyłaś oczy, ale się nie rozplakałaś, zresztą prawie nigdy nie budziłaś się z płaczem, patrzyłaś po prostu przed siebie, jakbyś chłonęła to, co działo się wokół, myśląc: „A więc tutaj

teraz jestem”. Odsunąłem boczne drzwi, jedną ręką osłoniłem krawędź, drugą trzymałem Cię mocno i wgramoliłem się do środka, posadziłem Cię ostrożnie w foteliku i zapiąłem pasy. Potem złożyłem wózek i schowałem go do bagażnika, pobiegłem szybko do domu po torbę z pieluchami, wilgotnymi chusteczkami, ubrankami na zmianę i mlekiem, która stała spakowana w korytarzu, a w tym czasie Twoja siostra była już w drodze do samochodu ze swoją torbą. W jej świecie skończyła się era plecaków; wszyscy noszą teraz torby, zakomunikowała pewnego dnia i sprawiła sobie własną.

Gdy uruchomiłem samochód, do odjazdu autobusu zostały trzy minuty.

– Zdążymy? – spytała.

– Zobaczymy – odparłem i pochyliłem się do przodu, żeby wyrzeć zza żywopłotu, gdy powoli ruszaliśmy z podjazdu, a opony chrzęściły na żwirze.

Łopaty wiatraków obracały się wolno pod bezkresnym jasnoblękitnym niebem.

Zwiększyłem prędkość. Gdy zbliżyliśmy się do skrzyżowania, włączyłem lewy kierunkowskaz, nic nie jechało, skręciliśmy w ulicę biegnącą między domem kultury a remizą strażacką, pojechaliśmy dalej, w stronę tajemniczej, podmokłej i zarośniętej posiadłości, aż do wielkich, rozłożystych, ale wciąż jeszcze niezbyt gęstych drzew, na których nocami urzędowały stada kawek; zahamowałem przed kolejnym skrzyżowaniem, tym razem z główną drogą.

– Wybierasz się na obchody święta Walpurgii? – spytałem.

– Żeby popatrzeć na ognisko? Nie, dziękuję.

– Lubiałaś to, gdy byłaś małą dziewczynką – odparłem i wjechałem na szosę.

– Czy twoim zdaniem wyglądam na małą dziewczynkę?

– Nie bardzo.

– No właśnie – przytaknęła i wyjrzała przez okno. Chodnik był przykryty zeszłorocznymi liśćmi, gęstymi brązowymi plackami, które zdawały się nie mieć nic wspólnego ze świeżymi, nowymi, jasnozielonymi, które pojawiły się na drzewach.

Przeniosła na mnie wzrok.

– O której mnie odbierzesz?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ale nie tak wcześnie.

– O drugiej?

– Ha, ha.

– To o trzeciej.

– Zobaczymy.

Na końcu wysokiego żywopłotu znowu skręciliśmy w lewo. Do odjazdu autobusu została minuta, ale wiedzieliśmy już, że zdążyliśmy, ponieważ autobus stał przed świetlicą, migając światłami, z gromadką dzieci przy drzwiach.

– W takim razie jesteśmy umówieni na trzecią – powiedziała.

– Nie mogę ci tego obiecać.

– Możesz.

Minęliśmy szereg jednopiętrowych murowanych domów w kolorze ochry, wszystkie z ogródkami, które błyszczały zielonkawo w świetle słońca, gdzieś połykiwał metal lub szkło; wjechałem przed autobus, skręciłem na parking i zatrzymałem się tuż przy kolejce dzieci, która szybko topniała, ponieważ uczniowie znikali w środku jeden po drugim.

Twoja siostra otworzyła drzwi auta.

– To do trzeciej – rzuciła.

– Miłego dnia.

– Tato! O trzeciej!

– Postaram się – obiecałem. Patrzyłem, jak podchodzi do autobusu i ustawia się na końcu kolejki, o głowę wyższa od pozostałych.

Wyjąłem telefon komórkowy i odblokowałem go. Dostałem esemesa od sąsiada, który pytał, czy nie wpadnę do niego na kawę. Odpisałem, że będę za pięć minut, i gdy autobus ruszył z przystanku, ciężko i ospale jak stare, duże zwierzę, wsunąłem komórkę do kieszeni, wrzuciłem bieg i włączyłem się do ruchu.

– Z tyłu wszystko w porządku? – spytałem głośno, spoglądając w lusterko, chociaż widziałem w nim tylko fotelik, a nie Ciebie, bo siedziałaś w nim wygięta jak banan, z głową nisko pod krawędzią.

Nie odpowiedziałaś na pytanie ani głuźeniem, ani żadnym innym dźwiękiem z Twojego bogatego repertuaru. Wyobrażałem sobie, że patrzysz na niebo i drzewa wzdłuż drogi, i na najwyższe elementy domów, a u podnóża łagodnego zbocza również na najwyższe fragmenty drogi i samochodów, które tamtędy przejeżdżały. Wszystko wsiąkało w Ciebie, podczas gdy Ty w duchu starałaś się oddzielić od siebie te wszystkie bodźce – w bardziej fundamentalny sposób od tego, w który myśli robiły to dla mnie. Może gdy widziałaś niebo, przepływała przez Ciebie radość, ponieważ je rozpoznawałaś i ta identyfikacja była dla Ciebie czymś przyjemnym?

Och, ty niebo, och, ty słońce, och, ty zielona łąko!

Och, Ty cudowne, niewinne dziecko!

Minęliśmy sklep, który był wciąż zamknięty, a mimo to można było zapukać w jego okna i zostać wpuszczonym do środka, bez względu na to, czy się zjawilo za wcześnie czy za późno, przejechaliśmy obok dawnego warsztatu samochodowego, a przed tajską restauracją skręciliśmy w lewo i przetoczyliśmy się obok boiska sportowego po jednej stronie i długiego szeregu domów na końcu wielkiego osiedla, gdzie rezydowała większość mieszkańców wsi, po drugiej. Sąsiad, którego mieliśmy odwiedzić, mieszkał w domu na środku pola, między dwiema wsiami, posiadłość należała pierwotnie do kościoła, niegdyś prawdopodobnie znaczącego właściciela ziemskiego. Żwirowa droga prowadząca

do domu sąsiada miała kilkaset metrów i była pełna dziur, które jesienią i zimą najczęściej wypełniały się wodą, a teraz, po kilku tygodniach bezdeszczowej pogody, przypominały puste, szare kratery.

– Chyba nie zasnęłaś? – spytałem i zbliżyłem się do krawędzi drogi, gdy jechaliśmy wzdłuż pól uprawnych, po części zielonych od kielkujących zbóż, a po części brązowych od świeżo zaoranej ziemi.

Przedostaliśmy się przez dość wąskie gardło między domami, skręciliśmy na dziedziniec, okrążyliśmy małe, dopiero co zasadzone drzewko rosnące na samym środku i zaparkowaliśmy. Sąsiad stał w drzwiach.

– Jak leci? – spytał.

– Całkiem nieźle – odpowiedziałem. – A co u ciebie?

– W porządku. Napijesz się kawy?

– Chętnie – odparłem i zajrzałem przez okno do środka samochodu, żeby się upewnić, że nadal śpisz. Spałaś.

Wprowadził się tutaj razem ze swoją partnerką i synem półtora roku wcześniej. Ich syn został najlepszym kolegą Twojego brata i kiedy go tam zawoziłem, zwykle piłem u nich kawę. On kręcił filmy dokumentalne, pisał książki i przez wiele lat pracował jako dziennikarz. Niespokojna, przyjazna dusza; chyba nie było takiego miejsca na świecie, którego by nie zwiedził. Jego partnerka była artystką i właśnie pracowała nad filmem dokumentalnym o swojej babce, która pewnego wieczoru po wojnie zastrzeliła dwoje ze swoich dzieci i sama popełniła samobójstwo w willi w Bromma pod Sztokholmem. Ojciec partnerki dorastał w cieniu tego wydarzenia, a poprzez niego – jak przypuszczałem – również ona.

– Piękną mamy dziś pogodę – powiedział sąsiad. – Niemal lato.

– Tak – potwierdziłem i spojrzałem na niego, gdy tak stał na schodach, z głową zwróconą ku słońcu. Miał na sobie cienki burgundowy sweter, elegancką apaszkę i ciemnobrązowe spodnie od garnituru, które wisiały na nim, bo on właśnie taki był: elegancja i niechlujność szły u niego w parze, tak jak prostota i złożoność, zdecydowanie i niepewność, wesołość i zatroskanie. Gdy tak stał wyprostowany na schodach, z głową skierowaną ku słońcu, emanował pewnością siebie, oczywistą i łagodną, lecz gdy weszliśmy do kuchni i zaczął przygotowywać kawę, jego mowa ciała wyrażała niezdecydowanie i bojaźliwość: spuszczone głowa, zgarbione plecy i niepewne dłonie, które powoli rozbierały na części ekspres przelewowy do kawy, jakby miał jedynie mgliste wyobrażenie o tym, jak to się robi.

Nie wiesz, czym jest osobowość, ja też nie bardzo wiem, ponieważ to dziwne zjawisko, ale dotyczy sumy wszystkich cech danej osoby, całości, którą tworzą, i do której odnoszą się wszyscy ludzie wokół, gdy spotykają lub myślą o niej lub o nim. Osobowość znajduje się wewnątrz osoby, w postaci myśli, uczuć i chęci, które w gruncie rzeczy nie są abstrakcyjnymi pojęciami, wręcz przeciwnie: są osadzone w czymś nadzwyczaj konkretnym, ślady powstałe w mózgu na skutek

reakcji spowodowanych komunikacją międzykomórkową. To, czego chce dana osoba, może zmienić się radykalnie na przykład z powodu operacji mózgu, jeśli część zdrowych komórek zostanie usunięta, lub w przypadku uszkodzenia mózgu; dotyczy to również wszystkich innych cech charakteru, przez co niegdyś spokojny i skromny człowiek staje się wybuchowy i nieuprzejmy, troskliwy zamienia się w egoistę, a świętoszek robi się wulgarny. Ludzie z jego najbliższego otoczenia natychmiast to wychwytyją, ale on sam nie, ponieważ będąc pozbawionym dostępu do swojej wcześniejszej osobowości, nie ma z czym porównać tej nowej. Prerażające w tym jest to, że nasza osobowość stanowi poniekąd dzieło przypadku; człowiek jest sobą i w ten czy inny sposób wie swoje życie, aż tu nagle okazuje się, że ma zupełnie inną, nową osobowość.

W takim razie czym ona jest? Czy jest czymś w rodzaju pojemnika mieszczącego jaźń, pełnego małych ścian działowych, schowków i zakamarków, które jaźń zapełnia i nigdy się z nich nie wydostaje, aż do czasu, gdy ewentualny wypadek lub choroba przesuwają ściany, schowki i zakamarki, a jaźń aklimatyzuje się do zmienionych warunków, przybierając nowy kształt?

Skoro zarówno myśli, uczucia, jak i chęci można do pewnego stopnia kontrolować, może nawet nimi kierować, zaskakujący wydaje się fakt, że osobowość pozostaje pozornie stabilna przez całe życie, spójna i oczywista. Rzadko widzimy, by ludzie, których znamy, zbaczali z kursu, robili lub mówili coś zdumiewającego, coś, czego absolutnie się po nich nie spodziewamy. Zaskakujące jest także to, że wariacje w obrębie poszczególnych osobowości są tak niepozorne, że właściwie nigdy nie czujemy napięcia, kiedy spotykamy kogoś nowego, nie łamiemy sobie głowy, co też ten człowiek powie lub zrobi, lecz zawsze zakładamy, że będzie zachowywał się mniej więcej tak jak my.

Tak musi być, ponieważ zostajemy ukształtowani na podobieństwo innych, a jaźń nie jest tego świadoma, ponieważ osobowość każdego z nas jest samowładna; nikt nie ma dwóch ani tym bardziej trzech zestawów osobowości, i to samowładztwo, ta suwerenna pozycja osobowości sprawia, że nie widzimy, w jak dużym stopniu jest ona ukształtowana przez wpływ innych osobowości, i że w gruncie rzeczy jesteśmy jak stado ptaków lub mała wataha wilków.

Gdyby osobowość była wynikiem określonych wzorów reakcji w mózgu, które można by odczytać w postaci obrazów, niewykluczone, że wzory przypominałyby drzewa, składające się z tych samych elementów: pnia, gałęzi, korony, kory, liści, rozwijające się tak, jak na to pozwalają warunki: gleba, nasłonecznienie, to, czy rosną osłonięte od wiatru, czy nie, dzięki czemu każde drzewo przybiera unikatowy kształt, z gałęziami skierowanymi w górę lub w dół, z powyginanym lub prostym pniem, a mimo to wszystkie są do siebie podobne i razem tworzą las.

Tak postrzegał ludzi Bazarow, uważał, że przypominamy las i że jesteśmy

tak bardzo do siebie podobni, że nasze indywidualne cechy nie mają znaczenia. Serce to serce, mózg to mózg, usta to usta.

Ale przecież Ty nie wiesz, kim jest Bazarow!

To bohater powieści *Ojcowie i dzieci* rosyjskiego pisarza Turgieniewa, który stanowi istne wcielenie nihilizmu. Właściwie jest materialistą i realistą, tylko to, co można zmierzyć lub policzyć, ma dla niego jakąkolwiek wartość; jest również cynikiem, jego najzabawniejsze powiedzonko brzmi: „Patrzę w górę do nieba tylko wtedy, kiedy chcę kichnąć”. Książka opowiada o tym, jak cynizm, który uznaje jedynie to, co namacalne, rozpada się na kawałki, gdy Bazarow doświadcza tego, co nienamacalne, a mimo to istnieje, i gdy to coś przejmuje władzę nad wolną wolą; chodzi oczywiście o miłość, która w jego przypadku przybiera postać opętania. Kobieta, której Bazarow pragnie, Anna Odincowa, nigdy nikogo nie kochała, jego również odrzuca. Scena, kiedy do tego dochodzi, jest dziwna; rozgrywa się w jej pokoju na pierwszym piętrze, na dworze jest ciemno, w pokoju panuje półmrok, a między tym dwojgiem czuć napięcie. Dziwna, ponieważ jest oczywiste, że chodzi o miłość, która – od chwili, gdy rodzi się między tymi dwiema pozbawionymi miłości osobami – jawi się jako coś obcego, pozaludzkiego, co ich wypełnia, a do czego żadne z nich nie jest w stanie się ustosunkować.

Czym jest więc miłość, kiedy wprasa się wbrew naszej woli? Kiedy jest niechciana, a mimo to przejmuje władzę? Czy pojawia się z jakiegoś miejsca spoza osobowości, jak wiatr, który wieje spoza drzewa i sprawia, że drzewo ugina się pod jego naporem? A może pojawia się tylko spoza świadomości? Bo świadomością można sterować, kształtować ją zgodnie z naszymi ideałami i wyobrażeniami, tak jak nam pasuje. Natomiast uczuciami sterować się nie da, w każdym razie nie tymi najsilniejszymi, ale można je tłumaczyć w wygodny dla nas sposób.

Po tym jak Bazarow zostaje owładnięty miłością, którą Odincowa odrzuca, mężczyzna jedzie do swoich rodziców. Okazuje się, że kochają jedyne go syna całym sercem. Ta bezgraniczna miłość przypominająca uwielbienie, znosząca wszystko, włącznie z odrzuceniem, została przedstawiona jako coś dobrego, natomiast odrzucenie tej miłości przez Bazarowa ukazano jako bezduszne. I rzeczywiście fragment, kiedy mężczyzna rani swoich kochających, dobrych rodziców, dla których jest sensem życia, rozdziera serce. Czy jest złym człowiekiem?

Co to znaczy: zły człowiek?

Czy ja jestem złym człowiekiem?

Czy mój ojciec był złym człowiekiem?

A moja babcia, czy była złym człowiekiem?

Turgieniew pozwala, aby akcja powieści rozgrywała się w samym punkcie przecięcia się tego, czym możemy sterować, z tym, co nie podlega naszej władzy, i chociaż Bazarow, który jest młody i niedoświadczony, wybrał cynizm

i deziluzjonizm, motywacja postępowania została mu niejako narzucona. Miłość rodziców do niego jest toksyczna, a dla kogoś, kto w niej dorastał, we wszystkim chodzi o sprzeciw, by móc stać się sobą, być sobą. Zerwać więzi, odwrócić się plecami, odrzucić. A wtedy już niewiele trzeba, by wszystkim uczuciom przyglądać się podejrzliwie, również swoim własnym.

Czyżby to było aż tak proste? Że okrucieństwo rodzi się albo z nadmiaru, albo niedoboru miłości?

W powieści to może być tak proste, ponieważ powieści powstają po to, by coś w życiu człowieka stało się wyraźne, by coś, co istnieje, lecz nie ma kształtu, nabrało go i stało się wyraziste.

Życie nie posiada takiego kształtu.

Jaką masz osobowość, tego nikt jeszcze nie wiedział, Ty również, ale pewne cechy stawały się powoli widoczne, na przykład to, że jesteś spokojna, pełna sił witalnych, pogodna.

Tymczasem sąsiad, który żył już prawie sześćdziesiąt lat, był niespokojny, raczej pozbawiony witalności, powiem więcej: wycofany, co mogło stanowić odpowiedź na brak witalności, i chociaż był łagodny, miałem wrażenie, że przyparty do muru, postawiony pod ścianą, potrafi być ostry, a może nawet bezwzględny. Nie wiem, dlaczego tak myślałem. W stosunku do mnie był zawsze serdeczny. Wrażliwy na innych ludzi, tak jak niektóre drzewa są bardziej wrażliwe na wiatr od innych, ciekawy – może bardziej zjawisk i zdarzeń niż ludzi, ponieważ nie byli mu aż tak bliscy. Ale najdziwniejsze w nim było to, że zdawał się potrzebować ludzi dookoła siebie, nie był w stanie wytrzymać długo w samotności. Chętnie pokonywał te trzy kilometry, żeby wpaść do mnie na kawę i uciąć sobie pogawędkę; nie wymagał ani nie oczekiwał zwierzeń, poza tym temat rozmowy nie musiał być wyjątkowo interesujący – nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że potrzebuje kogoś, byle kogo?, by móc z nim posiedzieć i porozmawiać.

Teraz stał odwrócony do mnie plecami, łyżeczką wsypał zmielone ziarna kawy do filtra, zakręcił najwyższą część ekspresu, umieścił ją na płycie grzejnej i włączył urządzenie. Spojrzałem przez okno, żeby się upewnić, że nadal śpisz w foteliku samochodowym.

– Rosja się ostatnio uaktywniła – powiedział i usiadł po drugiej stronie dużego drewnianego stołu. To, co wyglądało na resztki obiadu z poprzedniego dnia, wciąż stało na wierzchu: trzy talerze z zaschniętym sosem, dwa garnki, szklanki wypełnione do połowy leniwą, niemal szarą wodą. Błat po drugiej stronie również był zavalony brudnymi naczyniami. Sąsiedzi mieli silnie antymieszczkański stosunek do życia, dbanie o czystość w domu nie było dla nich priorytetem, więc we wszystkich pokojach panował okropny bałagan. Nasz dom również nie lśnił czystością, ale ten fakt wywoływał u mnie wyrzuty sumienia i skłaniał do prób rozprawienia się z nieporządkiem, natomiast sąsiedzi nie

sprawiali takiego wrażenia.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Przeloty. To, że naruszają szwedzką przestrzeń powietrzną.

– Norweską również – dodałem.

– Niedźwiedź się budzi – powiedział. – Ciekawe.

Wyjąłem papierosy i zapaliłem jednego; zauważyłem, że zerknął na paczkę, więc wyciągnąłem ją w jego stronę.

– Tak, jeden mi chyba nie zaszkodzi – odparł.

Gdy zapalił papierosa, pyknął nim, jakby to było cygaro, z ramionami blisko ciała, które było przechylone do przodu, ale po chwili odchylił się do tyłu i machnął ręką z palącym się papierosem w hojnym geście światowego człowieka.

– Unia nie powinna nigdy próbować zbliżyć się do Ukrainy – powiedział. – Pokazała, że nie zna Rosji i rosyjskiej historii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kijów był przecież pierwszym dużym miastem późniejszego imperium rosyjskiego. We wczesnym średniowieczu, gdy Moskwa była jedynie małą wioską. Ukraina i Rosja są jak bliźnięta. Albo przynajmniej bliscy krewni. Trzymają się razem. W każdym razie Rosjanie tak to odbierają.

Przytaknąłem.

– To, co od zawsze trzymało Rosję razem, to państwo, nie rosyjska kultura, a państwo zawsze było ekspansywne. Granice żadnego innego mocarstwa w historii nie zmieniały się tak często jak granice Rosji. Ukraina niezliczoną ilość razy znajdowała się w obrębie jej granic i poza nimi. Rosja zawsze prowadziła politykę imperialną.

– Nie wiem nic o historii Rosji – przyznałem. – Ale właśnie czytałem powieść Turgieniewa, *Dym*, okropnie melodramatyczna, a jednak jest w niej mowa o Rosji i rosyjskiej duszy, i o stosunku do Europy. Zdaje się, że akcja toczy się w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, ale słowa, które tam padają, równie dobrze mogłyby paść dzisiaj.

– Otóż to – potwierdził. Wstał, wciąż z papierosem w dłoni, którą trzymał w powietrzu, podszedł do kuchenki i przycisnął dzbanek do kawy do płyty. Woda zaczęła bulgotać.

– Masz czas? – spytał.

– Właściwie nie – odparłem. – Jadę do Helsingborga.

– Jak ona się czuje?

– Całkiem nieźle. Prawdopodobnie niedługo wróci do domu.

Odróciłem się i po raz kolejny wyjrzałem przez okno. Obudziłaś się i płakałaś.

Podniosłem się.

– Obudziła się – powiedziałem.

- Tak, tak.
- Pójdę po nią.
- Idź, idź.

Gdy otworzyłem drzwi auta i wgramoliłem się do środka, wciąż płakałaś. Odpiąłem pas bezpieczeństwa, wyjąłem Cię z fotelika i przycisnąłem do piersi, znalazłem mleko i butelkę ze smoczkiem, lekko zestresowany Twoim wzburzeniem, jedną ręką odkręciłem zakrętkę, drugą trzymałem Ciebie, wlałem ostrożnie mleko, zakręciłem butelkę, zaniósłem Cię do kuchni, położyłem sobie na kolanach, opierając główkę na ramieniu, i wsunąłem Ci smoczek butelki do ust. Natychmiast przestałaś płakać i zaczęłaś ssać. Rozwiązałem tasiemki i zdjąłem Ci czapkę, pogłaskałem po cienkich, jasnorudych włosach i poczułem, jak niewiarygodnie miękka jest Twoja głowa. Sąsiad postawił przede mną filiżankę i nalał do niej kawy.

– Musiała być głodna – skomentował.

– Na to wygląda – potwierdziłem i podniosłem filiżankę, omijając łukiem Twoją twarz, podczas gdy Ty piłaś energicznie i łapczywie jak jagniątko.

Nagle rozległ się odległy, głuchy huk. Po chwili kolejny.

– Ćwiczą? – spytałem.

– Tak. Zdaje się, że mają lekkiego pietra – odpowiedział i się uśmiechnął.

W Kabusa, na nadmorskich wzgórzach, znajdował się szwedzki poligon wojskowy. Gdy nie odbywały się tam ćwiczenia, był dostępny dla wszystkich. Wiele razy tam chodziłem, ścieżkami prowadzącymi na plażę; smagany wiatrem, porośnięty trawą teren, który latem, w ciepłe dni, mógł być wprost niewiarygodnie piękny, gdy powietrze stało nieruchomo, słońce zachodziło, morze błyszczało, zupełnie nieruchome, a duże metalowe tarcze rozsiane po okolicy, pełne dziur po pociskach, zdawały się pochodzić z innej, obcej kultury, jeszcze bardziej obcej niż archaiczny krąg kamieni z czasów wikińskich, który znajdował się na trawiastej równinie kilka kilometrów dalej na północ.

Znowu rozległ się huk. Miły dla uszu, hipnotyczny dźwięk. Jak element somnambulicznego rytmu, czegoś nieludzkiego dochodzącego z głębi ziemi.

– Gdyby Rosjanom przyszło do głowy napaść na nas, właśnie tutaj by się zjawili – oznajmił.

– Byłoby ciekawie – odparłem. – Miła odmiana od codzienności.

Mieliśmy we wsi wspólnego przyjaciela, pisarza i socjologa; pewnego dnia wrócił z Afganistanu, gdzie zbierał materiały do książki, przyjechał zwirową drogą, zaparkował swojego saaba, wparował do kuchni, w której siedzieliśmy, wściekły, i powtórzył kilka razy z mocą, którą dają jedynie nagłe objawienia, że mieszkamy w rajku. Że tutaj wszystko jest rajskie, absolutnie doskonałe. Krajobraz, ludzie, nawet system polityczny. Na wszystko patrzył przez pryzmat miejsca, z którego wrócił, ogarniętego wojną, biednego, pogrążonego w chaosie kraju, gdzie spędził

ostatnie tygodnie.

Sąsiad również interesował się wojną, ale w zupełnie innym kontekście. Naszego wspólnego przyjaciela intrygował egzystencjalny aspekt wojny, to, w jaki sposób wpływa na ludzi, zainteresowanie sąsiada miało zaś związek z historią wojskowości; z równie wielkim znanstwem potrafił prowadzić wykład o szwedzkich kampaniach w siedemnastym wieku, jak o niemieckiej blitzkrieg pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku, wszystko ubarwione anegdotami i ciekawostkami. Często oglądał filmy dokumentalne opowiadające o drugiej wojnie światowej, razem z synem; rosnący wpływ jego zafascynowania tematyką wojenną zaobserwowałem także w słownictwie Twojego brata, bo chociaż miał zaledwie siedem lat i nigdy nie rozmawiałem z nim na temat broni, w jego wypowiedziach często pojawiały się torpedowce, okręty podwodne, samoloty myśliwskie, czołgi i broń maszynowa, nierzadko operował konkretnymi nazwami i szczegółami. Gdy przejeżdżaliśmy obok poligonu, zawsze sprawdzał, czy jest wywieszona czerwona flaga, która oznaczała obecność wojska.

Jednocześnie nie znałem drugiej tak pokojowo nastawionej i unikającej konfliktów osoby jak nasz sąsiad. Nigdy nie przebywał w strefie działań wojennych jak nasz wspólny przyjaciel; najbliżej niej znalazł się teraz, tworząc dokument na temat gigantycznej amerykańskiej bazy lotniczej Ramstein w Niemczech. Widziałem zwiastun filmu, który wydał mi się głęboko antimilitarny i antywojenny.

Przestałaś ssać. Zabrałem butelkę i postawiłem ją na stole, a Ty leżałaś i wodziłaś po suficie tym swoim spojrzeniem, które nie szukało niczego wyjątkowego i było całkowicie otwarte, prawie jak okna, przez które wpada światło.

– Daaaaaa – zagłużyłaś i Twoje spojrzenie nagle się zmieniło, wyglądałaś na zaskoczoną, jakbyś się zastanawiała, skąd dobiegł dźwięk.

– Na nas już czas – powiedziałem. – Mamy kawałek do przejechania.

– Jak długo tam jedziesz?

– Dwie godziny – odparłem i wstałem z Tobą na rękę. Odprowadził nas na schody i patrzył, jak zapinam Cię w foteliku.

– Trzymaj się – powiedziałem i zatrzasnąłem długie boczne drzwi, usiadłem za kierownicą i uruchomiłem samochód. Sąsiad stał nieruchomo nawet wtedy, gdy toczyłem się powoli wąskim przesmykiem między domami, aż wyjechałem na drogę biegnącą wśród pól, gdzie niebo nagle wydało się wyższe dzięki temu, że krajobraz rozpościerał się na wszystkie strony.

Mógł być jednym z drobnych posiadaczy ziemskich, od których roiło się w rosyjskiej literaturze, pomyślałem. Po kilkudziesięciu latach spędzonych w barach i restauracjach stolicy, wpadając i wypadając z kręgu zainteresowania, w jakim znajdowali się ówcześni znani pisarze i osobistości świata kultury,

zapisując się w pamięci jako ten, który nigdy nie wracał do domu, w końcu, gdy zbliżał się do sześćdziesiątki, przeniósł się na wieś, żeby odnaleźć spokój – o ile właśnie tego szukał – bo gdy tylko nadarzyła się okazja, robił wypadki do Kopenhagi, Sztokholmu i Berlina, gdzie przesiadywał w barach i restauracjach, jak za starych, dobrych czasów, razem ze swoimi przyjaciółmi, którzy teraz, jeśli nawet nie byli splukani, to na pewno pozbawieni tego blasku, który niegdyś ich otaczał.

Skręciłem w lewo na końcu zwirowej drogi i dla odmiany ruszyłem w kierunku Ingelstorp. Słońce świeciło prosto w przednią szybę, spuściłem osłonę, otworzyłem mały schowek w desce rozdzielczej i wyjąłem okulary przeciwsłoneczne, włożyłem je, puszczając jedną ręką kierownicę, żeby wrzucić wyższy bieg, bo w tym miejscu droga była prosta jak drut.

– Czego chcesz posłuchać? – spytałem głośno, głównie po to, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama w aucie. Otworzyłem schowek po stronie pasażera i po omacku wyciągnąłem jedną z płyt CD, które tam leżały. Zawsze wybierałem muzykę na chybił trafił; chodziło o to, żeby zrobić sobie miłą niespodziankę, ale ponieważ te same płyty leżały w schowku od trzech lat, o prawdziwym zaskoczeniu nie było już mowy.

Wsunąłem płytę CD do odtwarzacza, wciąż nie patrząc, i podkręciłem głośność.

London Calling.

Nie najgorszy wybór.

Zwolniłem, dojeżdżając do skrzyżowania znajdującego się na samym środku niewielkiej wsi, z antykwariatem – który teraz otwierano wyłącznie w sezonie letnim – po jednej stronie drogi i czymś w rodzaju domu zebrzań po drugiej, domu, który pochodził prawdopodobnie z lat dwudziestych ubiegłego wieku, z napisem FRÖYA wmurowanym w fasadę. W tamtych czasach to, co nordyckie, pachniało nowością i świeżością, niosło w sobie obietnicę przyszłości i optymizm, zanim zostało wprężone w ponurą polityczną maszynę i straciło swoje dawne konotacje.

Pochyliłem się, żeby sprawdzić, czy droga do kościoła jest pusta. Była, ale zamiast skręcić w prawo, ponieważ tamtędy było najbliżej, poczułem nagły impuls, żeby pojechać prosto, i uległem mu; wjechałem między krótki szereg domów w tej małej wsi, o której zwykłem myśleć, że zwisa niczym peleryna z głowy i ramion kościoła, i znalazłem się między delikatnie zielonymi polami. Z szybą pełną odbłasków słońca, które napotykało opór w tych wszystkich zadrapaniach, które spowodowałem tamtej zimy, gdy byłem tak głupi, by używać okładek płyt CD jako skrobaczek do szyb, rzucałem przelotne spojrzenia w prawo, gdzie pola ciągnęły się nieprzerwanie aż do morza, śpiewając razem z muzykami.

I have no fear, 'cause London is drowning, and I live by the river^[3].

Jakieś cztery metry nad jezdnią unosił się ptak drapieżny. Wielkie

rozpostarte skrzydła połyskujące matowo w świetle słońca miały w sobie coś włochatego, tak różnego od twardego żółtego dziobu i opływowego kształtu ciała. Tu w okolicy były ich setki; gdy jechałem do Malmö, widziałem je co kilka kilometrów, szybujące w kominach termicznych, siedzące na słupach przesyłowych albo stojące i pochylające się nad przejechanym zwierzęciem, których pełno leżało na autostradzie. Borsuki, jeże, zające, koty, a czasem lisy.

Dzieci mówiły na nie „sępy”; nie wiedziałem, jak naprawdę nazywają się po norwesku. Może chodziło o jastrzębie?

Mieszkały w pobliżu domu moich dziadków od strony matki, Twoich pradziadków. Nie żebym kiedykolwiek widział chociaż jednego, ale dziadek, który był prawie całkiem łysy, nie licząc białego wianuszka włosów wokół głowy, lubił powtarzać, że jastrzęb porwał mu włosy. Często ilustrował opowieść ruchem dłoni: rozczapierzonymi palcami przypominającymi wysunięte pazury drapieżnego ptaka przesywał powietrze, chwycił nimi wyimaginowane włosy i porywał je w górę. Długo wierzyłem, że mówi prawdę. Niepokoiłem się również o kury, gdy chodziły po podwórku, z powodu nazwy^[4], bałem się, że nadleci jastrzęb i porwie którąś z nich.

Dziadkowie nie żyją od ponad dwudziestu lat, a wciąż doskonale ich pamiętam. Dla Ciebie byliby jedynie mglistymi postaciami w mrokach historii; urodziłaś się sto lat po nich i kiedy wejdiesz w lata dwudzieste, będą dla Ciebie tym samym, czym dla mnie byli ludzie urodzeni w latach sześćdziesiątych XIX wieku. To znaczy niczym.

Liczą się tylko ci, którzy żyją tu i teraz.

Tak zawsze było, jest i będzie. Życie łoskocze w żywych wszystkich swoimi mentalnościami i psychologiami, a kiedy ludzie umierają i cichnie w nich łoskot, trwa on nadal w ich dzieciach, i człowiek nagle dochodzi do wniosku, że łoskot stanowił sedno sprawy, łoskot miał znaczenie, łoskot był życiem.

Gdy będziesz w moim wieku, ja będę po dziewięćdziesiątce, i nawet jeśli tego dożyję, będę powoli odchodził, w tym sensie, że wszystko, z czym się wiążemy, nadając temu znaczenie – przedmiotom, zdarzeniom i ludziom – będzie stawało się odleglejsze, natomiast Ty, mój skarbie, i Twoje życie, które będzie rozkwitało – może z mężem, a może nie, może z dziećmi, a może nie, może z pracą, która będzie wiele dla Ciebie znaczyć, a może nie – będziesz dla mnie jak pociąg, który pędzi przez las o zmierzchu, kiedy pęd powietrza wzbija tumany śniegu, a postaci w jasno oświetlonych przedziałach odznaczają się wyraźnie na tle czarnych drzew i ciemniejszego nieba. To będą tacy ludzie jak ja – co robią, czego chcą, o czym myślą, co czują, nie ma większego znaczenia – oni i światło, w którym są zanurzeni, znikają między drzewami, niemal zanim się jeszcze ukazą, a ja spoglądam na niebo, na pierwsze gwiazdy, które zaczynają połyskiwać wysoko w górze.

Tak może myśleć mężczyzna w średnim wieku, jadący przez zalany słońcem wiosenny krajobraz z niemowlęciem na tylnym siedzeniu, pomyślałem. W środku łoskotu, gdzie każda, nawet najmniejsza rzecz ma znaczenie, a dręczący niepokój o to, jak potoczy się nasze, a zwłaszcza Wasze, życie, nie pozwala mi o sobie zapomnieć.

– Wszystko dobrze się skończy, jak myślisz? – powiedziałem na głos i zredukowałem biegi, gdy droga utworzyła literę S między dwoma małymi okrągłymi budynkami, których funkcja była mi zupełnie nieznaną, nie wiedziałem o nich nic poza tym, że należały do dużego gospodarstwa znajdującego się kilometr dalej, na końcu alei.

Byłem tam wiele razy, ponieważ mieszkała tam jedna z koleżanek z klasy Twojej najstarszej siostry. Hodowali tam mnóstwo owiec i koni, budynki gospodarcze były ogromne, a między nimi rosły potężne, wiekowe drzewa liściaste. Kilkadziesiąt lat temu musiało tam pracować wiele osób, podobnie jak w gospodarstwie na tyłach naszego domu, w którym w tamtych czasach mieszkały trzy zatrudnione tam rodziny. Mechanizacja rolnictwa uczyniła ludzi zbędnymi; ilekroć tam przyjeżdżałem, uderzała mnie dziwna dysproporcja: to, że jedna osoba jest odpowiedzialna za wszystko dookoła, nie wyłączając rozległych pól uprawnych.

Co mnie tak dziwiło?

Moje odczucie było nonsensowne, bo oczywiście nie ma żadnego znaczenia, ile osób wykonuje daną pracę, dopóki jest ona właściwie wykonywana. Kiedyś słyszałem, że liczba osób, z którymi możemy się kontaktować, jest ściśle określona, że istnieje coś takiego jak ludzka wartość graniczna, która leży gdzieś między liczbą sto a dwieście. Zdziwiające jest to, w jak wielu kontekstach wartość graniczna ma zastosowanie – począwszy od jednostek organizacyjnych wojska: pięcioosobowych patroli, dwudziestopięcioosobowych plutonów i stuosobowych kompanii, a skończywszy na obecnym, cywilnym sposobie podziału naszego świata na maksymalnie pięciu naprawdę bliskich przyjaciół, około dwudziestu pięciu członków rodziny, kolegów z pracy lub dobrych znajomych, i od stu do stu pięćdziesięciu facebookowych przyjaciół, którzy wyznaczają krańcowy element zbioru relacji. Dawne wsie i miasteczka liczyły często od stu do stu pięćdziesięciu mieszkańców; ci, którzy mieszkali w miastach, rzadko utrzymywali kontakt z większą liczbą osób. Kto wie, może istniała podobna, ludzka miara wszystkiego – także ziemi uprawianej przez ludzi – którą zniosły maszyny, a która żyła nadal w postaci tego odczucia, że to nie jest właściwe, że przekraczamy nasze ludzkie granice.

Cóż za konserwatywna myśl! Ale może właśnie stąd brał się mój zdecydowany, intuicyjny sprzeciw wobec mechanizacji i technologizacji życia – z tego, że wykraczamy poza nasze granice i że te granice nie są przypadkowe ani

nawet uwarunkowane kulturowo, lecz zanurzone w nas w podobny sposób jak poczucie góra-dół, prawa-lewa strona?

Czułem wyraźnie, że czymś niewłaściwym jest przeszczep narządów, manipulowanie genami, rozszczepianie atomów – to uczucie zawsze mi towarzyszyło, ale nie potrafiłem go uargumentować. Jakby sama argumentacja, sam intelekt należały do technologii i mechanizacji i reprezentowały to wszystko w nas, co nie uznaje granic i sięga w stronę tego, co poza nami, nie tylko po to, by to zrozumieć, lecz również zdobyć, tak że uczucia, które należą do ciała i postrzegają świat jego miarą, nie mają czym odpowiedzieć.

Tak, do cholery! Nawet z Internetem jest coś absolutnie nie w porządku, pomyślałem.

Nie miałem racji?

– Powinniśmy podróżować bryczką! – powiedziałem głośno, chociaż podejrzewałem, że znowu zasnął. Zwolniłem przed ostrym zakrętem, spoglądając w stronę stawu leżącego w głębi, który błyszczał w świetle słońca. To był sztuczny zbiornik, tak przypuszczałem, i wielki jak małe jezioro; zdarzało się, że pływały w nim dzieci.

Po drugiej stronie, na małym wzgórzu, krajobraz rozciągał się w stronę morza, które było przed nami. Właśnie dla tego widoku wybrałem objazd. Tutejszy krajobraz był nie tylko ładny, lecz także zaskakujący; dzięki temu, że rzadko tędy jeździłem, spojrzałem na niego w inny sposób. Te dwie trasy, którymi zwykle się przemieszczałem, definiowały wszystko, co widziałem, jakby poszczególne miejsca należały do drogi, były do niej przypisane i występowały niejako w izolacji. Wybierając inną trasę, rozumiałem, że krajobraz jest całością, że wszystkie gospodarstwa, kościoły, miasteczka leżą na tej samej równinie. Że wszystko zmierza w stronę morza i plaż, podobne do klifu wzniesienie wypiera wiatry w górę, zbocze opada w kierunku równiny, a ona ciągnie się wiele kilometrów w głąb, aż do skraju lasu.

Tamtej wiosny, gdy byłem z Tobą sam, często zabierałem Cię na przejażdżkę samochodem. Siedzenie z Tobą w domu przez te wszystkie godziny, gdy Twoje rodzeństwo było w szkole, uważałem za stratę czasu, a poza tym wydawało mi się, że lubisz siedzieć z tyłu i spoglądać przez okno, w każdym razie nigdy nie narzekałaś, a ja lubiłem prowadzić samochód. I dlatego około dziewiątej wyruszyliśmy z domu i jeździliśmy wąskimi żwirowymi drogami, które wciąż można tu znaleźć; bez żadnego konkretnego celu poza tym, by zobaczyć coś, czego jeszcze nie widzieliśmy. Puszczałem muzykę i nie myślałem o niczym szczególnym, bo czasem wszystko jest bardzo proste, statyczne myśli powstają w statycznych ciałach; gdy ciała wprawia się w ruch, myśli również zaczynają się poruszać.

Nie zawsze tak było. Ubiegłego lata, gdy Twoja mama leżała w szpitalu

w Malmö, a ja jeździłem do niej każdego dnia, w samochodzie przez cały czas myślałem tylko o jednym i w kółko puszczałem tę samą muzykę, Queens of the Stone Age, tak głośno, że aż bolało. Chciałem, żeby bolało, bo w środku również czułem ból, a głośna, agresywna muzyka w pewnym sensie pomagała, była jak przeciwciśnienie.

Dziwnie się czułem, wracając do domu, po tym jak przez godzinę mknąłem autostradą z muzyką włączoną na cały regulator. Wyłączałem odtwarzacz CD, zwalniałem do dwudziestu kilometrów na godzinę, skręcałem w pustą, skąpaną w słońcu i popołudniowej ciszy ulicę, mijałem zielone żywopłoty i otynkowane na biało domy, wjeżdżałem na trawiaste wzgórze, parkowałem na podjeździe obok naszego czerwonego domu, wyłączałem silnik, otwierałem drzwi, wysiadałem i czułem, jak ciepłe powietrze owiewa moje ciało. Cisza, jaka tam panowała, tak charakterystyczna dla wypełnionych słońcem popołudniowych godzin późnego lata, dźwięki, które ją zakłócały, wydawały się odległe, niemal senne, nawet krzyki i wrzaski dzieci kąpiących się w plastikowym basenie, zupełnie jakby niebo było zbyt głębokie, świat zbyt wielki, by coś tak znikomego jak głos mogło znaleźć w nim oparcie. Szelest drzew, gdy napływała bryza, skrzeczenie setek kawek, gdy obsiadały drzewa na sąsiedniej posesji, przytłumione głosy sąsiadów podejmujących gości w ogrodzie, śmiech i pobrzękiwanie sztuków.

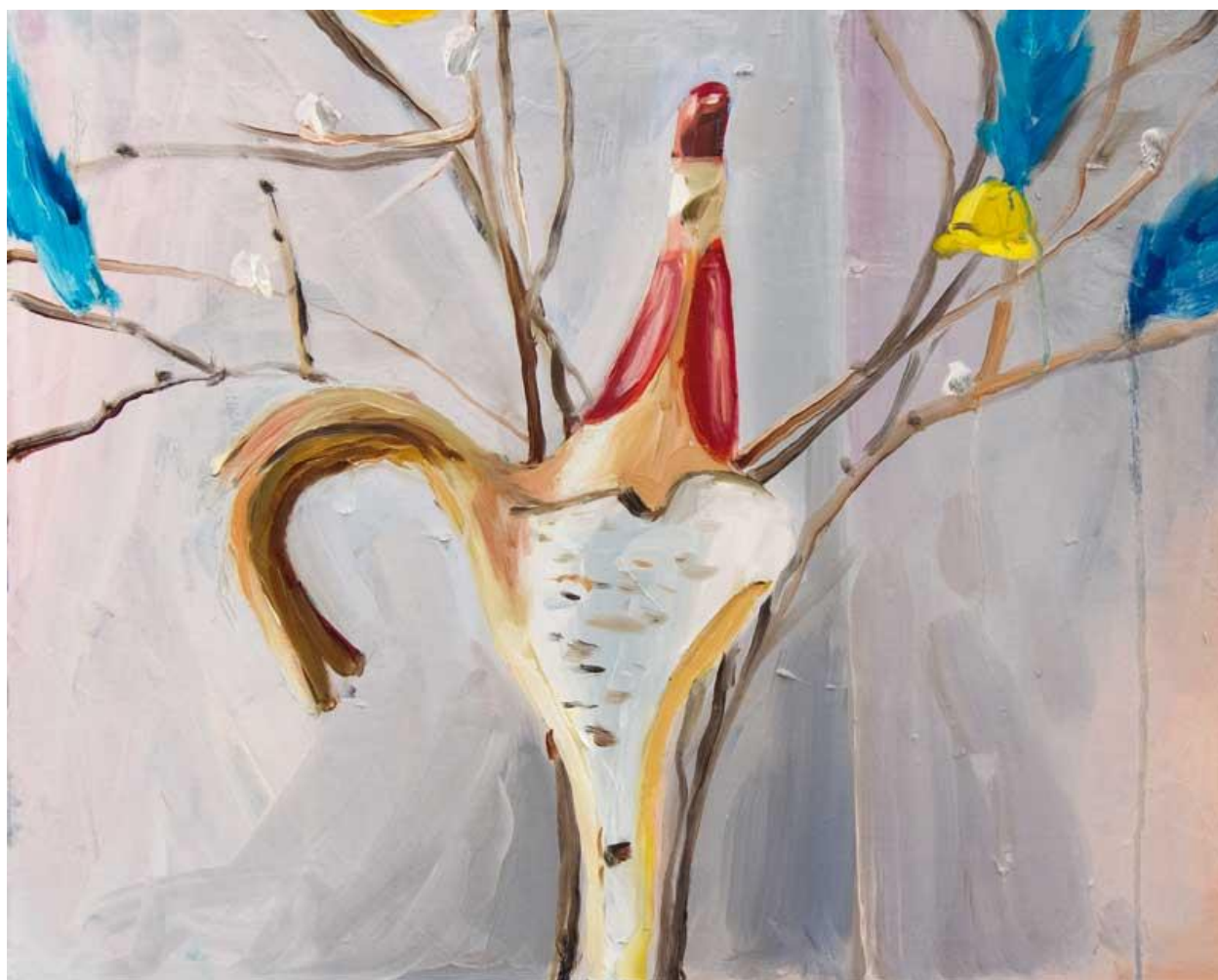
Te letnie tygodnie w słonecznym, nieruchomym krajobrazie, pod głębokim niebem, gdzie wszystko było niebieskie i zielone, poza nasyconą żółcią pól uprawnych, były rajskie. Po prostu rajskie – żadne inne słowo nie przychodzi mi do głowy. Wszystkie posiłki jedliśmy na dworze, w cieniu jabłoni, kąpaliśmy się w morzu, odpoczywając na ciągnących się kilometrami plażach, graliśmy w badmintona, grillowaliśmy, i Twoje rodzeństwo, i mnie odwiedzali przyjaciele; wieczorami, gdy słońce wisiało nad dachem domu dla gości, ogniście pomarańczowe, a cienie coraz bardziej się wydłużały, siedzieliśmy przy stole w ogrodzie, aż nasze twarze stawały się niewyraźne w wieczornych ciemnościach, a dzieci już dawno leżały w łóżkach.

Tego życia nie sposób było pogodzić z tym, które Twoja mama wiodła w szpitalu, ani z moimi codziennymi wyprawami do niej; zupełnie jakby tamto życie należało do jakiejś innej rzeczywistości, do świata cieni, anemicznego i bladego, bliskiego śmierci.

Ale nosiła Cię pod swoim sercem.

I nie straciła Cię.

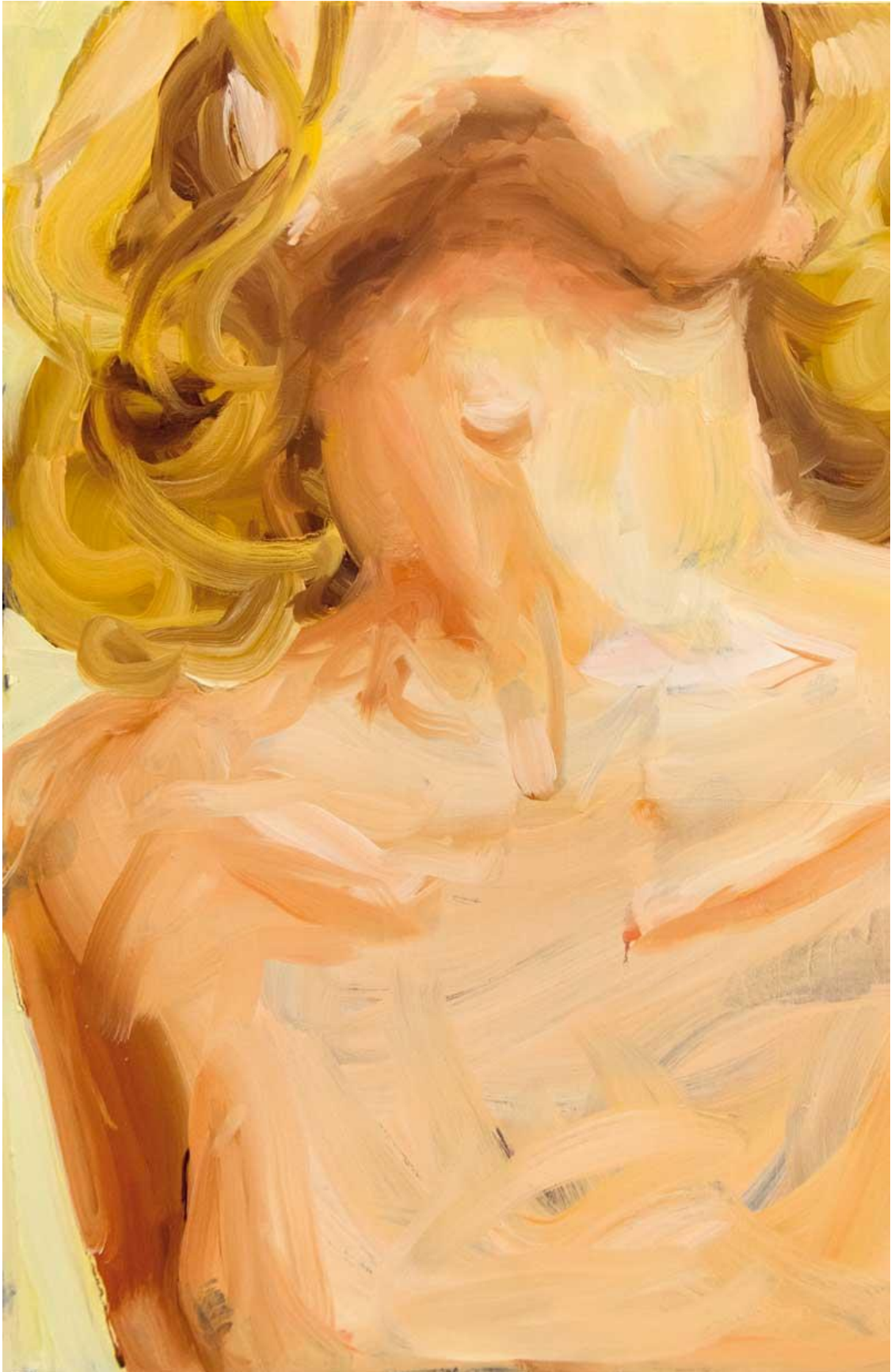
To była jedyna rzecz, o której myślałem.



DWA

Coraz częściej wydaje mi się, że żyjemy w dwóch rzeczywistościach: fizyczno-materialno-biologiczno-chemicznej, która stanowi świat rzeczy i ciał, a którą możemy nazywać rzeczywistością pierwszego stopnia, i abstrakcyjnej, niematerialnej, językowej i myślowej, będącej światem relacji i kontaktów społecznych, którą możemy nazywać rzeczywistością drugiego stopnia. Pierwsza rzeczywistość rządzi się niezmiennymi prawami, które nie zostawiają cienia wątpliwości: woda zamarza w określonej temperaturze, jabłko spada z drzewa, kiedy osiąga określony ciężar, a wiatr określoną prędkość; uderzenie o ziemię sprawia, że miąższ jabłka mięknie w określony sposób. Druga rzeczywistość jest względna i podlega negocjacom. Byłoby prosto i przewidywalnie, gdyby te dwa światy istniały obok siebie, ale tak przecież nie jest. Jeden z tych światów jest zanurzony w drugim, w ten sposób każda rzecz, na przykład czerwone wiadro, jest zarówno zwyczajnym czerwonym wiadrem podlegającym prawom fizyki, co

oznacza, że jeśli będzie stało zbyt blisko ogniska, stopi się i przybierze ściśle określony kształt i kolor. Jednocześnie czerwone wiadro jest czymś innym w umyśle osoby, która mu się przygląda, ponieważ ma wiele różnych form egzystencji: jest produkowanym na masową skalę, standaryzowanym przedmiotem, kiedy stoi na przysypanej liśćmi ziemi tuż przy świeżo zaoranym polu ziemniaków, twarde i niezniszczalne na miękkim i wciąż przeobrażającym się łonie natury; czerwony pojemnik z rączką służący do przenoszenia wody, jabłek lub ziemniaków, stojący w rogu kuchni; czerwony blask czegoś, co ktoś zapomniał zabrać z pola – w centrum uwagi znajduje się właśnie ten zapomniany przedmiot i to, co mówi on o osobie, która o nim zapomniała, o jej niechlujstwie i niedbalstwie; jedna z wielu rzeczy należących do moich rodziców, która niezmiennie przywodzi mi na myśl mojego ojca i lata, które przeżyliśmy razem; czerwona płaszczyzna, która stopiła się, przybierając kształt ludzkiej twarzy, gdy moja matka odstawiła wiadro zbyt blisko ogniska – tak, od tamtej pory, to znaczy od trzydziestu lat, wiadro kojarzy mi się z tą twarzą, tylko ją widzę: gapiącą się na mnie, wykrzywioną w grymasie. Pomyśleć, że plastikowy walec z dnem stojący w szafce pod zlewem w domu mojej matki może mieć tak wiele tożsamości i wywoływać tak wiele uczuć... Jaka tęsknota mieści się w myśli o tym wiadrze, które stało o zmierzchu tuż przy czarnej, lekko wilgotnej ziemi, na żółtobrazowych gładkich liściach, pomiędzy których połyskiwała gdzieś bladzielona trawa, tuż przy skraju lasu, tej ścianie drzew zaczynającej się tam, gdzie kończyło się pole ziemniaków, i które w chwili, gdy mój ojciec wykopywał ziemniaki widłami, zamknęło się w gęstej ciemności przypominającej lakier – przynajmniej tak to sobie wyobrażałem, że pomiędzy drzew wydobywa się ciemność i rozlewa nad polami, a powietrze, zaledwie pół godziny wcześniej jasne i przejrzyste, coraz bardziej szarzeje i narasta cisza. Potężna jest leśna cisza nocą – jedynymi dźwiękami, poza niemal bezgłośnym drzeniem rozchodzącym się między drzewami pod wpływem powiewu wiatru, był odgłos wideł wbijanych w ziemię, delikatnie brzęczących, kiedy twardy metal prześlizgiwał się przez luźną glebę, odgłos buta, który przyduszał widły, szelest przerzucanej przez ojca ziemi, jego oddech. Wiadro, które tam stało, jaśniejące w coraz gęstszych ciemnościach, i które mieściło wszystko, co możliwe: żywe kraby, wciąż mokre od słonej wody, martwe ryby, śliskie i miękkie – aż ich mięśnie spięły się odruchowo, a ogon wykonał kilka razy ten dziwny ruch, niebędący wyrazem ani życia, ani śmierci, lecz czegoś pośredniego, spokrewnionego z ruchami wody i wiatru – jabłka, gruszki, śliwki, jagody, maliny, jeżyny, owoce tarniny, śmieci, czystą i brudną wodę, suche i mokre ścierki, butelki ze środkami czyszczącymi...



Moja tożsamość, to, kim jestem dla siebie, jest wpleciona w świat rzeczy w taki sposób, że nie można stwierdzić, kiedy kończy się jedno i zaczyna drugie, a moje ciało w pewnym sensie również jest rzeczą, równie finalną jak one, równie ograniczoną, lecz zarazem równie otwartą, ponieważ woda przepływa nie tylko przez ziemię, ale także przez gardło, a powietrze, które wypełnia wszystkie przestrzenie, wypełnia również płuca, nie mówiąc o roślinach i zwierzętach, które wkładamy w siebie, a potem wypychamy na zewnątrz, kiedy to, czego potrzebujemy, zostaje przez nas pochłonięte – zresztą pewnego dnia ciało przemieści się zupełnie do świata rzeczy, stanie się jedną z nich, jak liść, pień, mrowisko, i będzie istnieć dalej w postaci elementów tamtej niemej rzeczywistości.

Ty również, moje dziecko, jesteś rzeczą, czterokończynowym, małym, miękkim stworzeniem, zdeteminowanym biologicznie, z sercem, które będzie biło określoną liczbę razy.

Kiedy zaczęło się Twoje życie?

Wtedy, gdy dwie komórki pochodzące z dwóch ciał zlały się ze sobą i ta nowa komórka zaczęła się dzielić. To się stało w określonym momencie w czasie, w określonym miejscu na świecie. Ale niejako nad tą milczącą i samonapędzającą się biologią rozciąga się inna historia, społeczna, gdzie nic nie ma początku ani końca, i początek Twojej historii, tego, co będzie Twoim życiem, równie dobrze mógł się zacząć, gdy urodziła się Twoja mama lub gdy Twoja mama i ja zobaczyliśmy się po raz pierwszy, w słoneczne popołudnie na jednej ze szwedzkich wysepek, latem 1999 roku, lub gdy po raz pierwszy wspomnieliśmy w rozmowie o możliwości powołania na świat kolejnego dziecka.

To się stało w maju 2013 roku, gdy Twoja mama i ja poleciliśmy do Sydney w Australii, gdzie miałem wziąć udział w festiwalu literackim. Zarówno hotel, jak i lokale, w których odbywały się spotkania, leżały tuż nad wodą, w czymś, co – czego byłem pewny – niegdyś służyło jako spichlerze. Moje ciało trzymało się rytmu dobowego, jaki panował u nas w domu, i czułem się tak, jakby rozgrywała się w nim bitwa między zmysłami, dla których bez wątpienia panowała noc, z gęstą, wypełnioną deszczem ciemnością za oknami i ciszą we wszystkich pokojach i na korytarzach, a głębokimi strukturami w mózgu, dla którego to był dzień, i który z tego powodu nie pozwalał mi zasnąć: całkiem rozbudzony, leżałem na łóżku i wpatrywałem się w sufit albo siedziałem na krześle przed szklanymi rozsuwanymi drzwiami, patrząc na taras i biegnącą obok niego ścieżkę, oświetloną latarniami i przypominającą keję, na czarną martwą wodę, która ciągnęła się do następnej kei jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Deszcz, woda i światło, które opromieniało budynki, przywiodły mi na myśl Bergen i chociaż byłem świadomy tego, że jestem w Sydney w Australii, na drugim końcu kuli ziemskiej, czułem się tak, jakby wspomnienie Bergen zatriumfowało nad rozsądkiem, ponieważ miałem wrażenie, że tam właśnie jestem. To, że ciało i zmysły w ten sposób podwajały

siebie nawzajem, wahając się między dniem i nocą, wiosną i jesienią, Bergen i Sydney, przeszłością i teraźniejszością, sprawiło, że rzeczywistość wydawała się jakby nieuchwytna, prawie tak, jakbym chodził we śnie. To uczucie nasilało się w ciągu dnia, gdy nawet godziny intensywnego słońca, kiedy wszystkie płaszczyzny były rozświetlone, a wszystkie kolory ostre i wyraźne, nie potrafiły dać sobie rady z moim przeświadczeniem, że właściwie trwa noc. Wyczuwałem ciemność w świetle, noc w dniu, a potrzeba snu była tak silna, że nie przypominała już zmęczenia, z którego można się otrząsnąć i je zwalczyć, lecz jawiła się jako coś odrębnego, jak siła, która została we mnie napięta, łuk, który w następnej chwili – gdybym tylko się położył – posłałby mnie jak strzałę w sen.

Kiedyś, jako dziecko, wszedłem do salonu w domu, w którym dorastałem, telewizor był włączony, chociaż w pokoju nikogo nie było, spojrzałem na ekran, na którym człowiek bez głowy wchodził po schodach. To musiał być poranek filmowy, bo pamiętam, że na dworze świeciło słońce w mokrym jesiennym krajobrazie, i musiała być niedziela, skoro byłem w domu. Mogłem mieć siedem, może osiem lat i byłem przerażony, jeszcze nigdy tak się nie bałem. To, że działo się to w biały dzień, dodatkowo potęgowało mój strach, bo pomyślałem, że nigdzie nie jestem bezpieczny. Kiedy człowiek boi się ciemności, szuka światła. Ale co ma zrobić, kiedy światło również jest pełne strachów?

W Sydney nie bałem się, ale widziałem to samo, co zobaczyłem jako dziecko: ciemność w świetle, noc w dniu. To, co widziałem, a czego kiedyś się bałem, to cień tego, co obce. Wszyscy ludzie, wszystkie twarze, wszystkie głosy były obce i koniec końców byłem sam, we wszystkim. Nawet mama i tata byli obcy. To jest ten lęk, który wywołują wszystkie horrory, opowieści o duchach, historie o wampirach, zombie, zjawach, sobowtórach, ale jest on związany z ciemnością, niejako izolowany od reszty życia, podniecający, bo chociaż lęk pojawia się, ponieważ cień tego, co obce, jest realny, jednocześnie jest ograniczony – w końcu nadchodzi dzień, w którego świetle to, co obce, znika, a to, co dobrze znane, powraca.

Człowiek nieprzywiązany do nikogo stanowi anomalię, ponieważ prawie wszystko, co robimy, ma na celu związanie nas z innymi i stworzenie relacji, o których z nadzieją myślimy, że będą trwałe, na zawsze. Tak silnie jesteśmy na to nastawieni, że owo przywiązanie nie musi wcale dotyczyć ludzi, których znamy, przyjaciół ani rodziny, żeby zyskać znaczenie, lecz głosu w radiu, twarzy w telewizji, ekspedientki w supermarkecie, narratora pierwszoosobowego w książce. Kiedyś spędziłem kilka miesięcy na małej wyspie, by móc skupić się na pisaniu – to był jedyny raz, kiedy tak długo byłem fizycznie sam; nieobecność innych była trudnym do zdefiniowania, a mimo to intensywnym poczuciem braku, prawie namacalnym, niejako spokrewnionym z fizycznymi niedoborami odczuwanymi przez ciało, na przykład brakiem soli lub światła słonecznego.

Wtedy przywiązałem się do konkretnych głosów w radiu, włączałem je, kiedy rozpoczynały się ich programy, słysząc je, odczuwałem przyjemność, jaką może wywołać spotkanie z przyjacielem. To samo dotyczyło pamiętnika, który wówczas czytałem. Dawało mi to pociechę, choć wielu uznałoby ją za marną, skoro te dziwne przyjaźnie nie były odwzajemnione: ani głos w radiu, ani autor książki nie wiedzieli, kim jestem, i oczywiście nigdy nie nawiązali ze mną relacji, zresztą ja sam uważałem, że to marna pociecha, tak jak ta, którą daje starym samotnym ludziom oglądanie telewizji, choć w ich przypadku pociecha jest nie tylko marna, lecz także przerażająca, bo to są ludzie z krwi i kości, a twarze w telewizorze, do których być może czasem się uśmiechają, to tylko piksele, jakby w ten sposób dawali się zwabić w sztuczną bliskość, coś głęboko nieprawdziwego, udawaną rzeczywistość.

Ale wyobraź sobie, Małenka, prawdziwą samotność, wyobraź sobie, że nikogo nie znasz, z nikim nie rozmawiasz, nikt Cię nie zauważa, wszyscy odwracają się od Ciebie. W takiej totalnej samotności nie dałoby się żyć, bo i po co? Wszystko w nas jest skierowane do innych. Mowa, a z nią myśli, a z kolei z nimi najgłębsza egzystencjalna prawda, jaką jest jaźń. Dopóki jaźń znajduje się w przestrzeni, w której są inni, nawet jeśli tylko w postaci głosu płynącego z radia, twarzy w telewizji, pierwszoosobowego narratora w książce, dopóty ma to sens, dopóty życie ma sens. Natomiast bez innych, do których jest zwrócona strukturalnie, jaźń można podtrzymywać jedynie siłą woli, a ponieważ wola jaźni jest wyłącznie chęcią relacji z innymi, prędzej czy później, jeśli nie będzie już nawet cienia nadziei, jaźń zostanie unicestwiona.

Jeśli człowiek do nikogo nieprzywiązany stanowi anomalię, to jest nią również samobójstwo. Popęlnia się je z tylu różnych powodów, ilu jest samobójców, ale ich wspólną cechą stanowi to, że w taki czy inny sposób zostali pozbawieni przywiązania, że coś innego stało się w nich silniejsze, co sprawia, że nie są dłużej w stanie przyjmować tego, w czym żyje jaźń. Ta niemożność przywiązania się jest często przejściowa, ponieważ ten wewnętrzny mrok, zeszywnienie duszy, do której nie może przeniknąć nic z zewnątrz i nią poruszyć, nazywane kliniczną depresją, jest stanem ostrym, lecz odwracalnym: również po nocy duszy wstanie kiedyś dzień. Właściwie wszyscy to wiemy, tylko nie samobójca, dla którego mrok i ból są tak intensywne, że nawet świadomość tego, że będzie lepiej, nie czyni ich znośnymi. Dla którego mrok i ból są tak intensywne, że nawet widok własnego dziecka nie jest w stanie przezwyciężyć tęsknoty za wieczną ciemnością, śmiercią jaźni.

Samobójstwo może być również sposobem na nadanie sensu. Jest działaniem, a działania zawsze coś znaczą, nie tylko poprzez swoje konsekwencje, lecz także poprzez swoje intencje. Dziewczyna, którą kiedyś znałem, a która pracowała pewnego lata w zakładzie karnym, opowiedziała mi, jak syn dyrektora

zastrzelił się na trawniku przed gabinetem ojca, przyłożywszy sobie strzelbę do głowy. Młody człowiek, mój bardzo daleki znajomy, powiesił się pod schodami w domu swojej matki w dniu jej urodzin. Miał małe dziecko. Oboje chcieli w ten sposób coś pokazać, popatrz, mówili poprzez swoje działanie, popatrz, co mi zrobiłeś/zrobiłaś. Inny kolega włożył czarny garnitur, białą koszulę i krawat i powiesił się w swoim mieszkaniu; miał dwoje dzieci. Przez całe swoje dorosłe życie idealizował i wielbił śmierć. Może to był sposób na znoszenie bólu: uczynić ze śmierci coś ponętnego?

I jedno, i drugie, ukazanie swojego bólu w sposób agresywny i nieodwracalny oraz idealizowanie śmierci, jest infantylne i jest czymś, co wszyscy znamy: któż z nas jako dziecko nie leżał na łóżku i nie wyobrażał sobie, jak ludzie, pogrążeni w żałobie, idą w kondukcje za naszą trumną, i jak w końcu dociera do nich, jaką krzywdę nam wyrządzili. Tylko w niej, tak sobie myślisz, tylko w śmierci moja prawdziwa wartość stanie się widoczna dla innych, nagle, jak światło zapalone w ciemnym pokoju.

Czymże to jest, jeśli nie życzeniem przywiązania? Życzeniem, które w jednej i tej samej chwili spełnia się i zostaje odrzucone, czego wiecznym obrazem jest ten niemożliwy gest – spojrzenie Orfeusza. To jest dziecinne, ale nie przynależy dzieciństwu, któremu samobójstwo jest obce. Młodość, ze swoimi burzami uczuć, impulsywnością i brakiem przewidywania konsekwencji, może być niebezpieczna. Jedyny raz, kiedy przyszło mi do głowy, żeby skończyć ze sobą – i nie chodziło o flirt z możliwością, o to, by niejako otworzyć bramę do bogactwa i wartości życia, które razem z poczuciem winy natychmiast napływają szerokim strumieniem, kiedy pojawia się myśl, że mogę, jeśli chcę, wystarczy przekręcić kierownicę i wjechać prosto w ciężarówkę nadjeżdżającą z naprzeciwka – zdarzył się, gdy jako osiemnastolatek wracałem do domu z imprezy we wczesny letni poranek. Jechałem przez krajobraz przemysłowy na obrzeżach Kristiansand, pijany, i nie byłem w stanie odeprzeć tego zdarzenia, które zmusiło mnie do opuszczenia imprezy bez słowa. To był drobiazg, wszyscy śmiali się ze mnie, nawet ci, do których miałem największe zaufanie i z którymi łączyła mnie największa zażyłość, i myśl, że nikt mnie nie lubi i że nie jestem nic wart, która zwykle była jedną z wielu myśli, w upojeniu alkoholowym zaczęła rządzić niepodzielnie, osiągając potężną moc. Wdrapałem się na górę, myślałem o tym, żeby rzucić się w przepaść, i kiedy tam stałem, myśl, że to właściwie jest możliwe, że moje życie w następnej chwili może się skończyć, rosła we mnie jak radość. Pamiętam rozpacz i pamiętam radość, ale nie pamiętam, co mnie powstrzymało, dlaczego pół godziny później zszedłem na dół i kontynuowałem drogę do domu. Najprawdopodobniej chodziło o mamę, wyobraziłem sobie jej ból. Zresztą może właśnie to wyobrażenie było prawdziwym powodem, dla którego tam poszedłem, może właśnie jego chciałem się uchwycić: ktoś mnie kocha, ktoś mnie potrzebuje?

Zauważyłem, że nie lubię o tym opowiadać, ponieważ cierpienie było niewielkie i nic się nie stało, ale zmiierzam do tego, żeby Ci powiedzieć, moje dziecko, że kiedy się ma naście lat, wystarczy małe przesunięcie, by znaleźć się w podobnej sytuacji, a jeśli człowiek jest trochę bardziej pijany i zrozpaczony, może nagle zrobić coś w innych okolicznościach niewyobrażalnego. Kiedyś, gdy byłem na wyprawie górskiej w Nord-Norge^[5], przewodnik opowiadał, że doszło tam do fali samobójstw wśród nastolatków. Gdy pierwszy odebrał sobie życie, pokazał innym, że istnieje taka możliwość, a potem niewiele było już trzeba, by zrobił to następny i następny.

Mój ojciec, a Twój dziadek, wspominał czasem o samobójstwie jako o zjawisku. Interesował go pisarz Jens Bjørneboe, zarówno jego powieść *Jonas* – może dlatego, że sam był nauczycielem, określenia „salamandry”^[6] używał od czasu do czasu w stosunku do innych – jak i jego samobójcza śmierć, jej czysto praktyczna strona, w jaki sposób to zrobił. Mówił też, że liczba samobójstw jest prawdopodobnie wyższa, niż to podają statystyki, że wiele zderzeń czołowych na drogach to ukryte samobójstwa. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że zawsze istnieje powód, dla którego dużo częściej poruszamy jakiś temat; słuchałem tego, co mówił ojciec, z pewnością jakoś to komentowałem, nie zdając sobie sprawy z faktu, że to również coś znaczyło, że to także mówiło wiele o tym, co w nim siedziało. Zmarł kilka lat później z powodu beztróskiego, ostrego pijaństwa; trudno nie spojrzeć na to jak na rozciągnięte w czasie samobójstwo. Chciał umrzeć i umarł.

Dlaczego chciał umrzeć?

Był człowiekiem nieprzywiązanym do nikogo. Napisał kiedyś w swoim dzienniku, że zawsze był samotnikiem.

Wokół niego nie brakowało ani ludzi, ani miłości, więc ten brak był w nim, nie potrafił niczego przyjąć, nie potrafił się przywiązać.

Piękno tego świata nic nie znaczy, jeśli jesteś w nim sama. Rozumiesz?

Kiedy człowiek zbliża się do pięćdziesiątki i zaczyna wyliczać wszystkich ludzi, znanych osobiście lub ze słyszenia, którzy źle skończyli, wydaje się, że jest ich cała masa, jakby życie było ciężkim, pozbawionym radości doświadczeniem, przez które tylko nielicznym udaje się przebrnąć i nie pogрузić się w ciemności. Ale tak nie jest, ponieważ wyliczając, nie bierzemy pod uwagę czasu, tego potężnego oceanu dni i nocy, na którym rozsiane są wszystkie zdarzenia, a który stale się rozprzestrzenia i powiększa. Każde wyliczanie zniekształca rzeczywistość jak mapa w stosunku do terenu albo gwiazdy w stosunku do rozgwieżdżonego nieba: gdy przyglądamy im się z perspektywy Ziemi, odległość między nimi wydaje się znikoma, można by sądzić, że gwiazdy we wszechświecie są stłoczone jak ławica śledzi, ale gdybyśmy mogli tam polecieć, zrozumielibyśmy, że kosmos jest naprawdę otwartą przestrzenią. I dlatego dzieło Jensa Bjørneboe *Historia bestialstwa*, ten katalog hańby, ohydy i gwałtu, jest prawdziwe, zdanie po zdaniu,

ale jako całość stanowi oszustwo. Oczywiście, istnieje zło, ale jest ono znikome w stosunku do nie-zła. Oczywiście, istnieje ciemność, ale jedynie jako mikroskopijne punkty w świetle. Oczywiście, życie boli, ale to, co bolesne, to tylko pewnego rodzaju niewidoczne kanały, którymi podążamy w tym, co skądinąd neutralne lub dobre, i z których, prędzej czy później, wychodzimy.

Tak było w przypadku Twojej mamy i mnie, gdy poleciliśmy do Sydney: wyszliśmy z czegoś, co było tak uciążliwe, że ledwo udało nam się to odeprzeć. Kulminacją tego była ciężka depresja, gdy Twoja mama leżała nieruchomo w łóżku, nie będąc w stanie wykonać nawet najmniej wymagającej czynności, takiej jak słuchanie radia czy czytanie, nie mówiąc o tym, by mogła się ubrać, wstać i wyjść na spotkanie dnia. Gdy czasem jej w tym pomagałem i szliśmy razem na spacer do parku, powoli jak wiekowe małżeństwo, potrafiła usiąść na ławce i płakać ze smutku, który musiał być bezbrzeżny. Moja matka przyjechała, by nam pomóc, i matka Twojej mamy również; pewnego razu wychodziłem z domu, żeby pojechać po dzieci, a Twoja babcia wychodziła, żeby załatwić jakąś sprawę, zatrzymaliśmy się za drzwiami i spojrzeliśmy na siebie, Twoja babcia odwróciła się bez słowa i pobiegła z powrotem: zrozumieliśmy w tej samej chwili, że Twoja mama nie może zostać sama w tych ciemnościach, bo mogłaby zrobić coś, żeby z tym skończyć i przestać cierpieć.

Po mroku przyszło światło, ale i ono było przytłaczające i nieposkromione, i Twoja mama została hospitalizowana. Gdy również to minęło, pod koniec tamtego lata, i wypisano ją ze szpitala, kupiliśmy dom, w którym teraz mieszkamy, to miała być nasza letnia posiadłość. Przyjeżdżaliśmy tu w każdy piątek i wracaliśmy w niedzielę wieczorem. Życie stabilizowało się, te zdarzenia jednak żyły w niej nadal jak coś w rodzaju martwych fal, ponieważ wahania nastroju wciąż były zauważalne, chociaż można je już było okiełznać, i powoli malały. W końcu przeprowadziliśmy się tutaj na stałe. Twoje siostry poszły do miejscowej szkoły, a brat do przedszkola. Po raz pierwszy, odkąd staliśmy się rodziną, mieliśmy pieniądze, kupiliśmy nasz pierwszy samochód, urządzaliśmy sobie wycieczki po okolicy i jeździliśmy na wakacje, a ja zacząłem pielęgnować ogród, czyli robiłem to samo co mój ojciec, chociaż nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek mógłbym się tym zająć. Po dwóch latach spędzonych tutaj, w pierwszym domu, w którym czułem się jak w domu, nie licząc tego, w którym się wychowałem, Twoja mama zaczęła przebąkiwać o kolejnym dziecku. Wydaje mi się, że nie mówiła poważnie, że w ten sposób dała wyraz swojej tęsknocie, a ja odparłem, że nie ma mowy, nigdy w życiu, troje dzieci to więcej niż dość. Ale myśl została zasiana, a kolejne dziecko mogło stanowić dla mnie punkt zwrotny, nowy początek, jednocześnie zaś oznaczałoby zobowiązanie, które prawdopodobnie było mi potrzebne, ponieważ w głębi serca, gdzieś na samym jego dnie, wiedziałem, że stałbym się dzięki niemu lepszym człowiekiem. Lubiłem siebie, kiedy byłem

z dziećmi, sprawiły mi jedną z największych radości w życiu i nikogo nie lubiłem bardziej od nich. Nowe dziecko stworzyłoby więcej miłości, a to z kolei sprawiłoby, że nigdy nie mógłbym wybrać innego życia niż to, z rodziną.

Gdy poleciliśmy do Sydney, zabrałem ze sobą *Sceny z życia małżeńskiego*, film Ingmara Bergmana z lat siedemdziesiątych, ponieważ tego samego lata miałem wziąć udział w Tygodniu Bergmanowskim na Fårö, a film był tak długi, że nie miałem czasu obejrzeć go w domu. I tak siedzieliśmy, Twoja mama i ja, od dziesięciu lat w związku, w samolocie lecącym do Australii, i oglądaliśmy niemal dokumentalny film o rozpadzie innego szwedzko-norweskiego małżeństwa, czterdzieści lat wcześniej. Żartowaliśmy sobie z niego, jak to musiało wyglądać z zewnątrz, i jednocześnie delectowaliśmy się nim; właśnie takie rzeczy robiliśmy na początku naszego bycia razem: oglądaliśmy filmy, dyskutowaliśmy o nich, nie wyłączając filmów Bergmana, które były częścią jej dzieciństwa i młodości, a które również na mnie zrobiły kolosalne wrażenie, gdy dobijałem do trzydziestki. Poraziła mnie autentyczność tego filmu, szczerłość i intensywność uczuć, i pomyślałem, że to musi być powód, dla którego ten obraz nie wydaje się tak osadzony w czasie jak inne produkcje pochodzące z lat siedemdziesiątych, w tym pozostałe filmy Bergmana – znajdowały się w świecie filmowym, w którym dawały się oglądać, ponieważ ten świat był w pewnym sensie kompletny i samowystarczalny. Podobnie miała się rzecz z baśniami, które również dawały się czytać, chociaż świat, o którym opowiadały, miał niewiele punktów stykowych z naszym. Ale ten film był otwarty na rzeczywistość w zupełnie inny sposób. Prawdopodobnie dlatego brak dzieci był tak uderzający. Potrafiłem odnieść się do wszystkiego innego: nienawiści, frustracji, podłości, wspólnoty i miłości, które niejako falowały tam i z powrotem między parą głównych bohaterów, nigdy nie milknąc, i właśnie dlatego, że się z nimi identyfikowałem, tak bardzo dziwiło mnie to, że ich dzieci nie miały żadnego udziału w tym rozpadzie ani uczuciach, które ten rozpad w nich wywoływał. Czy chodziło o Bergmana, czy o czasy?

Musiałoby chodzić o czasy. Ja sam dorastałem w latach siedemdziesiątych i pamiętam, że świat dorosłych był całkowicie niedostępny. Zupełnie jakby życie ludzi dorosłych toczyło się na płaskowyżu, a życie dzieci w dolinie u jego podnóża, gdzie mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało. Od czasu do czasu widzieliśmy, jak dorośli stoją tam wysoko i spoglądają na nas, ale prawie nigdy nie zdarzało się, żeby schodzili w dolinę albo żeby nam pozwolono wdrapać się na płaskowyż. Na górze stali nauczyciele, rodzice, ekspedientki w sklepach, ratownicy na basenach, trenerzy i dowódcy. Zdarzenia, do których dochodziło w świecie dorosłych, na przykład rozwód, docierały na dół w postaci plotek, a ponieważ nie można ich było kontrolować, często zastygały powykręcane w przedziwnych podgatunkach prawd.

To brzmi jak historia z zamierzchłych czasów. I tak właśnie jest; *Sceny*

z życia małżeńskiego mają się tak do roku Twoich narodzin, jak film z 1928 do moich.

Może kiedyś obejrzysz ten film. I może dostrzeżesz w nim coś zupełnie innego, na co ja pozostaję ślepy?

Mieliśmy międzylądowanie w Singapurze, gdzie wilgotne powietrze było jak ściana, gdy w środku nocy wyszliśmy na taras, żeby zapalić papierosa, natomiast w Sydney, kilka godzin później, było chłodno, powietrze zimne i przejrzyste, pełne szemrzących kropel deszczu. Gdy jechaliśmy w stronę miasta szeroką, czarną jak smoła asfaltową drogą, rozmawiałem z kierowcą, który nas odebrał, o australijskich zespołach muzycznych.

– The Church – powiedziałem.

– *Oh, The Church!* – powtórzył w chwili, gdy światła, pod którymi przejeżdżaliśmy, niejako przebiły samochód.

– The Hoodoo Gurus – wymieniłem następny.

– *Oh yeah.*

– Ale The Go-Betweens byli najlepsi, prawda?

– Możliwe – odparł. – Tak, całkiem możliwe. Skąd jesteście?

– Z Norwegii – powiedziałem, spoglądając na Twoją mamę siedzącą obok mnie.

– Ze Szwecji – powiedziała Twoja mama. – Mieszkamy w Szwecji.

– W Szwecji? – powtórzył. – W Szwecji trwają właśnie zamieszki.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Zamieszki w Szwecji?

– Tak, właśnie tak. Mówili o tym w wiadomościach.

– Myślisz, że to może być prawda? – zwróciłem się do Twojej mamy.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Brzmi niewiarygodnie.

Wjechaliśmy do miasta, które wyglądało zupełnie inaczej, niż sądziłem; wyobrażałem sobie szerokie, skąpane w słońcu ulice wychodzące na plażę, podczas gdy to, co mijaliśmy, było ciasne, ciemne, zalane deszczem, i chociaż przez moment widziałem słynną Operę po drugiej stronie zatoki, rzęście oświetloną, w następnej chwili przyszło mi na myśl Bergen, gdy droga zakreśliła wokół niskiej góry i znaleźliśmy się w okolicy portu, gdzie chwilę później samochód się zatrzymał.

Wysiedliśmy, zameldowaliśmy się i rozpakowaliśmy bagaże, zapaliłem papierosa na tarasie, patrząc na czarną taflę wody, w której błyszczały światła i z której nieco dalej wyrastały keje, również czarne. „Zamieszki w Szwecji”, które w taksówce brzmiały apokaliptycznie, okazały się kilkoma autami podpalonymi na przedmieściach Sztokholmu. W telewizji wydarzenie wyglądało dramatycznie, w rzeczywistości prawdopodobnie o wiele mniej.

Zobaczyłem, że Twoja mama położyła się na łóżku. Zgasilem papierosa o betonową podłogę i otworzyłem rozsuwane drzwi.

– Jesteś zmęczona? – spytałem.

– Nie bardzo. A ty?

Potrząsnąłem głową.

– Pójdziemy coś zjeść?

– Tak.

Ruszyliśmy tą samą drogą, którą nadjechała taksówka, wokół tunelu pod mostem, który wznosił się w górze, połyskując w deszczu, i znaleźliśmy się w dzielnicy o niskiej zabudowie, z mnóstwem pubów i restauracji. Twoja mama była cicha, jakby lekko zabarwiona ciemnością. Pomyślałem, że ten stan jest najbliższy jej naturze, że właśnie taka jest najbardziej sobą, a w każdym razie najbliższa otoczeniu, w którym przebywa.

Teraz mogliśmy ze sobą rozmawiać. Nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Ważny natomiast był sposób, w jaki to się działo. Rozmowa była osadzona w rzeczywistości, którą dzieliliśmy, i to, co mówiliśmy, miało znaczenie. Zobowiązywało.

Tak czuliśmy się, gdy dziesięć lat temu zostaliśmy parą, i w czasie wokół narodzin Twojego rodzeństwa. I tak czuliśmy się teraz. Przez te dni byliśmy bliżej siebie niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku lat, nie tylko dlatego, że Twoja mama była obecna duchem, ale także dlatego, że zwróciłem się w jej stronę, nie odcinałem się od niej, tak jak to robiłem od dawna.

Rozmawialiśmy o dzieciach, o Twoim rodzeństwie, którego jeszcze nigdy nie zostawiliśmy oboje na tak długo. Rozmowa o dzieciach dawała nam radość, o tym, kim są, co teraz porabiają. Dwoje Skandynawów przy stoliku we włoskiej restauracji w wiosenny deszczowy wieczór w Sydney, długie przerwy między nimi, które tak często widzi się między małżonkami w restauracjach, ale nigdy nie traktuje się ich jak części możliwości własnego życia.

Ale było wspaniale. A kiedy tydzień później wróciliśmy do domu, dzieci czekały na nas na korytarzu, radosne i podekscytowane. Dostały prezenty, które najmłodsze dziecko rozpakowało z zawrotną prędkością, z chciwością typową dla sześciolatka, dwoje starszych z nieco większą godnością, zasypując nas pytaniami o to, co widzieliśmy i co robiliśmy. Australia była krajem, z którym czuli silną więź, bo widzieli ją w mnóstwie seriali telewizyjnych, i to, że my tam byliśmy, było drugą najwspanialszą rzeczą, jaka mogła im się przytrafić – skoro sami tam nie byli. Opowiedzieliśmy im o tym, że widzieliśmy budynek Opery, że w Sydney była jesień i niezbyt ciepło, że jest tam podobnie jak u nas i że któregoś wieczoru jedliśmy obiad w restauracji na szczycie klifu tuż nad oceanem, którego potężne fale uderzały o brzeg tuż pod nami.

– Były tam rekiny?

– Widzieliście kangury?

– Czy dzieci chodzą do szkoły w mundurkach?

Uwiesiły się na nas, nie chciały nas puścić, opowiadały o wszystkim, co wydarzyło się w czasie naszej nieobecności.

O tym, że Twoja mama była tego wieczoru w ciąży z Tobą, nikt nie wiedział.

Kilka tygodni później, podczas wakacji szkolnych, wybraliśmy się na Fårö, gdzie zostaliśmy zakwaterowani w domu gościnnym Ingmara Bergmana, kilkaset metrów od miejsca, w którym mieszkał przez ostatnie czterdzieści lat swojego długiego życia. Wyruszyliśmy z domu w środku dnia, pojechaliśmy na północ, wzdłuż wybrzeża, do Oskarshamn, skąd odpływał prom na Gotlandię. Nasz samochód, multivan, miał z tyłu dużo wolnej przestrzeni, w której siedzenia były ustawione naprzeciw siebie, po dwóch stronach stolika, i chociaż dzieci czasem protestowały, gdy wybieraliśmy się w dłuższą podróż, jakaś ich część to lubiła – przynajmniej takie sprawiały wrażenie – jak tylko zaakceptowały warunki: wielogodzinne siedzenie na tym samym miejscu, przerywane postojami na stacjach benzynowych i w zajazdach. Szybko zapadały w stan podobny do śpiączki, wpatrując się apatycznie w krajobraz zmieniający się za oknem, żeby nagle ożywić się w nierówno rozłożonych seriach, które mogły kończyć się wybuchem śmiechu lub kłótnią, albo gasnąć w nowej ciszy.

Jechałem tą trasą tylko dwa razy i czułem się tak, jakbym przedzierał się przez zewnętrzne rubieże pamięci: nigdy nie wiedziałem, jak będzie wyglądać kolejny odcinek drogi, a mimo to rozpoznawałem go w tej samej chwili, w której się pojawiał. To było trochę jak ponowne czytanie powieści, gdy ma się wrażenie, że jest się blisko czegoś znanego, ale nigdy w życiu się tego nie odkryje, dopóki się na to nie trafi, dopóki zdarzenie lub opis nie osiągną tej szczególnej pełni, która powstaje, kiedy to, co na pozór nowe, co na pozór dzieje się po raz pierwszy, spotyka wspomnienie poprzedniego razu, i przestrzeń między naszą wewnętrzną wersją rzeczywistości i zewnętrzną rzeczywistością przez moment stoi otworem, zanim to, co zewnętrzne, a co ma znacznie większą moc bliskości, usunie to, co wewnętrzne, i świat znów stanie się jednością.

Słońce wisiało nisko na niebie, gdy odbiliśmy z głównej drogi i skierowaliśmy się w stronę Oskarshamn, gdzie czekał już na nas prom, i było ciemno, gdy zjechaliśmy z rampy na drugim brzegu, w środku długiego rzędu samochodów, które przez pierwsze sto metrów jechały stłoczone, jeden za drugim, a których z czasem było coraz mniej, gdy droga rozwidliła się raz, potem drugi i kolejny, aż w końcu zostaliśmy sami; mknęliśmy na północ przez charakterystyczny dla Gotlandii niski las, pełen bagien, zagajników, polan, pól, wszystko spowite nocną ciszą. Niziny odznaczały się delikatnie na tle czarnych, w mroku zrośniętych drzew, tu i ówdzie unosiła się nad nimi mgła, a światła reflektorów, które wydawały się tak brutalne wśród tych wszystkich idealnie ze sobą współbrzmiących odcieni ciemności, zalewały drogę i migwały we wciąż nowych liniach i punktowych elementach odblaskowych wyznaczających krawędź

jezdni. Zostawialiśmy za sobą kilometr za kilometrem, zbliżając się do końca wyspy, gdzie kolejny prom miał nas przewieźć do Fårö.

Spędzaliśmy już kiedyś urlop na Gotlandii. Mieliśmy wtedy jedno dziecko, a Twoja mama była w szóstym miesiącu drugiej ciąży. Mieszkaliśmy wówczas w Sztokholmie i pamiętam, że rozmawialiśmy o przeprowadzce na Gotlandię. Ja pragnąłem tego chyba najbardziej, zawsze pociągały mnie peryferie, ale Twoja mama również była na to otwarta, chociaż od urodzenia mieszkała w Sztokholmie i całe jej życie było związane z tym miastem. Chcieliśmy zacząć od nowa, poza tym żadne z nas nie było realistą: piękny krajobraz lub romantyczne wyobrażenie wystarczyło, żebyśmy poczuli tęsknotę, silniejszą od wszystkich praktycznych przeciwwskazań. Z tego samego powodu oczekiwaliśmy wówczas kolejnego dziecka. Mieć nadzieję, stawiać wszystko na jedną kartę i przyjmować to, co przynosi życie – to była nasza strategia.

Pewnego popołudnia, gdy zmywałem naczynia, a Twoja mama spała w pokoju na piętrze, wyjrzałem na zewnątrz, na deszcz, który sączył się lekko za oknem; widziałem, jak szare światło sprawiło, że wszystko, co zielone, świeciło z tą szczególną intensywnością typową dla deszczowego skandynawskiego lata, które tak bardzo lubiłem, między innymi dlatego, że przypominało mi wszystkie lata spędzone w Vestlandet, gdzie padało na okrągło i krajobraz charakteryzował się pewnego rodzaju zimną bujnością, równie zieloną jak w dżungli, ale nie tak parującą i rozrzutną, bardziej przypominającą trzeźwą dzikość, chłodną ekstazę.

Pstrągi, pieniące się wodospady, lśniąca trawa wzdłuż stoków wzgórz, chmury, które szurały brzuchem o wodę. Szarość i zieleń, zieleń i szarość. Dłonie w letniej wodzie do mycia naczyń, pokryte drobną siateczką baniek mydlanych za każdym razem, gdy wynurzały się, żeby umieścić szklankę lub talerz na szarym metalowym stojaku obok zlewu. Nagła myśl o Twojej siostrze, której nie widziałem od kilku minut. Narastająca panika, którą kontrolowałem, robiąc wszystko powoli. Odłożyłem szczotkę do naczyń na blat, fabrycznie żółtą z niemal nieużytym białym włosiem, wytarłem pomarszczone palce o szorty i wyszedłem do ogrodu, wołając ją po imieniu. Najpierw spojrzałem na trawnik, potem na drogę i las rosnący za nią. Chyba niemożliwe, żeby poszła do lasu? Intuicja podpowiadała mi, że nie, intuicja, którą ma każdy rodzic w stosunku do swojego dziecka, dzięki czemu mniej więcej wie, co może dziecku strzelić do głowy. Wróciłem do domu, zajrzałem do salonu, tam również jej nie było. Nagle usłyszałem kroki tuż nad sobą. Poszła na strych. Nie prowadziły tam schody, tylko drabina. Wdrapała się po drabinie? Przecież to było śmiertelnie niebezpieczne! Przecież ona ledwo potrafiła chodzić!

Pospieszyłem na górę. Odwróciła się w moją stronę, z pieluszką zwisającą kaczkowato z tyłu pupy, i się uśmiechnęła. Ty mały głuptasie!, powiedziałem, wziąłem ją na ręce i zniosłem na dół. Czego tam szukałaś? Nie wiesz, że schody są

niebezpieczne? Nie, odparła, nie rozumiejąc, co do niej mówię, i spojrzała na mnie wyczekująco.

Wszyscy rodzice mają takie doświadczenia, kiedy coś może źle się skończyć, ale się tak nie kończy. Wystarczyłaby drobna zmiana okoliczności, dźwięk, który by sprawił, że odwróciłaby się, straciła równowagę i upadła głową w dół na betonową podłogę, ale dźwięk się nie rozlega, grunt nie usuwa się spod nóg, wszystko prawie zawsze kończy się dobrze. Nawet całkiem małe dziecko jest na swój sposób kompetentne i wiele trzeba, by coś poszło nie tak. Ale wypadki się zdarzają, żyć to znaczy przebywać zawsze w pobliżu śmierci.

Popołudniami biegałem po leśnych ścieżkach i chociaż delectowałem się pięknem zielonego blasku lasów i łąk na tle szarego deszczowego nieba, to jednak trudno to porównać z uczuciem, jakie ogarnęło mnie, gdy po raz pierwszy dostrzegłem między drzewami raukary^[7], formacje skalne rozsiane wzdłuż plaż na Gotlandii, których bardziej miękkie fragmenty zostały wypłukane przez morze; raukary wyglądają tak, jakby zostały stworzone przez człowieka, jak posągi lub pomniki, a jednocześnie są wykręcone w czymś, co przypomina bunt przeciwko nieruchomości, na którą jest skazane wszystko, co powstało z kamienia. Wydały mi się piękne same w sobie, ale tutaj, gdzie wystawały z porośniętej mchem ściółki leśnej, między pniami drzew, było w nich coś niezemskiego, coś głęboko obcego i jednocześnie dziwnie obiecującego: gdy zatrzymałem się przed nimi, miałem łzy w oczach.

Szum fal wtaczających się na pustą kamienistą plażę w dole, potężne milczenie nieba, czerwone pnie sosen, sucha zieleń jagód, tak bladych na tle soczystej, zachłannej zieleni mchu, skały wielkości człowieka, podobne do totemów, jakby pozostawione tam przez inny czas, który sam przestał istnieć.

Potem pomyślałem sobie, że chyba właśnie dlatego miałem łzy w oczach, z powodu tego pęknięcia w czasie, które stworzyły: że były tutaj od zawsze.

Pobiegłem dalej, pobiegłem do domu, pobiegłem do Twojej mamy z dużym brzuchem i Twojej siostry z małym ciałem, pobiegłem do swojej rodziny, pobiegłem do wszystkiego, co miałem.

Osiem lat później Twoje dwie siostry i brat siedzieli senni z tyłu samochodu, gdy zbliżaliśmy się do bazy promowej na północnym krańcu tej samej wyspy. Twoja mama, która siedziała obok mnie, była milcząca; pomyślałem, że zaczął się u niej ten dziwny okres wycofania, który pamiętałem z poprzednich ciąż, ten stan, który nie był wprost introwersją, bo Twoja mama była obecna we wszystkim, co robiła, chodziło bardziej o to, że to, co na zewnątrz, nie było tak ważne; to, co ważne i co miało znaczenie, działo się wewnątrz niej.

Zawsze rejestrowałem jej aktualny nastrój, interpretowałem wszystko, co mówiła i co robiła, dopasowując to do szerszego kontekstu. Przypominało to moje zachowanie w stosunku do ojca. I wtedy, gdy dorastałem, i teraz prowadziłem coś

w rodzaju obserwacji meteorologicznych umysłu, ponieważ w pewnym sensie zależał od tego mój byt.

Teraz było dobrze.

Przejechaliśmy przez niewielką miejscowość i w dole zobaczyliśmy prom jaśniejący na wodzie. Poza jednym samochodem zaparkowanym na drugim końcu pokładu, tuż przy furcie dziobowej, prom był zupełnie pusty. Gdy tylko wjechałem na pokład i zaparkowałem za tamtym autem, odbił od brzegu. Weszliśmy na pokład wyposażony w oświetlenie przemysłowe, stanęliśmy przy balustradzie i spojrzeliśmy w aksamitną ciemność letniej nocy, gdzie wody cieśniny i niebo były odrobinę jaśniejsze od lądu na obu wyspach, przypominających czarne sylwetki.

– Daleko jeszcze? – spytała Twoja najstarsza siostra.

– Niedaleko – odparłem. – Zadzwoń i powiem im, że jesteśmy na promie.

Odszedłem na bok, zapaliłem papierosa i odszukałem kartkę od organizatorów, na której oprócz wskazówek dotyczących trasy znajdował się numer telefonu – miałem zadzwonić, kiedy będziemy blisko, żeby mogli wydać nam klucze. Wybrałem numer, patrząc na troje dzieci, które otaczały swoją matkę i spoglądały na uspioną cieśninę, na matkę, która podniosła najmniejsze z nich, żeby także mogło popatrzeć. Myśl, że Ty również tam jesteś, w swoim delikatnym, kruchym początku. Odebrała jakaś kobieta, powiedziałem, że jesteśmy na promie, wyjaśniła, którędy mamy jechać, i dodała, że trudno tam trafić i żebym zadzwonił, jeśli zabłądzimy.

Osiem lat temu również byliśmy na Fårö; pamiętam, że próbowaliśmy znaleźć dom Ingmara Bergmana, znany nam z niezliczonych filmów i zdjęć. Wiedzieliśmy, że leży na uboczu i że lokalna społeczność nigdy nie odpowiada na pytania, które go dotyczą. Chociaż Bergman wtedy jeszcze żył, nie miałem ochoty się z nim spotkać; nigdy nie chciałem bezpośredniego kontaktu z artystami czy pisarzami, ponieważ spotkanie w dziele było zawsze bardziej osobiste niż w rzeczywistości, pozwalało podejść dużo bliżej niż w przypadku spotkania twarzą w twarz. Czego bowiem wyrazem jest literatura, jeśli nie skądinąd niedostępnej i nieistniejącej bliskości? To, że mimo wszystko wypatrywaliśmy niskiego, podłużnego, bejcowanego na brązowo drewnianego domu, usytuowanego nad jedną z licznych kamienistych plaż, tuż na skraju lasu, wynikało z siły przyciągania atrakcji turystycznych, która sprawia, że człowiek szuka tego, o czym usłyszał przed przybyciem w dane miejsce. I być może również dlatego, że Bergman tak bardzo obrósł legendą, że wydawało się prawie niemożliwym, by mógł istnieć czysto fizycznie i przebywać w określonym miejscu i w określonym czasie. Że jego twórczość z biegiem lat stała się tak obszerna, że on sam w niej zniknął i przeobraził się w postać fikcyjną.

Och, więc to było tu i tam, pomyślałem, gdy dwa kilometry od przystani

promowej skręciliśmy w prawo, a niedługo potem w lewo, w wyboistą żwirową drogę, która najpierw biegła obok kilku małych otwartych pól, a następnie ginęła w ciemnościach sosnowego lasu.

Droga była wąska i kręta, a reflektory równie często oświetlały ją, jak i przestrzeń między upiornymi pniami drzew. Wkrótce minęliśmy jakiś dom po lewej stronie, otoczony wysokim ogrodzeniem z siatki, to musiał być dom Bergmana, a kilkaset metrów dalej droga kończyła się tuż przed dwoma budynkami z małym żwirowym placem.

– Czy to tutaj? – spytała jedna z Twoich siostr.

– Tak, tutaj! – odparłem, wyłączyłem silnik i zaciągnąłem hamulec ręczny.

– Nareszcie! – powiedziała druga.

– Okropnie chce mi się siku – oznajmił Twój brat.

Gdy wysiedliśmy z samochodu i otworzyłem bagażnik, żeby wyjąć walizki, plecaki i reklamówki z jedzeniem, z jednego z domów wyszła kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon. Powitała nas i omówiła kwestie praktyczne; w tym samym czasie Twój brat dzikim wzrokiem wpatrywał się w las, by pognać do domu, gdy w końcu dostaliśmy klucze i kobieta się oddaliła. Wniosłem bagaże, a Twoje siostry natychmiast zaczęły się kłócić o to, która zajmie który pokój na piętrze.

Ponieważ miałem wygłosić wykład o Bergmanie, przed przyjazdem na Fårö jeszcze raz przeczytałem jego dwie książki: *Dobre chęci* i *Rozmowy poufne*. Zupełnie zapomniałem, jak były dla mnie ważne, gdy czytałem je po raz pierwszy, i w jak dużym stopniu wpłynęły na moją pierwszą powieść. Bergman opowiada w nich o swoich rodzicach, którzy w powieściach noszą imiona Anna i Henrik, w pierwszej opisuje to, jak się poznali i zostali parą, druga dotyczy wydarzenia mającego miejsce kilka lat później, gdy Anna nawiązuje potajemny romans ze studentem teologii i postanawia się do tego przyznać. Największe wrażenie zrobił na mnie obraz ojca, w jaki sposób emanował tym, co na własny użytek nazwałem „infantylnym autorytetem” i co charakteryzowało również mojego ojca, i to w tak dużym stopniu, że uformowało jego wizerunek w mojej książce, której środkowa część opowiada o tym, jak rodzice głównego bohatera, któremu nadałem imię Henrik, się spotkali. Wciąż nie jestem w stanie czytać tej części, bo chociaż reprezentuje fragmenty życia mojej matki i ojca, które w pewnym sensie się zgadzają, brzmi fałszywie. Nie doświadczyłem tego, o czym pisałem, i nie mam tu na myśli zdarzeń, lecz to, co sobą reprezentowały. To coś nie odbiło się echem w moim wnętrzu, nie było we mnie zakorzenione, i właśnie to sprawiło, że ta część była zasadniczo nieprawdziwa, choć na pozór wszystko się zgadzało. Ironia losu, ponieważ gdy czytałem te książki, najbardziej interesowała mnie właśnie kwestia prawdy. „Nie można dopuścić się gwałtu na Prawdzie, nie doświadczać zła. Nie czyniąc zła”, mówi w *Rozmowach poufnych* Jacob, stary pastor, który przed laty

przygotowywał Annę do konfirmacji. Ale prawda również niesie w sobie gwałt i między tymi dwoma przeciwnymi biegunami poznania rozgrywa się akcja powieści.

Liv Ullmann sfilmowała *Rozmowy poufne* i gdy jako dwudziestosiedmiolatek obejrzałem ten film, byłem jak zahipnotyzowany. Niewiele z niego zrozumiałem, w każdym razie nie tyle, ile rozumiem teraz, ale był w nim wielki ładunek emocjonalny, wobec którego pozostawałem zupełnie bezbronny. Wtedy myślałem, że film ukazuje „nagie życie”. Fakt, że doświadczenia, o których opowiadał, rozpad małżeństwa i wywołane przezeń wstrząsy nie były moimi doświadczeniami, że nawet się o nie nie otarłem, nie miał żadnego znaczenia, ponieważ uczucia, które wyzwolił, nie odnosiły się do rozpadu małżeństwa, tak wówczas myślałem, lecz do „nagiego życia”. Życia, które ukazuje się, kiedy rozpada się forma lub kiedy człowiek staje w prawdzie o samym sobie, co być może jest jednym i tym samym.

Długo uważałem, że wiedza jest wiedzą akademicką, że doświadczenie jest doświadczeniem akademickim, i że właśnie to ma przekazać pisarz, reżyser lub twórca. Że powieść, film czy jakiegokolwiek inne dzieło sztuki zawierają poznanie i że czytanie polega na jego wydobyciu. Gdy obejrzałem film Liv Ullmann i przeczytałem powieści Bergmana, zacząłem myśleć, że wiedza akademicka, doświadczenie akademickie, poznanie intelektualne nie są niczym innym, jak tylko ochroną przed nagim życiem. Tak jak większość książek, filmów i innych dzieł sztuki.

Kłóciło się to ze wszystkim, czego się uczyłem, to był przecież czysty antyintelektualizm, ale jednocześnie współgrało z czymś, o czym wiedziałem od zawsze i co zwalczałem począwszy od końca moich nastoletnich lat, mianowicie z wyższością szczerości. Bergman nigdy nie był szczególnie szczerym twórcą filmowym, wręcz przeciwnie, powieść *Rozmowy poufne*, w przeciwieństwie do filmu, nie jest szczerą. Jej głównym celem jest ukazanie konsekwencji mówienia prawdy, ceny wolności, i Bergman osiąga to w możliwie najprostszy i z punktu widzenia psychologii najtrafniejszy sposób. Matka Anny ostrzega ją przed Henrikiem, rozumie, że nie jest odpowiedni dla niej, że to człowiek roszczeniowy, który ogołoci ją ze wszystkiego, bo chcąc dać mu to, czego zażąda, córka będzie musiała zrezygnować z własnego życia, z samej siebie. Ale Anna jest młoda, zakochana i idzie za głosem serca. Gdy wiele lat później na cmentarzu w Uppsali spotyka pastora Jacoba, wie o podwójnym życiu: jest zakochana w studencie Thomasie, z którym spotyka się po kryjomu, ale mieszka z Henrikiem i ich wspólnymi dziećmi. Tym razem wie, co robi, działa z rozmysłem, po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw. To, że jej zakochanie jest również destrukcyjne i że te siły, zakochanie i destrukcja, są w powieści Bergmana powiązane z wolnością, czyni z Anny siostrę innej niewiernej kobiety w literaturze: myślę o Annie Kareninie

Tołstoja, która ostatecznie nie widzi innego wyjścia poza samobójstwem i rzuca się pod pociąg. Mężczyźni, w których zakochują się bohaterki, również mają pewne cechy wspólne: obaj są młodszy od swoich partnerek, znacznie mniej od nich dojrzały i w obu przypadkach kobiety widzą wyraźnie ich wszystkie wady, a mimo to ich kochają.

Czym jest ta miłość?

W innej powieści Tołstoja znajdziemy postać wyposażoną w tę samą intuicję i wyrażającą ten sam rodzaj miłości – chodzi mi o księżniczkę Marię z *Wojny i pokoju*, która pod koniec wychodzi za mąż za Mikołaja Rostowa i która w pewnym sensie wyraźnie go przewyższa. Widzi wszystkie jego braki i niedoskonałości, jego niedojrzałość i próżność, podczas gdy on prawie niczego w niej nie dostrzega, a mimo to darzy go miłością. Sposób, w jaki na niego patrzy, przypomina wzrok, jakim rodzice śledzą swoje dzieci – w każdym razie ja tak patrzę na swoje, zawsze wiem o nich więcej niż one same o sobie, dlaczego robią to, co robią, mówią to, co mówią, zauważam ich wszystkie wady i niedociągnięcia, natomiast one nie rozpoznają ani ich, ani mojego spojrzenia przepelnionego bezwarunkową miłością, tym silniejszą, im słabsze okazują się dzieci. Zresztą nic w tym dziwnego, kiedy się człowiek zastanowi: Ingmar Bergman pisał o swojej matce, gdy pisał o Annie, a Lew Tołstoj pisał o swojej, gdy opisywał Marię; Maria Nikołajewna Bołkońska ma wszystkie cechy matki i całą jej historię, jak to wynika z biografii pisarza autorstwa Henriego Troyata.

Gdybym miał kiedykolwiek pisać o miłości mojej matki do mojego ojca, również tak bym postąpił. Tylko w ten sposób jestem w stanie zrozumieć to, o czym mi kiedyś powiedziała: że kochała go. Ja sam nie potrafię tak kochać. Ale długo właśnie tak chciałem być kochany.

Przez pięć dni mieszkaliśmy w Bergmanowskim letnim domu na Fårö, wystarczająco długo, by wejść w rytm; rano jeździłem do sklepu i kupowałem śniadanie, przedpołudniami wybieraliśmy się na jedną z plaż i kąpaliśmy się w morzu, obiad jedliśmy w restauracji pod gołym niebem, a wieczorami, po tym jak dzieci poszły spać, oglądaliśmy filmy Bergmana, ponieważ bałem się śmiertelnie, że zjawię się nieprzygotowany na imprezach, w których miałem uczestniczyć.

Pewnego wieczoru Twoje siostry usiadły z nami na kanapie i obejrzelśmy razem *Siódmą pieczęć*. Film zrobił na nich ogromne wrażenie. Interesowała je szczególnie czarownica przywiązana do drabiny, co takiego złego zrobiła?; wracały do tej sceny jeszcze przez wiele miesięcy. Wydaje mi się, że zafascynowało je po pierwsze to, że wyobrażenie o czarownicach nie należało wyłącznie do świata baśni, lecz istniało również w rzeczywistości historycznej – to odkrycie było dla nich prawdziwym szokiem – a po drugie, że to wyobrażenie nie było prawdziwe, tylko ludzie uważali je za takie, przez co niektóre kobiety posądzano o czary.

Opowiedziałem Twoim siostram o teście na czarownicę, o tym, że podejrzane wrzucano do wody. Jeśli unosiły się na powierzchni, były wiedźmami i ginęły na stosie, a jeśli tonęły, nie były nimi i urządzano im chrześcijański pogrzeb. „Ale przecież one i tak umierały!”, zawołały córki. „To takie niesprawiedliwe! Przecież one nie były czarownicami!” „Nie, nie były”, przytaknąłem. „Ale to się działo dawno temu. Świat się zmienił. Tamte czasy są dla nas prawie jak baśń. A to, co widziałyście, to był tylko film. Kobieta przywiązana do drabiny to była aktorka”.

Ja z kolei byłem zafascynowany ich fascynacją, bo chociaż mieszkały w tym samym domu, poruszały się w tym samym świecie co my, odnosiły się do niego na inne sposoby, w których niewiele było naszych myśli i doświadczeń. Prawie nigdy nie oglądaliśmy wiadomości telewizyjnych, więc wizualna eksplozja i koncentracja przemocy, problemów i zmartwień były czymś, co istniało jedynie w tle, jak pewnego rodzaju mglisty horyzont, który niespodziewanie mógł zostać zaktualizowany, na przykład wtedy, gdy któregoś dnia najstarsza córka oznajmiła, że jej zdaniem Putin jest złym człowiekiem albo że Szwedzcy Demokraci to zła partia, albo gdy jej siostra spytała – ni stąd, ni zowąd, gdy wycofywałem samochód, żeby zaparkować przed domem – dlaczego naziści zabijali Żydów. Obserwowanie tego, jak pęka ich spokojna, bezpieczna rzeczywistość sprawiało mi dziwną przyjemność, ponieważ te dwa procesy zachodziły jednocześnie: one wspinały się do świata dorosłych, a świat dorosłych zniżał się do nich; myślałem o tym jak o podboju, że chciały zająć miejsce w świecie. Że łącząca chęć zrozumienia była równie ważna jak bezpieczeństwo. Inne części świata dorosłych, tego, który istniał między Twoją mamą a mną i między nami a naszymi krewnymi i przyjaciółmi, akceptowały bez zadawania pytań, ponieważ to on w pewnym sensie warunkował ich świat, ale zauważyłem, że udzielały im się nasze sympatie i antypatie, że nasze konflikty, choć niewypowiedziane na głos, sprawiały, że na wiele drobnych sposobów dzieci stawały po czyjejś stronie, jakby zaspokajając nieświadomą potrzebę stworzenia równowagi.

Przypominały wodę: wpływały tam, gdzie była wolna przestrzeń, a odbijały się od miejsc, które były dla nich niedostępne.

W ciągu tych dni spędzonych na Fårö Twoja mama była zamknięta w sobie, mówiła niewiele, ale często ożywiała się na plaży, jakby to bezkresne błękitne niebo i światło rozjaśniały również jej ciemne myśli. Nie przejmowałem się tą ciszą, ponieważ to były dobre dni i podobało mi się w nich mnóstwo rzeczy. To nie były jakieś intensywne, ekstatyczne doznania; powiedziałbym raczej, że wypełniały je drobne przebłyski zadowolenia. Ciepło siedzenia samochodowego rozchodzące się po udach, gdy siadałem za kierownicą ubrany w szorty. Radość z tego, że tworzymy funkcjonującą rodzinę, gdy wszyscy zajęli swoje miejsca w aucie, a ja wrzucałem do bagażnika torby ze strojami kąpielowymi, uruchamiałem silnik i ruszałem cienistą, wąską zwirową drogą. Brzęczenie

owadów fruujących nad kwiatami, gdy siedziałem na ławce w cieniu i paliłem papierosa lub gdy rankiem zbieraliśmy się wokół stołu w ciepłym ogrodzie i jedliśmy śniadanie. Trawiaste pole przy plaży pełniące funkcję parkingu i przypominające mi ten z czasów mojego dzieciństwa, na który dziadkowie odstawiali swoje auto, a potem wszyscy razem wsiadaliśmy do łodzi i płynęliśmy do ich domku letniskowego. Czarne koła samochodu, zielona trawa, cienie rzucane przez brzozy, pod którymi parkowaliśmy, ciepłe powietrze, lekkość ruchów, gdy ciało było ubrane jedynie w koszulę i krótkie spodenki. To, że wszystkie dźwięki dobiegały niejako z oddali i że dzięki temu cisza na łące zdawała się osobliwie obecna, niemal przenikliwa. Morze, które otwierało się przed nami, gdy szliśmy, niosąc torby i parasol przeciwsłoneczny, to, jak nasz chód zmieniał się, gdy wchodziliśmy na plażę i piasek zapadał się pod naszymi stopami, tak że każdy krok w przód oznaczał również małe przesunięcie w tył. I, och!, to błękitne niebo, wiatr wiejący od morza, spienione szarobiałe fale uderzające o ląd i tworzące ten szum, bliski i jednocześnie daleki, który zawsze tu rozbrzmiewał, bez względu na to, czy byli tu jacyś ludzie, by go słuchać, czy też nie, a który sprawił, że zrozumiałem, w krótkim przeblysku radości, że znajdujemy się na jednej z planet gdzieś w przestrzeni kosmicznej.

Zatrzymaliśmy się w odpowiedniej odległości od innych plażowiczów, wbijałem parasol głęboko w piasek, rzucałem każdemu ręcznik, kładłem się na piasku i zapalałem papierosa; w tym samym czasie Twoje rodzeństwo przebierało się w stroje kąpielowe i biegło do wody. Nie lubiłem się już kąpać, uważałem, że wszystko, co ma mniej niż dwadzieścia pięć stopni, jest zimne, i wolałem leżeć na ciepłym piasku i patrzeć na morze, niebo, kąpiących się ludzi. Wiedziałem, że dzieci wkrótce przybiegną z powrotem, ociekając wodą, może nawet trzęsąc się z zimna, i mrużąc oczy przed słońcem, i będą nas prosić, żebyśmy wykąpali się z nimi albo żeby mogły pójść po lody.

– Dacie radę kupić nam przy okazji po kawie? Jedną z mlekiem, a drugą bez? – spytałem, gdy chwilę później dziewczynki stały przed nami.

– Jasne, że dalibyśmy radę – odpowiedziała starsza. – Ale tego nie zrobimy. Chyba nie zamierzacie leżeć tutaj i nic nie robić? Nie jesteśmy waszymi służącymi.

– Chcecie lody czy nie?

– Chcemy – przytaknęła młodsza i spojrzała błagalnym wzrokiem na siostrę.

Żałowałem, że postawiłem ultimatum, ponieważ mogła teraz usiąść i powiedzieć, że nie chce żadnych lodów, chociaż chciała. I awantura gotowa.

– Róbcie, co chcecie – powiedziałem i wyjąłem banknot stukoronowy z kieszeni szortów. – Tu macie pieniądze.

Oddały się plażą, opalone i chude, ich długie jasne włosy mierzwił wiatr. Gdy ich brat zauważył, że coś się dzieje, podszedł do nas i spytał, czy może iść z nimi, a potem pobiegł za siostrami.

– Są wspaniałe, prawda? – powiedziała Twoja mama, która siedziała kilka metrów dalej i patrzyła za nimi.

– Tak – potwierdziłem. – Są wspaniałe.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nie miałem pojęcia, o czym myślała. Już nie. Nie przeżywałem już tak intensywnie jej obecności, która przez tyle lat sprawiała, że starałem się odgadnąć, czego Twoja mama pragnie, i spełnić jej życzenia lub im się przeciwstawić.

Odległość była jak wybawienie.

Ale ona nie była stała.

– Ty też chciałaś lody?

– Nie, w porządku.

– Chyba nie zaczęłaś żałować?

– Czego?

– Że będziemy mieli jeszcze jedno dziecko?

Patrzyła na mnie długo, jakby chciała wysondować, co ja o tym myślę. W końcu potrząsnęła głową.

– Niczego bardziej nie pragnę – odparła.

Odchyliłem się do tyłu, żeby wyjąć z kieszeni paczkę papierosów, zapaliłem jednego i oparłem się na łokciu.

– Powiedziałaś już o tym swojej matce? – spytałem po chwili.

– Jasne, że nie.

– To może zrobmy to?

– Teraz?

– Dlaczego nie? W końcu to twoja matka. Zresztą poprzednio również mówiliśmy jej o tym na początku ciąży.

Jej matka była wulkanem pozytywnej energii, więc pomyślałem, że właśnie to Linda potrzebuje teraz usłyszeć: jak to wspaniale, że spodziewamy się kolejnego dziecka.

Urodzenie trojga dzieci w tak niewielkich odstępach czasu było jak przywiązanie się do masztu podczas sztormu. To, że teraz, gdy minął sztorm, oczekiwaliśmy czwartego dziecka, z boku mogło wydawać się czystą głupotą i zbytnią zuchwałością, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się ubiegłego lata. Ale Twoja mama nigdy nie czuła się lepiej niż wtedy, gdy mieliśmy małe dzieci.

– Może masz rację – powiedziała i pochyliła się nad torebką, wyjęła telefon, wybrała numer i przyłożyła komórkę do ucha.

Leżałem na plecach i spoglądałem leniwie na niebo, lekko przyciemnione okularami przeciwsłonecznymi, przysłuchując się rozmowie. Powiedziała, że jesteśmy teraz na Fårö i że wszystko w porządku, że dzieci są zdrowie i że ma dla niej wielką nowinę. Słyszałem głos Twojej babci, gdy to usłyszała, przepełniony

radością i ciepłem. Trudno było odgadnąć, co naprawdę myślała, bo wspierała swoją córkę we wszystkim, ale z tonu jej głosu domyśliłem się, że jej radość była szczera.

– Co powiedziała? – spytałem, gdy Linda zakończyła rozmowę.

– Ucieszyła się.

– To dobrze – odparłem. Usiadłem i zakopałem żarzący się niedopałek głęboko w piasku. – Już się nie mogę doczekać, żeby powiedzieć o tym dzieciom.

– Tak. Ciekawe, jak zareagują – przytaknęła i spojrzała na mnie z uśmiechem.

Ten uśmiech sprawił mi radość.

W tej samej chwili kawałek dalej dostrzegłem trzy znajome postaci wylaniające się zza wydm i ze sposobu, w jaki dziewczynki wyciągały ręce sztywno przed sobą, wywnioskowałem, że mimo wszystko kupiły nam kawę.

Tego lata wybieraliśmy się do Brazylii. Pewnie zaraz sobie pomyślisz, że przed Twoimi narodzinami ciągle podróżowaliśmy, ale wcale tak nie było. Latem zwykle jeździliśmy do Norwegii, a resztę wakacji spędzaliśmy w domu. Ale rok wcześniej zgodziłem się wziąć udział w festiwalu literackim w Brazylii i poprosiłem o to, by móc zabrać ze sobą rodzinę, na co organizatorzy festiwalu z chęcią przystali. Nie mogli zapłacić za bilety lotnicze, ale pokryli koszty hotelu, nie mówiąc o tym, że wszystko dla nas przygotowali. W tej części świata trwała zima, więc po festiwalu mieliśmy polecieć na północ, w ciepłe rejony, i spędzić tydzień w jednym z tamtejszych hoteli.

Nieco wcześniej zacząłem pisać dla Ciebie coś w rodzaju pamiętnika lub długiego listu – o tym, kim jesteśmy i co działo się w naszym życiu, gdy na Ciebie czekaliśmy. Sam nie do końca wiem, skąd wziął się ten pomysł, ale myślę, że chodziło mi o to, że gdy przyjdiesz na świat, pozostałe dzieci będą dość duże, dziesięć, osiem i sześć lat, związane ze sobą, mające już wspólną historię. Nie chciałem, żebyś miała wrażenie, że jesteś tutaj „na doczepkę”, jeśli wiesz, co mam na myśli. Z drugiej strony wiedziałem, że nie będziesz mogła przeczytać tego, co napisałem o nas, dopóki nie skończysz przynajmniej szesnastu lat, więc robiłem to głównie z myślą o sobie; może w ten sposób chciałem się przygotować, spojrzeć na to, co się tutaj dzieje Twoimi oczami? Zrobić Ci miejsce?

Początkowa faza lata – kiedy w powietrzu nadal wyczuwa się powiewy chłodu, a ciepło znika, gdy tylko chmura przysłoni słońce lub zacznie padać deszcz, przez co ma się wrażenie, że wciąż jest zimno, a ciepło słońca stanowi jedynie mizerną próbę naprawy tej sytuacji, trochę jak piecyki dla palących ustawiane jesienią lub zimą przed lokalami gastronomicznymi – tego roku nie trwała długo, bo już pod koniec czerwca temperatura zaczęła się podnosić, gdy cały kraj znalazł się w zasięgu wyżu, który obejmował Szwecję aż do początku września. To było najpiękniejsze lato od czasu, gdy dziesięć lat temu Twoja mama

i ja zostaliśmy parą i szaleńczo zakochani spacerowaliśmy po Sztokholmie skąpanym w słońcu, które każdego wieczoru zachodziło w morzu ognia na zachodnim niebie, a noce były ciepłe, jasne i niekończące się. Ale na Österlen atmosfera była inna, lato wyprawiało tam inne historie, tworzyło inny nastrój niż ten, który powstaje między ludźmi w przestrzeni między budynkami, z muzyką płynącą z otwartych okien, z parami spacerującymi po opustoszałych popołudniowych ulicach, z parkami wypełnionymi ludźmi, zapachem grillowanych kiełbasek i dymem żarzących się węgla, z warkotem łodzi motorowych dobiegającym z portu, gwarem i śmiechem dolatującym z restauracji pod gołym niebem, tym głośniejszym i wyraźniejszym, im wieczorowi bliżej do nocy, taksówkami bez licencji krążącymi po ulicach jak rekiny, z grupkami ludzi stojącymi bladym świtem przed klubami nocnymi i barami szybkiej obsługi, gdy niebo szybko blednie i zanim się człowiek obejrzy, powietrze wypełnia się ptasim śpiewem, promienie słońca znowu pędzą w stronę wszystkich dachów i fasad domów, połyskują w szybach, antenach, karoseriach aut i taflach wody, a potężne, obsypane liśćmi stare drzewa w parkach rzucają gęste, obfite cienie na jasno oświetlone trawniki. Część z tego lato przyniosło również do Österlen, bo tutaj też były wsie i miasteczka wypełnione turystami oraz przystanie z restauracjami na świeżym powietrzu, ale w lecie w Österlen nie to było istotne, nie to je charakteryzowało – lecz bezkresne niebo rozciągające się błękitem we wszystkie strony, pola, które także ciągnęły się jak okiem sięgnąć, pełne łąnow złocistego suchego zboża, falującego na wietrze niczym morze, gospodarstwa przypominające wysepki złożone z budynków i drzew, oddalone od siebie o kilkaset metrów. I plaże ciągnące się kilometrami, w niektórych miejscach szerokie, jak płaskie wstęgi piasku pod smaganymi wiatrem wydmami, w innych płytkie, tam gdzie klify wpadały do morza lub gdzie las rósł aż do brzegu plaży. Oczywiście, niebo było tu równie wysokie, ale dochodziło do niego morze, tworząc świat złożony wyłącznie z przestrzeni i światła.

Wyobraź sobie ten krajobraz zupełnie nieruchomy, dzień po dniu. Bez powiewu wiatru, tylko stojące powietrze pod ciemnobłękitnym niebem, nasycone pola uprawne, stare drzewa w pobliżu gospodarstw, wąskie dróżki przecinające krajobraz wzdłuż i wszerz. Śnieżnobiałe chmury przepływające wolno po niebie. Nastrój, który się wówczas tworzył, w każdym razie we mnie, był połączeniem samotności i przynależności. Nieskończoności i bliskości – wszystko było małe i lokalne, pojedynczy dom to tu, to tam, jedno miasteczko tu, drugie tam, a jednocześnie ogrom nieba zdawał się ciągnąć to wszystko ku nieskończoności, ale nie przestrzennej, lecz tej związanej z czasem.

Jak wytłumaczyć Ci to niezwykle uczucie?

Może któregoś dnia sama to poczujesz, a może nie.

Ale najważniejsze, żebyś wiedziała, że to było dobre. Kiedy budziliśmy się

rano, co zawsze działo się bladym świtem, odkąd Twoje rodzeństwo, poza najstarszą siostrą, wstawało o szóstej bez względu na to, czy szli do szkoły, czy nie, na zewnątrz było już wystarczająco ciepło, żebym mógł przejść się w samych szortach do skrzynki pocztowej po gazetę i przeczytać ją w ogrodzie, gdzie słońce świeciło prosto na placyk ze stołem i krzesłami, które ustawiliśmy tuż przy ścianie domu, pod oknami kuchennymi.

Trzmielce brzęczały, przelatując powoli z płotka na płatek na rabacie ciągnącej się aż do końca domu, gdzie znajdowały się małe drewniane schody prowadzące do czegoś, co kiedyś – gdy to miejsce funkcjonowało jako trzy oddzielne domy – było wejściem do jednego z nich. Tam, w cieniu gruszy i drewnianego portalu, całkowicie porośniętego jakąś płożącą rośliną, zwykła pić kawę Twoja mama – w przeciwieństwie do mnie nie lubiła przebywać w pełnym słońcu; jej skóra była blada i delikatna.

Ale od czasu powrotu z Fårö nie siedziała tam ani razu. Ciemności wsącały się w nią powoli, aż w końcu niemal całkiem ją opanowały. Widać to było po jej ruchach, które stawały się coraz powolniejsze, i po ich zasięgu, który malał stopniowo, i po jej mowie, która prawie zupełnie zanikła. Przed południem schodziła powoli po schodach, powoli wyjmowała jogurt z lodówki i müsli z szafki, powoli jadła, siedząc przy stole w jadalni i patrząc prosto przed siebie. Przez resztę dnia siedziała na kanapie i oglądała filmy. Jadła z nami lunch i obiad, a potem szła do pokoju na piętrze i kładła się do łóżka. Kiedy wiele godzin później kładłem się spać, leżała w półmroku z przestraszonymi oczami i mówiła cicho: „Dłużej tego nie wytrzymam”. Odpowiadałem, że zawsze tak jest i że zawsze przechodzi, i że musi być cierpliwa. „Ale ja tego nie wytrzymam”, powtarzała. „Co mam robić?”

W tych dniach między jej życiem a życiem reszty rodziny nie było prawie żadnych punktów stykowych. Pojechałem z dziećmi do miasta i kupiłem duży, dość głęboki plastikowy basen, nadmuchałem go i postawiłem na kamiennej ścieżce między domami, napelniłem wodą, w której – chociaż na początku była lodowata – natychmiast zaczęły się kąpać. Kupiłem również zestaw do badmintonu, raketki i siatkę, ustawiłem na środku trawnika i graliśmy kilka razy w ciągu dnia: single, deble lub miksty. Twoje rodzeństwo codziennie odwiedzali przyjaciele albo ono szło odwiedzić przyjaciół; rzadko bywało tu mniej niż czworo dzieci. Lunch i obiad jedliśmy na świeżym powietrzu: albo na placu przy krańcu letniego domu, który od reszty ogrodu był oddzielony furtką i dzięki temu sprawiał wrażenie odrębnego świata, albo przy stole, który ustawiłem pod jabłonią w drugim końcu ogrodu.

Ogród nie robił zbyt imponującego wrażenia w zimowe miesiące roku: prostokątny, ogrodzony teren, który zaczynał się między domami i ciągnął przez jakieś dwadzieścia metrów, pełen starych, powyginanych, gołych drzew, pożółkłej trawy, z przygnębiającym widokiem pokrytych zielenicami mebli ogrodowych,

o które nikt się nie zatroszczył i nie przeniósł pod dach, gdy jesienią zrobiło się zbyt chłodno i wietrznie, by z nich korzystać. Za to wiosną ogród przechodził prawdziwą metamorfozę, było tu tak bujnie, wegetacja roślin tak niesamowita, a latem prostokątny kształt zacierał się zupełnie, nie było widać, gdzie przebiegają granice, zieleń rozlewała się, drzewa i krzewy tworzyły istny labirynt, wszędzie rosły kwiaty o wyrazistych pięknych barwach. Ogród został tak zaprojektowany, że kwitł przez cały rok, od początku marca do końca sierpnia, dzięki czemu jego kolorystyka zmieniała się, powoli zataczając koło, w zależności od tego, które kwiaty wchodziły w okres kwitnienia, zupełnie jakby wyskakiwały z nieskończone powoli obracającego się koła ruletki, myślałem czasem. Przez dwa wiosenne tygodnie ziemia pod gruszą była szczelnie okryta dywanem niebieskich kwiatów, które błyszczały wyjątkowo intensywnie, ponieważ trawnik był wciąż tylko szarozielony, a drzewa jeszcze nie wypuściły liści. Potem pojawiały się krokusy i zawilce, po nich tulipany, a potem przychodził maj i reszta ogrodu eksplodowała. Bzy miały swój czas, róże swój, a pod koniec sierpnia, gdy wydawało się, że wszystko już za nami, nagle rabatka we wschodniej części ogrodu, niemal w całości ukryta pod gałęziami, rozkwitała feerią barw: na liliowo, jasnoczerwono, różowo i niebiesko.

A co się działo, kiedy padał deszcz! Gdy gęste od liści korony drzew ciemniały od wilgoci, trawnik robił się mokry i ciężki, a nad tą pociemniałą zielonością wisiało szare niebo, jakże fantastyczne były te wszystkie barwy, tak migoczące i kruche, prawie tak lekkie jak światło.

Ale ogród nigdy nie wyglądał piękniej niż w środku lata, kiedy powietrze stało, ciepłe i nieruchome, między drzewami, a drzewa rzucały głębokie cienie w zielonym świetle, pełne połyskujących plam na obrzeżach, które drżały i trzęsły się, kiedy zrywał się wiatr. Dzieci z piskiem przebiegały pod zraszaczem ogrodowym albo krążyły w basenie jak małe białe foki, albo maksymalnie skupione usiłowały trafić w lotkę, która szybowiała w górze, biało-czerwona na tle ciemnobłękitnego nieba. Albo leżały na brzuchu skryte w cieniu, każde na swoim kocu, przed laptopem, z nogami zgiętymi w kolanach, którymi machały powoli i w roztargnieniu. Brzęczenie os, trzmieli, much. Nagły, przypominający grzmot dźwięk, kiedy dwa konie pasące się po drugiej stronie żywopłotu zrywały się do biegu – najczęściej rano lub po południu, kiedy nie było jeszcze tak gorąco – i ziemia drżała pod ciężarem ich kopyt.

W tych dniach drzwi były zawsze otwarte, granica między wnętrzem i zewnątrz prawie nie istniała, dzieci chodziły boso lub w sandałach, miały na sobie stroje kąpielowe, szorty lub spódnice, kiedy były głodne, jadły w kuchni kanapki na stojąco albo marudziły, że chcą iść do sklepu po lody, a potem delektowały się nimi, siedząc w ogrodzie.

Między światem zewnętrznym a wewnętrzną rzeczywistością, w której żyła

Twoja mama, nie było już prawie żadnego połączenia. Właśnie to się stało: połączenie zostało zerwane. To, co zaledwie kilka tygodni temu uważała za piękne, przestało być piękne, a stało się niczym. To, co zaledwie kilka tygodni temu uważała za dobre, przestało być dobre, a stało się niczym. Działo się tak, ponieważ to, co piękne i dobre, nabiera znaczenia dzięki łączności i wymianie między nami a światem, dzięki naszej otwartości na świat. Rzeczy i zdarzenia same w sobie nic nie znaczą. Znaczenie otrzymują poprzez swój wydźwięk, echo, które w nas wywołują. Ten wydźwięk łączy nas ze światem i właśnie to stało się z Twoją mamą: świat przestał wywoływać w niej echo. Połączenie było zerwane, została odcięta od świata.

W ciemności, w której teraz żyła, była tylko ona i jej ból. Wiem to, mój skarbie, ponieważ to widziałem. Widziałem, że życie stało się dla niej nie do wytrzymania. Leżała w łóżku przez cały dzień, chociaż to także było nie do zniesienia, ale nie miała innego miejsca, w którym mogłaby być, a łóżko wiązało się ze snem, z ciemnością, za którą tęskniła, ponieważ sen oznaczał brak bólu. Ale nie mogła przecież spać przez całą dobę; w czasie gdy nie spała, leżała z zamkniętymi oczami, całkiem nieruchomo, w sypialni na pierwszym piętrze, w najbardziej ustronnym pokoju w całym domu, podczas gdy słońce rozgrzewało dach, sprawiając, że w sypialni było gorąco jak w saunie; poza tym przez cały czas musiała słyszeć dźwięki dolatujące z zewnątrz, ze świata, którego przestała być częścią. Piski, krzyki i śmiech dzieci pluskających się w basenie. Warkot kosiarki do trawy, którą zataczałem coraz mniejsze koła w ogrodzie. Trzaskanie drzwiczkami w kuchni, brzęczenie filiżanek, szklanek i czego tam jeszcze, kiedy chowaliśmy je lub wyciągaliśmy z szafek. Radio, które włączałem, kiedy zaczynałem przygotowywać obiad, głosy dzieci, kiedy wołały, żebym w czymś im pomógł. Skrzeczenie całej kolonii kawek, które rozchodziło się o zmierzchu nad domami niczym parasol dźwięków, kiedy ptaki zlatywały się ze wszystkich stron i szykowały do snu. Odległy szum uliczny i, dość rzadko, wyraźny, narastający warkot silnika i chrzęst opon obracających się po asfalcie, kiedy jakiś samochód skręcał na naszą ulicę i przejeżdżał tuż pod oknami sypialni. Sąsiedzi, którzy usiedli w ogrodzie z kieliszkiem wina i rozmawiali ze sobą, ich zdaniem, ściszonymi głosami, które jednak niosły się daleko w letniej ciszy. Osy, które urządziły sobie gniazdo w otworze wentylacyjnym nad oknem i przez cały dzień kursowały wte i wewte. Telewizor włączony piętro niżej. Wszystko to musiała słyszeć, ponieważ leżała w łóżku cały dzień i całą noc. Nie wiem, czym były dla niej te wszystkie dźwięki i ten cały tętniący życiem świat, nie wiem, co wtedy myślała. Ale jeśli wszystko jest czarne i wszystko sprawia ból, i to, co czarne i bolesne, rozrasta się tak bardzo, że wszystko inne zostaje wyparte, usunięte, to prawdopodobnie nic się nie słyszy. A nawet jeśli, to z oddali, prawie jak dźwięki, które przesączają się z rzeczywistości do snu. I jeśli zidentyfikowała któryś z nich,

na przykład okrzyki radości Twojego rodzeństwa, nie utorowały one drogi do niej jako coś dobrego, coś naładowanego przyszłością i miłością, lecz jako coś bolesnego, że ona sama nie jest tego częścią i raczej nigdy się nią nie stanie.

Czuła się tak raz w miesiącu. Nie zawsze aż tak źle, ale zawsze na tyle, by miało to na nią wpływ. Innymi słowy: byłem do tego przyzwyczajony. I w pewnym sensie przygotowany na to, by stawić opór, by nie pozwolić, żeby cały ból zawarty w jej spojrzeniu wlał się we mnie, żeby znaczył dla mnie tyle, ile znaczył dla niej. Bo to spojrzenie prosiło o opiekę, a opieka była bezdenna. Poza tym istniała również praktyczna strona życia, którą trzeba się było zająć: po pierwsze, mieliśmy troje dzieci, z których każde miało swoje potrzeby, a po drugie, trzeba było zarabiać, to znaczy pracować. Ta myśl dręczyła mnie nieustannie, a kiedy Twoją mamę zalewała ciemność, kiedy ból i strach przechodziły przez nią jak lawina, a ona leżała nieruchomo na kanapie lub łóżku, zaczynałem to ignorować, w nadziei, że w ten czy inny sposób zrozumie, że sama musi się z tego wydostać.

Tym razem byłem w dodatku rozczarowany. Tak długo było dobrze, wszystko się odmieniło, spodziewaliśmy się dziecka. To, co miało stać się Tobą, już istniało, w jej brzuchu. Nowe życie. W samym środku fantastycznego lata. Z trojgiem cudownych, opalonych dzieci biegających dookoła. We wspaniałym ogrodzie. Jak mogła odwrócić się od tego wszystkiego? Jak to możliwe, że nie dostrzegą, jakie to wszystko jest piękne?

Cicha i milcząca leżała w ciepłej, mrocznej sypialni. Rzadko schodziła na dół, żeby zjeść z nami. Gdy się zjawiała, jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, jak maska, zupełnie nieruchoma. Jej ruchy były powolne, jak u bardzo starego człowieka. Nieskończenie powoli podnosiła dłoń ze stołu, chwyciła widelec, którym nakłuwała kawałek ziemniaka, nieskończenie powoli kierowała go do ust, które powoli się otwierały. Gdy patrzyła na mnie, jej spojrzenie wypełniało cierpienie. Gdy nie było dzieci, prędzej czy później mówiła cicho, ledwo słyszalnie:

Co mam robić.

Dłużej tego nie wytrzymam.

Co mam robić.

Nie wytrzymam tego.

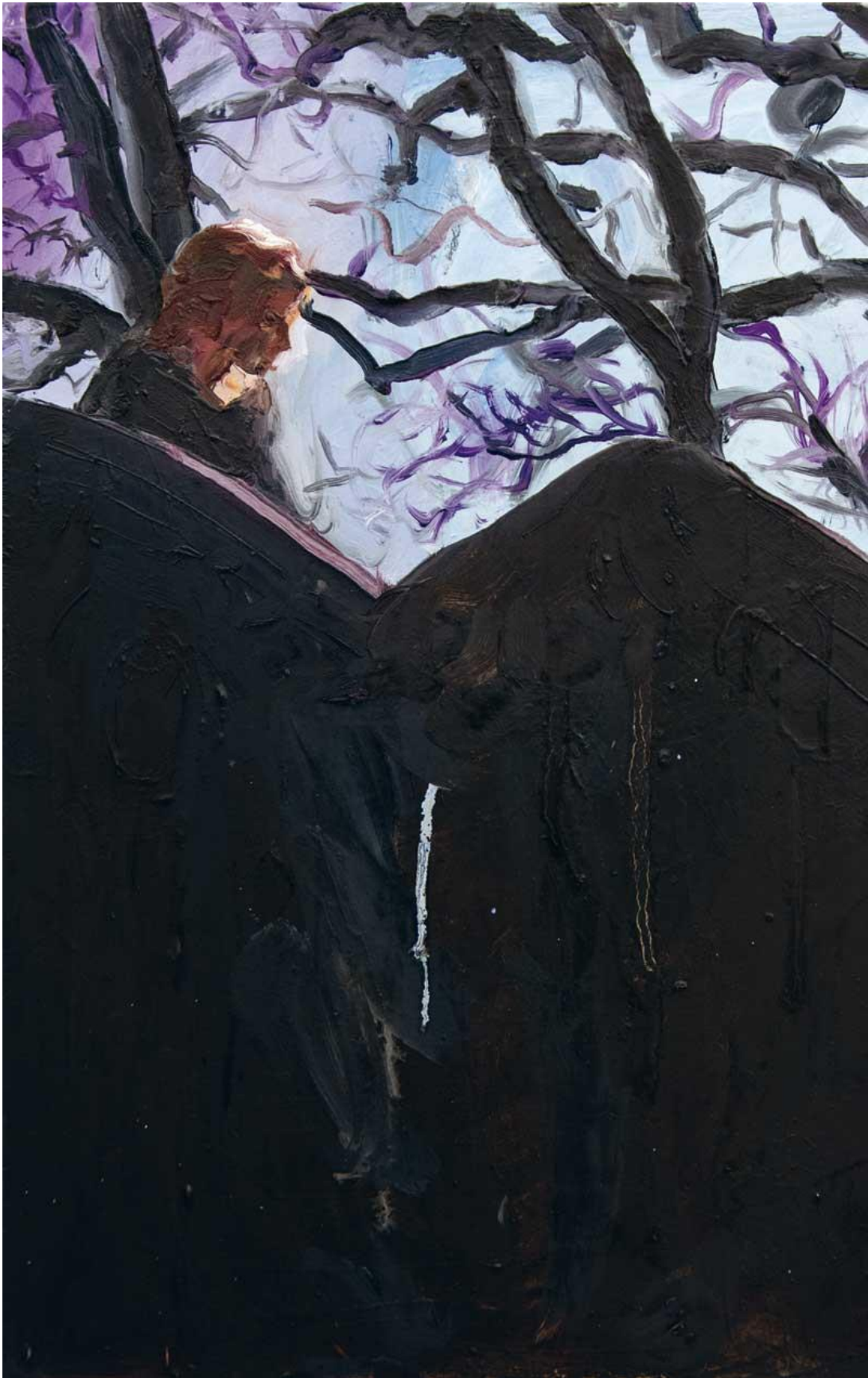
To było jak modlitwa. Trzymała się tych dwóch zdań, jakby to było wszystko, co miała. Żeby jej pokazać, że się z tym nie zgadzam, że to nie jest wszystko, co ma, odpowiadałem głośno. Mój donośny głos był odrzuceniem modlitwy i tego, co się za nią kryło: że to jest wszystko, co ma. Mój głos wyrażał również irytację. Miałem dość tego szeptania, znieruchomienia, nieporadności, bezsilności, odwracania wzroku.

– To minie – odparłem. – Zawsze mija.

Poszedłem do kuchni i zacząłem wkładać talerze do zmywarki.

Przyszła za mną, wolnym krokiem, z rękami zgiętymi pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, jakby niosła coś przed sobą. Ale w dłoniach nie miała nic.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią przesadnie pytającym wzrokiem.
– Nie możemy pojechać – wyszeptała.



Jej oczy płonęły.

Ale nie światłem, lecz ciemnością.

– O czym ty mówisz? – spytałem głośno, patrząc prosto na nią. – Dokąd nie możemy pojechać?

– Do Brazylii – odpowiedziała niemal bezgłośnie.

– Co powiedziałaś?

– Do Brazylii. Nie możemy pojechać.

– Oczywiście, że możemy – odparłem. – To przejdzie. Zawsze przechodzi. Poleżysz w łóżku przez kilka dni, może przez tydzień, i znowu będzie dobrze.

– Nie możemy – wyszeptała.

– NIE MOŻEMY TEGO ODWOŁAĆ! – zawołałem. – NIE ROZUMIESZ?!

Spojrzała na mnie. Chociaż jej spojrzenie było pełne cierpienia, patrzyłem jej prosto w oczy, dopóki nie spuściła wzroku. Wtedy obróciłem się do niej plecami i zająłem nastawianiem zmywarki. Stała za mną przez krótką chwilę, to było nie do wytrzymania, chciałem się odwrócić i dać jej to, o co prosiła, z trudem się powstrzymywałem. Ale nie odwróciłem się, wylałem resztę wody ze szklanek do zlewu i ustawiłem je do góry dnem na najwyższej półce. Odkręciłem kran, wziąłem do ręki talerz i trzymając go ukośnie pod strumieniem wody, obracałem go powoli w jedną i drugą stronę.

Słyszałem, jak jej kroki nikną na schodach.

Oplukałem pozostałe talerze, ustawiłem je w rzędzie na najniższej półce, wrzuciłem wszystkie noże i widelce uchwytami do dołu do pojemnika w rogu, wlałem płyn do mycia naczyń do małego zbiornika, zamknąłem drzwi zmywarki i ją włączyłem. Potem nalałem sobie kawy do filiżanki i wyszedłem do ogrodu.

Długo siedziałem przy stole pod oknami kuchennymi i patrzyłem przed siebie. Słońce wisiało na niebie na południowym zachodzie, a cienie rzucane na trawnik stawały się coraz dłuższe. Dzieci były w środku, ale zostawiły po sobie mnóstwo śladów. Parę sandałów, która leżała na kamiennej ścieżce przed niebieskim plastikowym basenem, z różowymi rzemykami i beżowymi podeszwami z korka, jeden zwrócony podeszwą do góry. Biało-pomarańczową broń z *Gwiezdnych wojen* opartą o pień jabłoni, ręczniki rozrzucone na trawniku jak małe tobołki, rower, który połyskiwał za furtką, leżąc na ziemi wśród dębów błyszczących w promieniach słońca. Przytulanki, które dzieci wyniosły na dwór dwa dni temu i nie zabrały ich z powrotem, na trawniku przed murowanym ogrodzeniem na drugim końcu ogrodu, gdzie poza tym nigdy nie bywały. Niedźwiedź polarny, panda, tygrys i sowa, jeśli się nie myliłem. Bezrękawnik, niebieski w białe kropki, również obok plastikowego basenu. Żółtą piłkę na rabatce z lawendą, pół metra od miejsca, w którym siedziałem, wciśniętą łukowato w ziemię, niebieską piłkę do koszykówki pod oknem mojego gabinetu, a nieco dalej pokrowiec na rakiety do badmintonu.

Wciąż czułem ogromną chęć załagodzenia sytuacji. Potrzeba, by pójść do niej na górę i prosić o wybaczenie, dzięki czemu przywrócona została równowaga, była tak paląca, że musiałem aktywować całą swoją silną wolę, by jej nie ulec.

Ale nie chodzi wyłącznie o przywrócenie równowagi między nami, powiedziałem do siebie, lecz także o moją wewnętrzną równowagę. Nie chciałem iść do niej, żeby być dobrym, ale dlatego, że byłem słaby. Nie potrafiłem być ostry, konsekwentny, nie umiałem się przeciwstawić. Kiedy patrzyła na mnie tym spojrzeniem pełnym rozpaczy i przerażenia, miękłem i starałem się dać jej to, czego chciała. A kiedy ignorowałem to spojrzenie – rozsądek podpowiadał mi, że właśnie tak powinienem postąpić, ponieważ to, co się działo, było zbyt destrukcyjne – zalewała mnie fala wstydu i poczucia winy.

Czy nie na tym polegało bycie dobrym?

Czy nie na tym polegało bycie miłym i kochającym?

Przecież ja także czułem się wtedy dobrze.

Ale to nie było wcale takie proste. Gdybym teraz ustąpił, pozwoliłbym, żeby lęk rządził naszą rodziną. Tę wakacyjną wyprawę planowaliśmy niemal od roku. Chciałem, żeby dzieci przeżyły coś wyjątkowego, żeby zobaczyły Amerykę Południową, Brazylię, Rio de Janeiro. Miałem nadzieję, że to będą niezapomniane wakacje.

Ja pierdolę jebana kurwa mać, i tyle.

Zgasilem niedopałek w doniczce stojącej pod stołem na ziemi, wypilem łyk kawy, zapaliłem kolejnego papierosa i wyciągnąłem nogi przed siebie. Pachniało świeżą trawą, bo przed południem skosiłem pół trawnika. Kosiarka stała tam, gdzie ją zostawiłem, tuż przy jabłoni rosnącej w głębi ogrodu. Chociaż jako osoba dorosła nie miałem tak silnie rozwiniętego poczucia własności w stosunku do rzeczy, które nabyłem, w porównaniu z tym, co czułem jako dziecko, i rzadko identyfikowałem cokolwiek jako tylko moje – poza ubraniami i książkami – zauważyłem, że irytuje mnie widok porzuconej kosiarki, metalicznie żółtej na tle organicznej zieleni.

Wstałem i ruszyłem w jej stronę, miękka trawa łaskotała bosc stopy, podszedłem do kosiarki, która – dzięki temu, że niedawno była w użyciu – włączyła się już po dwóch pociągnięciach sznura.

Gdy pół godziny później skończyłem pracę, puściłem dźwignię, wyłączając tym samym silnik, przepchnąłem kosiarkę po krótkiej trawie na kamienną ścieżkę i odprowadziłem ją na korytarz letniego domku, zavalony narzędziami ogrodowymi, wiadrami i baliami, zabawkami, walizkami i wszystkim tym, na co nie mieliśmy miejsca w domu. Wepchnąłem kosiarkę w ten bałagan, zamknąłem drzwi i poszedłem do salonu, w którym dzieci oglądały telewizję, leżąc w przeróżnych pozycjach na dużej kanapie narożnikowej. Pomyślałem, że kanapa,

szara i pełna plam, przypomina skałę, a dzieci leżą na niej jak lemury. O miękkich stawach, całkowicie wolne w swoim wyborze pozycji. Twój brat leżał na oparciu kanapy, z jedną ręką zwisającą wzdłuż jej boku, jedna z sióstr położyła się na brzuchu z rękami pod brodą, a druga na boku, z głową opartą o róg kanapy i jedną nogą spoczywającą na oparciu.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Tak – odpowiedział syn.

– A u was? – zwróciłem się do córek.

– Jasne – odparły.

– Oglądacie telewizję?

– Nie, tato, patrzemy przez okno – odpowiedziała Twoja najstarsza siostra. –

Tyle się tam dzieje...

– Głupie pytanie, głupia odpowiedź – skomentowałem. – Idę trochę popracować. Przyjdźcie po mnie, jakby co.

– Gdzie jest mama?

– Na górze.

– Dlaczego nie możemy pójść po nią? Jakby co.

– Oczywiście, że możecie. Wasza sprawa.

Wszedłem do domku, który eufemistycznie nazywaliśmy „gabinetem”, i napisałem kilka stron listu do Ciebie o tym, co robiliśmy dzisiaj. Ani jednym słowem nie wspomniałem o Twojej mamie ani o jej obecnym stanie. Potem wróciłem do domu, poszedłem do łazienki, otworzyłem drzwiczki suszarki i wyjąłem z niej tłumok ubrań. Wciąż utrzymywało się w nich ciepło, więc wtuliłem w nie twarz. W dotyku ciepłych, pachnących czystością ubrań było coś dziecięco przyjemnego.

Rzuciłem tłumok na kłębówisko innych ubrań leżących na łóżku przy ścianie po drugiej stronie domu, tam gdzie Twoja mama urządziła sobie miejsce pracy. Pokój miał kształt litery L i na samym jego końcu, pod oknem wychodzącym na ogród, stało jej biurko, które kupiliśmy w pobliskim sklepie z antykami, gdy się tutaj wprowadziliśmy. Pochodziło z połowy dziewiętnastego wieku i było moim ulubionym meblem – chropowate i popękane, lecz wciąż funkcjonalne i pełne wigoru. Kochałem piętno, które odcisnął na nim czas.

Całą krótszą ścianę zasłaniał regał. Linda postawiła na nim zdjęcia dzieci i moje, obok swoich książek, wśród których dzieł napisanych przez kobiety było znacząco więcej niż u mnie. Wystrój pokoju zmieniał się lekko, kiedy była w dobrej formie, przywiązywała się wówczas do innych rzeczy, kupowała ubrania i przedmioty innego rodzaju; domyślałem się, że kiedy znów znajdowała się w dołku, nie potrafiła się z tym pogodzić, prawdopodobnie również się tego wstydziła, skoro usuwała te rzeczy i przestawała chodzić w tych ubraniach.

Wszystko to było częścią jej osobowości, ale zamiast skupiać się wokół jaźni

jako niuanse – domyślałem się na przykład, że lubiła część rzeczy, które kupowała i wynajdywała, ponieważ przypominały jej cudowne czasy dzieciństwa spędzonego z babcią – od czasu do czasu stawało się czymś, co potrafiło ją całkowicie zawładnąć.

Nienawidziła tego. Niczego bardziej nie pragnęła, niż się od tego uwolnić. Często powtarzała, że to rujnuje jej życie. Było w niej coś, co przejmowało nad nią władzę.

Kim zatem była wtedy, kiedy nie była sobą?

Zacząłem składać ubrania i tworzyć z nich małe stopy na podłodze przede mną: jeden z ręcznikami, jeden z pościelą, jeden dla każdego z dzieci i dla nas. W ogrodzie, skąd światło wpadało do pokoju przez trzy okna, kolory powoli matowiały. Trawa musi być już chłodniejsza w dotyku, pomyślałem. Za to powietrze nad nią było nadal przyjemnie ciepłe.

Gdy tego wieczoru kładłem się do łóżka, krótko po dzieciach, Twoja mama już spała. Przez kilka sekund stałem i patrzyłem na nią, gdy tak leżała z jedną nogą wyciągniętą na kołdrze, którą niejako przyciskała do siebie, i myślałem o Tobie, że jesteś tam w środku. Albo raczej to kielkujące życie, które stanie się Tobą. Wiedziałem, że pierwsze trzy miesiące są w pewnym sensie kluczowe; w tym czasie wszystko może się wydarzyć, a Ty albo to życie, które miało stać się Tobą, istniało dopiero od sześciu lub siedmiu tygodni.

Ale byłem pewny, że wszystko się uda.

W sypialni było potwornie gorąco. Przechyliłem się, otworzyłem okno nad nogami łóżka i natychmiast powstał niewidoczny korytarz czegoś chłodniejszego, gdy wieczorne powietrze zaczęło wpływać do środka.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Nie możemy tam lecieć – powiedziała. – Słyszysz? Nie możemy.

– Do wyjazdu zostało jeszcze pięć dni – odparłem. – Nie lepiej trochę poczekać i podjąć decyzję, kiedy zbliży się termin wylotu?

Na moment przymknęła powieki. Gdy je otworzyła, powiedziała:

– Nie mogę. Nie mogę.

Westchnąłem i położyłem się na boku, nie mówiąc dobranoc.

Kilka dni później siedzieliśmy w samochodzie w drodze do Ystad; Twoja mama miała umówioną wizytę u psychiatry, właśnie ją tam wiozłem. Już wcześniej odwołałem lot do Brazylii i oznajmiłem to dzieciom. Twoja starsza siostra rozplakała się na wieść o tym, tak bardzo cieszyła się na tę podróż. Ale przeszło jej, a lato było absolutnie wspaniałe, nie było dnia, żebyśmy nie szli na plażę, więc dzieci dużo nie straciły. Organizatorzy przysłali wiele e-maili, w których próbowali namówić – najpierw nas, potem tylko mnie – do przyjazdu. Odwołałem udział w festiwalu z powodu choroby w rodzinie; zresztą dla nich to było bez różnicy. Ale byłem zły: na nich, na Twoją mamę, na to, że to, co dobre, zawsze zostaje

wymanewrowane przez jakieś zło.

Również tego dnia słońce zalewało krajobraz. Jechaliśmy przez Sandskogen, gdzie gęste od liści korony drzew tworzyły coś w rodzaju ścian tunelu. Na drodze panował duży ruch, jak zawsze latem. Minęliśmy pole kempingowe, wypełnione po brzegi namiotami i przyczepami, spojrzałem na drugą stronę szosy, gdzie morze wyglądało jak niebieska strużka połyskująca nad parkiem samochodów. Ale ten widok nie nappełnił mnie radością, byłem przygnębiony i przepelniony poczuciem beznadziei; wszyscy ci ludzie lekko ubrani, przed kioskiem, w drodze na plażę lub siedzący w restauracji pod gołym niebem przewijali się przed moimi oczami, nie robiąc na mnie żadnego wrażenia. Było mi wszystko jedno.

Twoja mama chodziła na terapię, gdy mieszkała w Sztokholmie, i to był jeden z minusów przeprowadzki do innego miasta: zakończenie tej relacji. Nowej nie nawiązała ani w Malmö, ani w Ystad; teraz wiozłem ją na izbę przyjęć oddziału psychiatrycznego, na którym mieli wypisać jej receptę na leki. Wiele razy prosiła mnie o pomoc w znalezieniu terapeuty lub odpowiedniego ośrodka. Odpowiadałem, że sama musi to zrobić. Niby jak miałem ją w tym wyręczyć? Nie miałem żadnych kontaktów w tym środowisku. I dlaczego ja? Twoja mama była przecież dorosłą osobą i ponosiła odpowiedzialność za swoje życie, tak jak ja za swoje.

Gdy w Malmö jej stan się pogorszył, zadzwoniłem do psychologa i umówiłem nam wizytę, ale to zupełnie nie miało sensu, ponieważ odległość między nim a jej rzeczywistością była zbyt duża. On chciał rozmawiać o tym, jak to jest być żoną znanego pisarza i jak poczucie, że wypadło się z codziennego życia, wpływa na naszą relację. Ona była poza tym wszystkim, milcząca i katatoniczna, na brzegu morza ciemności, które przyciągało ją do siebie, więc pytanie o to, kto co robi w naszym domu, wykraczało poza jej możliwości.

Teraz było podobnie, gdy trzy lata później tkwiliśmy w tej samej ciszy, w drodze do innego lekarza. Zaparkowaliśmy na dużym wyasfaltowanym placu, na terenie przypominającym obiekt przemysłowy, z magazynami i biurami, i w palącym niemiłosiernie słońcu udaliśmy się do budynku, w którym znajdowała się izba przyjęć. Lekarz, młody mężczyzna w okularach, na oko niespełna trzydziestoletni, siedział za biurkiem; Twoja mama i ja zajęliśmy krzesła przed nim. Najpierw przeglądał jej dokumentację. Zawsze to robili, przed naszym przyjściem nikt nic nie wiedział, więc zawsze padały te same pytania. Lekarz przeprosił za to, że rotacja personelu jest tak duża. Zadał kilka pytań Twojej mamie, która prawie nie mogła mówić. Powiedział, że widzi u niej objawy głębokiej depresji i dlatego musi spytać ją o to, czy ma myśli samobójcze. Minęła długa chwila, zanim Twoja mama potrząsnęła głową.

– Czy mogę pani zaufać? – spytał. – Nie zrobi pani nic głupiego?

– Nie – zapewniła go.

Pojechaliśmy do apteki i wykupiliśmy lekarstwa, potem odebraliśmy dzieci ulokowane u różnych przyjaciół, a gdy wróciliśmy do domu, Twoja mama znowu się położyła.

Do tej pory nie myślałem o tym, że istnieje ryzyko popełnienia samobójstwa. Gdy lekarz zadał to pytanie, spojrzałem na niego zdumiony. Właściwie nadal nie brałem tego w ogóle pod uwagę. Dla lekarza to była rutyna. Jeśli pacjent cierpiał na depresję, musiało paść to pytanie.

Miała troje dzieci, dla których była wszystkim, i jedno w brzuchu.

Widziałem, że walczy, żeby wytrzymać, ale wiedziałem również, że jej się to uda i że wkrótce będzie lepiej.

Mimo to następnego dnia wysiadłem z auta, zanim wyruszyliśmy w drogę, poprosiłem dzieci, żeby wsiadły do środka i poczekały na mnie, a sam poszedłem na górę do sypialni, w której leżała.

– Zaraz wyjeżdżamy – powiedziałem.

Spojrzała na mnie.

– Poradzisz sobie, prawda? – spytałem.

Ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

– Nie zrobisz nic... no wiesz, nie chodzi ci po głowie nic głupiego?

Zaprzeczyła.

– W takim razie trzymaj się – powiedziałem. – Do zobaczenia wieczorem.

Wybieraliśmy się do wodnego parku rozrywki położonego kawałek dalej na północ, w pobliżu Tomelilla. Jeździliśmy tam każdego lata. Dzieci wierciły nam o to dziurę w brzuchu od początku sezonu. Były tam nie tylko baseny i zjeżdżalnie we wszystkich kształtach i rozmiarach, lecz także wesołe miasteczko, a każdy, kto zapłacił za bilet, miał nieograniczony dostęp do wszystkich atrakcji.

Kiedyś, mijając szyld reklamowy, przeczytałem błędnie: LETNIA KRAINA DUSZY. To było pobożne życzenie, bo w rzeczywistości na szyldzie napisano: LETNIA KRAINA SKANII^[8]. Ale letnia kraina duszy! Trudno byłoby wymyślić bardziej zachęcającą nazwę, pomyślałem, gdy jechaliśmy pod górę, z Twoją najstarszą siostrą na siedzeniu pasażera obok mnie i z pozostałą dwójką z tyłu. Wybraliśmy drogę obok zamku Tosterup, wzniesionego w czternastym wieku, który znajdował się w odległości dwóch kilometrów od naszego domu: żółty murowany budynek widoczny z daleka, choć niezbyt wysoki, o grubych, krzywych ścianach, z wieżą i fosą, otoczony parkiem, który wydawał się dziwnie nie na miejscu wśród rolniczego krajobrazu. Zamek był jednym z moich ulubionych miejsc w okolicy, ponieważ pochodził z czasów Dantego; w dzieciństwie Tycho Brahe spędzał w nim letnie miesiące, gdy Skania należała do Danii, a jego wuj był zarządcą zamku, a poza tym sama struktura, o której świadczył zamek otoczony lasami i polami uprawnymi, była tak stara i tak konkretna: to stamtąd, z tego zabezpieczonego fosą zameczku o grubych na metr, krzywych ścianach wpływały

wszystkie rozkazy i do niego wpływały wszystkie środki. Nadal był w prywatnych rękach, obecnie mieszkała tam jakaś rodzina. Zamek przywodził mi na myśl Francję Montaigne'a, to, co monotonne, wiejskie w tym świecie, i historyczno-fantastyczne powieści Calvino, które uwielbiałem: *Baron drzewoład* i *Wicehrabia przepołowiony*.

Cieszyłem się, że coś takiego znajduje się w tak bliskim sąsiedztwie naszego miejsca zamieszkania, chociaż bywałem tam głównie wtedy, gdy mieliśmy gości. Z daleka widziałem go każdego dnia, kiedy jechałem do lub z Ystad, żółtą ścianę otoczoną drzewami, z połyskującym czerwienią dachem, który wznosił się tuż nad koronami, żarząc się w świetle zachodzącego słońca.

Tego ranka przemknęliśmy obok niego, przez pola zbóż ciągnące się aż do skraju lasu, przez niewielką wieś, nad torami kolejowymi, potem w dół do małej rzeki lub dużego potoku, gdzie roślinność była tak intensywnie zielona, że wydawała się niemal sztuczna, po złotych, suchych, zalanych słońcem odcieniach zakurzonej żółci i beżu łąnow zbóż. Minęliśmy gigantyczne, podobne do fabryk silosy zbożowe – a może to były fabryki? – i wjechaliśmy na płaskowyż, który w tym rolniczym krajobrazie przypominał raczej polanę wysokogórską, i znaleźliśmy się na głównej drodze.

Twoje rodzeństwo było podekscytowane; przez muzykę, która zawsze płynęła z głośników, gdy jechaliśmy samochodem, słyszałem ich śmiech i rozmowę, między innymi o tym, co najpierw zrobią, kiedy dotrzemy na miejsce.

Mieliśmy się tam spotkać z rodziną najlepszej przyjaciółki Twojej najstarszej siostry; dziewczynki chodziły razem do przedszkola w Malmö i chociaż miały teraz jedenaście lat, wciąż utrzymywały ze sobą kontakt. Ona, jej rodzice i młodsza siostra spędzali tydzień wakacji w domku letniskowym w Sandskogen na obrzeżach Ystad. Ojciec był najspokojniejszym i najbardziej zrównoważonym człowiekiem, jakiego znałem; studiował filozofię i napisał pracę magisterską o Wittgensteinie i buddyzmie, opublikowaną w formie książkowej, teraz jednak pracował w zupełnie innej branży, w firmie konsultingowej, którą sam założył. Matka, Dunka, pracowała jako pielęgniarka w hospicjum w Malmö. Była małomówna, odrobinę nieśmiała, i razem stanowili jedną z tych nielicznych par, w których wszystko zdaje się współgrać, wszystko zdaje się w porządku; jeden z tych związków, o których myśli się, że będą trwały do śmierci. Jednak dużo bardziej liczy się to, co niewidoczne gołym okiem, bo nie ma nic prostszego dla pary niż zachowywać pozory; znałem wiele perfekcyjnych par, które w rzeczywistości już nimi nie były. Ale istnieje coś, czego nie da się udawać: harmonia i wzajemne zaufanie.

Mam nadzieję, że kiedyś ich poznasz. To nie są nasi bliscy przyjaciele, nie jestem dość dobry w rozmowie z ludźmi, by mieć bliskich przyjaciół, a poza tym mam tę przypadłość, że poświęcam cały czas samemu sobie, co ludzie, oczywiście,

zauważają i żaden z nich nie posuwa się dalej. Jeśli ktoś mimo wszystko postanawia spróbować, zwykle się wycofuje. Taki właśnie jest Twój ojciec, stroniący od ludzi; nie żebym tego chciał, ale taki po prostu się stałem, a poza tym życie w samotności, przed monitorem i klawiaturą, jest prostsze.

Może więc jednak właśnie tego chcę? To nie jest dobra cecha, nic, co chciałoby się widzieć w człowieku, ale to się stanie częścią Twojego życia, i chyba właśnie dlatego to piszę, coś w rodzaju mowy obrończej skierowanej do Ciebie. Bo chciałbym, żebyś – kiedy już to przeczytasz – dobrze o mnie myślała. I żebyś myślała dobrze o nas, tego lata, gdy przeżywaliśmy trudne chwile.

Z czasem staję się coraz bardziej deterministyczny, coraz częściej myślę, że nie mamy żadnego wyboru, że człowiek radzi sobie z sytuacjami, które go spotykają, dzięki temu, kim jest, a to, kim jest, wynika z sytuacji, w których się znalazł i z którymi radził sobie przez całe życie. Nie próbuję w ten sposób usprawiedliwiać obłąkanych, niewłaściwych ani z gruntu złych działań, ale doświadczenie podpowiada mi, że ludzie są w pewnym sensie więźniami samych siebie i że wszyscy postrzegamy rzeczywistość w określony sposób, stanowiący podstawę naszych działań – bez możliwości oddalenia się od siebie o krok i przekonania się, że ta rzeczywistość jest zaledwie jedną z wielu możliwych i że równie dobrze mogliśmy postąpić inaczej, i mieliśmy do tego pełne prawo.

To dlatego napisałem, że oszukiwanie samego siebie jest najbardziej ludzką ze wszystkich naszych cech. Oszukiwanie samego siebie to nie kłamstwo, lecz mechanizm obronny. Ty również będziesz oszukiwać samą siebie, pytanie brzmi tylko, w jakim stopniu; jedyną radą, jakiej mogę Ci udzielić, jest to, żebyś starała się pamiętać, że inni ludzie mogą postrzegać i doświadczać tego samego co Ty w zupełnie inny sposób, i że mają do tego pełne prawo.

Ale to jest trudne. Być może najtrudniejsze ze wszystkiego. Bo równie ważne jest to, by być wiernym samemu sobie, bronić swojego zdania i działać na podstawie własnych przemyśleń, a nie cudzych. Tak łatwo jest wejść w obraz rzeczywistości i pozwolić, żeby właśnie on obowiązywał, chociaż w kilku punktach pozostaje sprzeczny z tym, co naprawdę czujemy, przeżywamy i myślimy. Co wtedy robimy? Najprościej jest skorygować uczucia, przeżycia i myśli, bo obraz rzeczywistości jest prostszy i piękniejszy od samej rzeczywistości. I tak dotarliśmy znowu do oszukiwania samego siebie, tej najbardziej ludzkiej cechy.

Może to, co teraz napiszę, jest również oszukiwaniem samego siebie: proste życie nie jest warte pożądania; to, co proste, nigdy nie stanowi pełnowartościowego rozwiązania, tylko trudne życie jest pełnowartościowe.

Sam nie wiem. Ale wydaje mi się, że tak właśnie jest.

Argumentem przemawiającym przeciwko tej teorii jest to, że życzę Tobie i Twojemu rodzeństwu prostego, lekkiego, długiego i szczęśliwego życia.

Po dwudziestu minutach jazdy, ostatnich z prędkością stu kilometrów na godzinę, po prostej, lecz uczęszczanej głównej drodze biegnącej przez Fyledalen, ze spuszczoną szybą i powietrzem wpadającym do środka, skręciliśmy w lewo, zjechaliśmy w dół długiego zbocza, potem kawałek zwirową drogą, aż w końcu znaleźliśmy się na wielkim otwartym polu pełnym samochodów. Znalazłem wolne miejsce na skrawku trawy tuż przy ogrodzeniu, było idealne, ponieważ samochód stał w cieniu rozłożystego drzewa liściastego, a zapowiadał się wyjątkowo upalny dzień.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem na trawę, odsunąłem boczne drzwi i wypuściłem dzieci, chwyciłem torbę z ręcznikami i strojami kąpielowymi, zamknąłem auto, zapaliłem papierosa i ruszyłem za Twoim rodzeństwem, które było już daleko przede mną, w drodze do wejścia położonego na niewielkim pagórku na końcu placu. Tam każde z nas dostało bransoletkę i poszliśmy dalej, w palącym słońcu, obok olbrzymiej konstrukcji z linami, drabinami sznurowymi, wieżami i tunelami, gdzie nie było widać ani jednego dziecka; plastikowe materace, na które można było zeskoczyć, musiały parzyć w stopy.

Stamtąd rozciągał się widok na najdłuższą zjeżdżalnię wodną, zawieszoną wysoko nad nami, na oko miała co najmniej sto pięćdziesiąt metrów długości; zjeżdżało się na niej na czymś w rodzaju cienkiego materaca, rozwijając tak zawrotną prędkość, że chwilowo ta atrakcja parku była niedostępna dla Twojego rodzeństwa, na szczęście, bo w przeciwnym razie musiałbym im towarzyszyć, a już dawno minęły czasy, gdy uważałem, że spadanie z dużej wysokości do wody to świetna zabawa, nawet w tak kontrolowanych i bezpiecznych okolicznościach jak te.

Aquapark był stosunkowo stary i zniszczony, żadnych zaawansowanych technologii, wszystko sterowane ręcznie i oparte na sile ciężenia, i za to właśnie go lubiłem, bo panował w nim duch lat siedemdziesiątych. Poza tym był przestronny, zjeżdżalnie i baseny były rozrzucone na dużym terenie, z małym skupiskiem kiosków i kawiarni w samym centrum, a poszczególne atrakcje wesołego miasteczka oddzielały duże, podobne do parków przestrzenie.

Naszych przyjaciół znaleźliśmy na trawniku przed jednym z mniejszych basenów, przysiadłem się do nich na kilka minut, gdy dzieci poszły do przebieralni, żeby włożyć kostiumy kąpielowe. Spytali, jak się czuje Twoja mama, odpowiedziałem, że całkiem nieźle, chociaż właśnie przechodzi niewielki kryzys. Z jakiegoś powodu czułem ogromną chęć, żeby powiedzieć im, że spodziewamy się kolejnego dziecka, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Zamiast tego rozmawialiśmy o życiu w Malmö i o ich młodszej córce, która niedługo miała rozpocząć edukację w tym samym przedszkolu co jej starsza siostra, prowadzonym przez kooperatywę rodziców, co oznaczało, że ich rola nie była bez znaczenia – wszyscy pełnili jakąś funkcję, co w niektórych przypadkach pochłaniało dużo

czasu, w dodatku wszyscy po kolei musieli tam sprzątać i raz na półrocze obsługiwać przedszkole przez cały tydzień. Powiedziałem, że akurat za tym nie tęsknię, uśmiechnęli się i przyznali, że oni także nie czekają na to z zapartym tchem.

– Ale było w tym również wiele dobrego – powiedziałem. – Przynajmniej dzieci znały wszystkich rodziców.

– Wy też jesteście teraz w stowarzyszeniu, prawda?

– Właśnie się z niego wypisaliśmy. Syn idzie w sierpniu do szkoły.

– Ach tak! Jak ten czas leci!

– To prawda. Ani się obejrzymy, a pójda w świat.

Spojrzałem na ich młodszą córkę, która siedziała na kolanach mamy i patrzyła na nas. Gdy napotkała mój wzrok, spuściła głowę.

– Wy jeszcze się nią trochę nacieszycie – dodałem i się uśmiechnąłem.

W tej samej chwili wróciły dziewczynki. Chciały, żebyśmy poszli z nimi, więc owinałem się ręcznikiem, zdjąłem szorty i włożyłem kąpielówki, nie spuszczać wzroku z dzieci: podbiegły do zjeżdżalni, którą pokonywało się w dużych żółtych obręczach podobnych do opon. Zauważyłem, że mam pewne obawy. Nie dlatego, że zjeżdżalnia była tak straszna, ale dlatego, że woda była tak cholernie zimna.

Całe przedpołudnie spędziliśmy na zjeżdżalniach i w basenach, zjedliśmy lunch i przenieśliśmy się do wesołego miasteczka, gdzie byliśmy do samego końca. Jeździłem samochodzikiem z Twoim bratem, Twoje siostry prowadziły każda swoje autko, potem jechaliśmy kolejką górską i siedzieliśmy razem w jednej z filiżanek, które kręciły się szybko dookoła. Gdy zaczęliśmy się obracać, uśmiechnąłem się do dzieci, które śmiały się radośnie, ale nagle karuzela przyspieszyła, jakby ktoś wrzucił wyższy bieg, kręciliśmy się dużo szybciej, niż się spodziewałem, i z jakiegoś powodu wybuchnąłem śmiechem, ale nie takim kontrolowanym, przytłumionym, jak to mam w zwyczaju, lecz niekontrolowanym, śmiałem się pełną piersią, do rozpuku. Obracaliśmy się w tej jaskrawej filiżance w tym udawanym Tivoli, a ja zauważyłem, że dzieci przyglądają mi się ze zdziwieniem, zanim same zaczęły się śmiać.

– Ale ty się śmiałeś, tato – powiedziała Twoja starsza siostra, gdy karuzela zatrzymała się i zesłiśmy na ziemię.

– To prawda – przytaknąłem. – Była niezła zabawa!

– Zwykle śmiejesz się tak – dodała i zaczęła mnie naśladować: – He, he, he.

Ale teraz śmiałeś się porządnie.

– Masz rację. Podobało ci się to, jak się śmiałem?

Pokiwała poważnie głową i spojrzała na mnie.

– Przejedziemy się nią jeszcze raz?

Gdy późnym popołudniem wracaliśmy do domu, dzieci siedziały na swoich

miejskach ciche i śpiące. Przez wiele godzin nie myślałem o Twojej mamie; dopiero gdy wsiałem do nagrzanego samochodu, z którym byłem tak zaprzyjaźniony, dotarło do mnie, że jest sama w domu, leży w łóżku w gorącej sypialni, przepelniona ciemnością i beznadzieją.

Przejechałem szybko te trzy mile, przez krajobraz, który wydawał mi się równie cichy i śpiący, nasycony słońcem, nasycony ciepłem, gotowy na chłodną dłoń bryzy i rozgwieżdżoną ciemność nocy.

– Halo? – zawołałem, gdy znalazłem się na korytarzu. – Wróciliśmy!

Nie padła żadna odpowiedź, więc poszedłem na górę do sypialni. Twoja mama podniosła się i oparła na łokciu.

– Która jest godzina? – spytała.

Od razu zauważyłem, że coś w niej puściło. W jej spojrzeniu, choć nadal mrocznym, było więcej mocy.

– Parę minut po szóstej – odpowiedziałem. – Jadłaś coś?

Przytaknęła.

– Dość późno jedliśmy lunch, a poza tym dzieciaki napchały się lodami i słodyczami, więc może darujmy sobie dzisiaj obiad?

Znowu pokiwała głową.

Gdy zszedłem na dół, zobaczyłem, że posprzątała w kuchni, obsłużyła zmywarę i poukładała czyste naczynia i sztućce na półkach.

Następnego dnia wstała rano, zjadła śniadanie i znowu się położyła. Odwiozłem jedną z Twoich sióstr do przyjaciółki w Sandskogen, druga odwiedzała kolegę z sąsiedztwa, a Twój brat pobiegł do swojego najlepszego przyjaciela, tak że po południu dom stał pusty. Twoja mama zeszła na dół i usiadła na ławce korytarzowej. Miałem wrażenie, że cała moc domu została w nią zassana, w jej ciemne oczy. Powiedziała, że dłużej tego nie zniesie. Że tak dłużej się nie da. Stałem przed nią, w szortach i koszuli, drzwi za nami były otwarte, powietrze na dworze, wypełnione światłem słońca, było ciepłe i nieruchome. Ona siedziała w pizamie, patrząc w dół przed siebie.

– Zgadzasz się – odparłem. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem.

Zapadła cisza. Po chwili powiedziała:

– Musisz mi pomóc.

– W czym?

– Muszę rozpocząć leczenie. Zrobić porządek z lekami. Znaleźć terapeutę.

– Brzmi nieźle. Masz na myśli coś konkretnego?

Powoli potrząsnęła głową. Potem spojrzała na mnie.

– Musisz mi pomóc.

– Chyba na tym po części polega problem.

– O co ci chodzi?

– O to, że ja nie mogę ci pomóc. Sama musisz się z tym uporać, wygrzebać się z tego o własnych siłach. Mogę cię wspierać, być przy tobie, ale nie mogę ci pomóc. Tylko ty sama możesz to zrobić. Ostatni odcinek drogi musisz pokonać samodzielnie. Właśnie o to tu chodzi.

– To znaczy?

– Twoja choroba polega na tym, że nie bierzesz odpowiedzialności za swoje życie. Nie poczujesz się do odpowiedzialności za siebie ani wtedy, kiedy jesteś w depresji, ani kiedy jesteś w manii.

– Ale to się samo dzieje. Myślisz, że tego chcę? Myślisz, że chcę się tak czuć?

– Nie. Ale uważam, że mogłabyś się bardziej postarać. Kiedy to się dzieje, odpuszczasz zupełnie. Zrzucając całą odpowiedzialność na innych, nigdy nie poczujesz się lepiej. Tylko ty możesz się z tym uporać. Nikt inny nie jest w stanie ci pomóc. Musisz sama sobie z tym poradzić. Bo właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Mogę być tutaj, mogę cię wspierać, ale nie mogę przejść tego ostatniego odcinka za ciebie. Nie rozumiesz tego?

Wstała i poszła na górę do sypialni.

Westchnąłem i wyszedłem do ogrodu. Rozmawiałem z nią głośno i stawiałem jej opór, powiedziałem dokładnie to, czego nie chciała usłyszeć. Że musi sama się z tym zmierzyć. Chciała usłyszeć, że jest mi jej żal. Oczekiwała troski, współczucia, pomocy, chciała usłyszeć, że to jest coś, co przychodzi z zewnątrz i ją dopada, coś, na co nie ma wpływu. Pomyślałem, że dopóki będę spełniał jej oczekiwania, dopóty ten stan będzie trwał. Byłoby prościej, gdyby to nie miało nic wspólnego z nią, bo wtedy mógłbym jej tylko współczuć, wtedy mógłbym otoczyć ją troską, która byłaby jak troska rodzica o dziecko. Ale jeśli to miało związek z nią, musiała stanąć z tym twarzą w twarz. Tylko w ten sposób mogła się od tego uwolnić.

Tak myślałem.

Czułem się podle, ale zwalczyłem chęć wygładzenia tego, co powiedziałem. Zwalczyłem chęć zaopiekowania się nią. Pojechałem po dzieci, usmażyłem klopsiki i ugotowałem makaron na obiad, pozmywałem, usiadłem w ogrodzie i zająłem się czytaniem. Gdy kładłem się spać, Twoja mama leżała na łóżku z otwartymi oczami. Przez chwilę siedziałem i przeglądałem internetowe wydania gazet. Wstała, minęła śpiące dzieci, zeszła po schodach, słyszałem, jak kręci się na dole, przygotowując się do spania. Zamknąłem laptopa, położyłem go na podłodze obok łóżka i zgasilem światło. Gdy wróciła do sypialni i położyła się obok mnie, leżałem w półmroku z zamkniętymi oczami.

Dzieci obudziły się wcześniej, a ja razem z nimi. Trawę przykrywała rosa, a drzewa stały nieruchomo w świetle wschodzącego słońca. Przygotowałem śniadanie, najprostsze z możliwych: wyjąłem paczkę płatków śniadaniowych,

karton mleka, dla każdego głęboki talerz i łyżkę. Sam zadowolilem się filiżanką kawy w ogrodzie; w słońcu było już ciepło, a nad kwiatami roiło się od brzęczących owadów. Dzisiaj miał przyjechać mój brat, Twój wujek, razem ze swoim synem, Twoim kuzynem. Mieszkali w Vestlandet. Przenocowali w Oslo, a ponieważ mieli do przejechania kawał drogi, nie spodziewałem się ich wcześniej niż późnym popołudniem. Nie mieliśmy żadnych konkretnych planów na ten dzień, ale domyślałem się, że nie unikniemy wyjścia na plażę lub na odkryty basen na Nybrostrand. Czasem trudno było namówić na wspólne wyjście Twoją najstarszą siostrę; chociaż niewiele rzeczy lubiła bardziej od przebywania w wodzie i nigdy nie dochodziło wtedy do konfliktów między rodzeństwem, po prostu czysta sielanka, nie lubiła się ruszać z domu, nie lubiła zmian i zdarzało się, że kiedy stawała okoniem, mijała godzina, zanim w końcu wsiadała do samochodu. Kiedy znaleźliśmy się już na miejscu i kąpaliśmy się, wszystko było w porządku. Zawsze starałem się zwrócić jej na to uwagę. „Zobacz, jak jest miło!”, mówiłem. „Zobacz, jak przyjemnie spędzasz czas!” „Jasne, tato”, odpowiadała. Oczywiście, następnego dnia znowu mogła się buntować, ale nie zawsze tak było, czasem wszystko szło jak po maśle, gładko i bez oporów.

W zwykły dzień popracowałem rano, potem zjadłem lunch, pojechałem z dziećmi nad morze, żeby się wykąpać, a wieczorem urządziłem grilla. Kiedy Twoja mama leżała w łóżku, nie byłem w stanie zająć się pracą, bo przecież Twoje rodzeństwo nie mogło pozostawać przez pół dnia bez opieki. A w przypadku gości z grillowaniem jest trochę za dużo roboty, pomyślałem, siedząc w ogrodzie. Może lepsze będą krewetki? Wystarczyło wrzucić je do miski i postawić na stole, a też było odświeżenie.

Krewetki, świeże pieczywo, majonez i białe wino. I piwo; białe wino to nie była moja bajka.

Moglibyśmy zajrzeć do sklepu rybnego w Kåseberga, zazwyczaj mieli tam świeże krewetki. Albo do samochodu z rybami na targu w Ystad. Co prawda, zdarzało im się nie mieć krewetek, ale w pobliżu znajdował się Systembolaget^[9], a i tak musiałem się tam wybrać. Bagietki kupiłem w Olof Viktors, wyśmienitej piekarni położonej za wsią.

To oznaczało jazdę samochodem w upale, na szczęście po kąpieli w morzu dzieci były tak zadowolone, że zwykle udawało się namówić je na to i owo.

Cieszyłem się, że przyjeżdża mój brat. Pomyślałem, że kiedy dzieci pójda spać, usiądziemy sobie w ogrodzie, napijemy się piwa i pogadamy.

Korzyść z rodzeństwa jest taka, że więź trwa przez całe życie i że nic nie jest w stanie jej przerwać. Mam nadzieję, że sama tego doświadczysz. To był jeden z powodów, dla których chcieliśmy mieć dużo dzieci: żebyście zawsze mieli siebie nawzajem.

Gdy tak siedziałem, na dachu ukazał się kot, spojrzał prosto na mnie,

wysuwając głowę ukośnie zza rynny. To był syberyjski kot leśny i podobnie jak jego norweski krewny potrafił schodzić z drzewa z głową w dół. Teraz też to robił, bo obok mnie rosło małe drzewo, mogło mieć około dwóch metrów wysokości, o cienkich gałązkach, które uginały się pod ciężarem rozczochranego, długowłosego zwierzęcia. Gdy kot znalazł się na ziemi, wśliznął się do środka przez otwarte drzwi, żeby zajrzeć do kuchni.

Poszedłem za nim. Stał na czarnym niskim piecyku na drewno. Na mój widok zamiauczał. Otworzyłem puszkę z karmą, ale zanim zdążyłem przesytać całą zawartość do miski, kot już szturchał niecierpliwie moją dłoń, zwabiony zapachem jedzenia.

Dzieci siedziały w salonie i oglądały telewizję. Spuściły żaluzje, więc w pokoju było ciemno jak w grocie. Prawdę mówiąc, nie wolno im było tego robić, ale tego lata trochę wymknęło mi się to spod kontroli. Zastanawiałem się, czy wyłączyć telewizor, ale wyobraziłem sobie tę falę protestu, którą wywołam, i to, że nie znajdą sobie żadnego innego zajęcia, więc będę musiał się z nimi bawić.

A na to nie miałem siły.

Poza tym prawie cały dzień mieliśmy spędzić nad wodą.

Chyba wystarczy słońca, powietrza i ruchu jak na jeden dzień?

Ale żaluzje, cholera jasna, mogłem podnieść! Przynajmniej nie będą sprawiać wrażeń całkowicie odciętych od świata.

Zrobiłem to, wywołując protesty, które zignorowałem.

– Godzina telewizji jest okej – powiedziałem. – Wchodźcie w to?

– Jasne – odparli, a ja zastanawiałem się, czy wiedzą to, co ja wiem, że za godzinę, kiedy wyłączę telewizor, będą protestować równie gwałtownie – bez względu na to, jak bardzo się teraz ze mną zgadzali.

Poszedłem do łazienki, opróżniłem suszarkę, zaniósłem ubrania na łóżko w gabinecie, przełożyłem mokre rzeczy z pralki do suszarki, włączyłem ją, wepchnąłem do pralki to, co leżało na wierzchu w dwóch plecionych koszach na brudną bieliznę stojących pod oknem, wsypałem proszek, wybrałem program i nastawiłem pranie.

Pamiętam, że kiedy kupowaliśmy kosze na brudną bieliznę, chciałem, żebyśmy wybrali plastikowe. To dlatego, że w domu, w którym się wychowałem, mieliśmy kosz z tworzywa. Niebieski, plastikowy, we wzór imitujący siatkę. Myślałem o nim jak o małym łobuziaku stojącym w rogu, który chętnie pozwalał zdjąć z siebie wieko i wypchać po brzegi cudownie brudnymi ubraniami. Dlatego dla mnie liczyły się wyłącznie kosze z tworzywa sztucznego. Wyobrażasz to sobie? Miałem ponad czterdzieści lat i kierowałem się wyobrażeniami z dzieciństwa. Twojej mamie udało się mnie przekonać, że plecione kosze są lepsze, że materiał jest szlachetniejszy, a plastik w gruncie rzeczy jest przemysłowy i brzydki – tego określenia nie użyła, bo gdyby wypowiedziała słowo „brzydki”, obstawałbym przy

swoim – dzięki czemu teraz z przyjemnością patrzyłem na nasze dwa plecione kosze wyścielone beżowym materiałem. Ale jak wieloma innymi wyobrażeniami, jak wieloma innymi dziwnymi preferencjami mającymi swoje źródło w dzieciństwie kierowałem się w dorosłym życiu? A ilu z nich nie rozpoznawałem ani nie kwestionowałem?

Wszedłem do gabinetu Twojej mamy i zacząłem składać ubrania, a kiedy mi się to znudziło, udałem się do kuchni.

Było dopiero wpół do ósmej.

Poranne godziny nigdy nie stanowiły problemu, kiedy mogłem pisać: po prostu znikwały, lekko, jakbym ledwo je musnął. Natomiast będąc w domu, czułem cały ciężar czasu.

Zrobiłem kilka kroków po schodach i stanąłem w miejscu, skąd mogłem zerknąć na ukos do sypialni.

Twoja mama leżała zupełnie nieruchomo. Spała.

Nie chciałem jej budzić, nie chciałem mówić, żeby wstała i mi pomogła, że to nasz wspólny obowiązek. Bo jeśli jej nie budziłem, tylko sam wszystkim zarządzałem, mogłem potem powiedzieć: popatrz na mnie, popatrz, jak sam wszystko robię, podczas gdy ty nie robisz nic.

To było przyjemne uczucie. Złość sama w sobie nie była przyjemnym uczuciem, ale zmieszana z triumfem już tak.

Gdy razem z dziećmi oglądałem telewizję, poczucie triumfu było niewielkie. Ale gdy robiłem coś, co wymagało wysiłku i dawało widoczne rezultaty, triumf był znacznie większy.

Wiedziałem, że powinienem posprzątać na pierwszym piętrze. Panował tam straszny bałagan, wszędzie walały się zabawki i książki, a przejść można było tylko wąską ścieżką biegnącą przez środek. Ale gdybym zaczął tam sprzątać, obudziłbym Twoją mamę. A jeśli już absolutnie musi spać, to niech śpi, pomyślałem.

Postanowiłem zająć się kuchnią. Chociaż codziennie zmywaliśmy naczynia i utrzymywaliśmy blaty w czystości, kuchnia i tak powoli zarastała; piętrzyły się w niej stopy rzeczy pochodzących z innych części domu – co więcej: stopy powstawały na pozór samoistnie, nie mówiąc o tym, co się działo w szafce, w której stały kosze na śmieci, w szufladach ze sztućcami, w kuchence mikrofalowej, piekarniku i lodówce.

To był wielki projekt, który z czasem nabierał jeszcze większych rozmiarów, bo kiedy umyło się jedną szafkę, szybko stawało się jasne, jak okropnie brudne są pozostałe. Chociaż byłem lekko ubrany, w szorty, które były kiedyś długimi dżinsami, a teraz miały obcięte nogawki, i luźną koszulę, która wisiała na mnie swobodnie, szybko się zgrzałem, czoło zaczęło błyszczeć od potu, koszula przylepiła się do pleców. Apogeum irytacji miałem już za sobą, bo jeśli nawet nie

delektowałem się pracą, to czułem satysfakcję, ponieważ od dawna myślałem o tym, że trzeba to zrobić, i teraz właśnie to się robiło.

Wyjąłem wszystko z lodówki, wyrzuciłem stare jedzenie, wyjąłem półki i umyłem je w zlewie, przetrarłem wewnętrzne ściany lodówki, zamontowałem z powrotem półki, na których ułożyłem jedzenie. Potem wziąłem na cel szafki, postąpiłem z nimi tak samo, wyrzuciłem stare torebki z przyprawami, wszystkie produkty, których nie używaliśmy, a które stały w szafkach od lat, umyłem półki, wstawiłem je z powrotem. Umyłem drzwiczki szafek, wyjąłem talerze, szklanki, filiżanki i umyłem półki.

O wpół do dziesiątej dzieci same wyłączyły telewizor i wyszły z salonu, powiedziały mi w przelocie „cześć” i udały się do ogrodu; Twoje siostry zaczęły grać w badminton, a Twój brat usiadł nieopodal na trawie i przyglądał się ich grze. Po chwili, gdy wylałem szarą, brudną wodę do zlewu i znowu napełniłem wiadro czystą, ciepłą, przezroczystą wodą, dzieci porzuciły siatkę i rakiety i wparowały do domu z pytaniem, gdzie są ich stroje kąpielowe. Odszukałem je i podałem dzieciom, a one natychmiast wybiegły do ogrodu.

Chwilę później usłyszałem pukanie do drzwi.

Powiesiłem ścierkę na krawędzi wiadra, wyprostowałem się, starłem pot z czoła i wyszedłem na korytarz.

To były jedna z przyjaciółek Twoich sióstr i jej matka, stały w drzwiach, ciemne na tle intensywnego światła słonecznego, które miały za plecami.

Dziewczynka trzymała matkę za rękę i patrzyła na basen, obok którego stało Twoje rodzeństwo i wycierało się ręcznikami, przyglądając się koleżance.

Kobieta spytała, czy córka może spędzić u nas trochę czasu.

– Tak – odparłem. – Oczywiście. Nie ma sprawy.

– Mamo, czy ja też mogę się kąpać?

– Proszę bardzo, basen czeka – odpowiedziałem.

Dziewczynka pobiegła do przyjaciół, a matka zrobiła krok w stronę przedpokoju. Spytała o Twoją mamę. Wskazałem piętro wyżej i powiedziałem:

– Jeszcze śpi. A ja myję kuchnię.

– Proszę ją pozdrowić. Mogę odebrać córkę po południu?

Skinąłem głową.

– W takim razie do zobaczenia! Proszę dzwonić, gdyby coś się działo.

Odwróciła się do wyjścia.

– Właściwie jest jedna rzecz: myśleliśmy o tym, żeby wykapać się w morzu. Możemy ją ze sobą zabrać?

– Oczywiście, przecież pogoda jest wprost fantastyczna!

– To prawda.

Gdy wyszła, przez chwilę myłem podłogę, a potem udałem się na górę, żeby obudzić Twoją mamę. Dochodziło wpół do jedenastej i myśl, żeby pozwolić jej

spać, przestała mi się podobać. Krótkie spotkanie na korytarzu wystarczyło, żebym zobaczył siebie z zewnątrz, jej obecność niejako wciągnęła mnie w wir codziennego życia, w którym to, o czym myślałem, niczemu nie służyło.

Stałem przed jej łóżkiem i wypowiedziałem jej imię.

Nie poruszyła się.

Pochyliłem się i lekko nią potrząsnąłem.

– Jest już późno – powiedziałem. – Chyba najwyższy czas wstawać?

Nie zareagowała.

Zażywała silne tabletki nasenne, czasem nie można jej było obudzić. Pomyślałem, że może wzięła o jedną więcej niż zwykle, skoro tak długo śpi.

Zszedłem na dół i usiadłem na ławce na korytarzu, gdy nagle do środka wbiegły dzieci i stanęły przede mną.

– Możemy się wykąpać w wannie? – spytały. – Bo strasznie marzniemy!

– M a r z n i e c i e? – zdziwiłem się. – Przecież na dworze jest upał?

– Tak, tato, ale w o d a jest zimna.

Miały rację, poprzedniego dnia wymieniłem wodę w basenie. Wstałem, poszedłem do łazienki, umyłem wannę, splukałem ją, włożyłem korek i odkręciłem kran. Trzy dziewczynki rozebrały się i weszły do wanny, gdy tylko opuściłem łazienkę. Przez okno zobaczyłem Twojego brata, ciągnął za sobą przez ogród węża ze zraszaczem.

Musiałem ją obudzić.

Poszedłem na górę, ale teraz czułem niepokój; pomyślałem, że coś jest nie w porządku.

Znowu wymówiłem jej imię, tym razem głośniej, i bardziej zdecydowanie potrząsnąłem ją za ramię. Ledwo przekręciła głowę.

Znowu nią potrząsnąłem.

Nic.

Przestraszyłem się. Może przedawkowała tabletki nasenne?

Nie, pomyślałem. Po prostu mocno śpi. Nic jej nie grozi.

Zszedłem na dół i usiadłem na trawniku.

Twój brat zmierzał w stronę korytarza letniego domu, gdzie znajdował się kran do węża ogrodowego.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nic. Będziesz podlewać?

– *Yep.*

– Świetnie.

Wstałem, poszedłem do swojego gabinetu i wyjąłem telefon. Czy powinienem zadzwonić po karetkę?

Nie, nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem zawracać im głowy taką błahostką.

Po prostu spała jak zabita.

Ale bałem się coraz bardziej, coraz mocniej trzęsły mi się ręce, nogi miałem jak z waty.

Spróbuję jeszcze raz, pomyślałem.

– Gdzie jest mama? – spytał Twój brat, gdy zobaczył, że nadchodzę. Stał i bawił się kranem, odkręcał go i zakręcał, tak że woda w zraszaczu wznosiła się i opadała.

– Śpi mocno – odparłem.

Dlaczego dodałem „mocno”? Dlaczego nie powiedziałem tylko, że śpi?

Co mam robić.

Co robić, o matko, co robić.

Wszedłem po schodach, przedarłem się przez bałagan w pokoju i znowu stanąłem przed naszym łóżkiem.

W sypialni było gorąco jak w piekarniku.

A ona wciąż leżała nieruchomo.

Pochyliłem się, złapałem ją za ramiona i potrząsnąłem nią z całej siły.

Nie zareagowała.

W tej samej chwili Twój brat wszedł po schodach.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nic. Po prostu mama mocno śpi.

– Nie możesz jej obudzić?

– Nie – odparłem. – Ale wiesz, mama bierze tabletki nasenne, a po nich śpi się głębokim snem. Chodź na dół.

Boże, pomóż mi, pomyślałem.

Pomóż mi, Boże.

Teraz potrzebna mi pomoc, Boże.

Gdy Twój brat bawił się w ogrodzie, a dziewczynki piszczały z radości w wannie, znowu wyjąłem telefon. Muszą zrozumieć, że się boję, nawet jeśli ich zdaniem nie ma czego.

Wybrałem numer 112. Od razu uzyskałem połączenie. Przedstawiłem się, idąc w głąb ogrodu, tak żeby Twój brat nie słyszał, co mówię.

– Chodzi o moją żonę. Nie jestem w stanie jej obudzić. Przypuszczam, że wzięła za dużo tabletek nasennych. Nie wiem, co robić.

– Okej. Oddycha?

– Tak.

– Proszę podać adres.

Podąłem.

– Natychmiast wysyłamy karetkę. Będzie na miejscu za dziesięć minut.

Dopiero wtedy to zrozumiałem, kochanie.

Dopiero wtedy, gdy ambulans był w drodze.

Zadzwońiłem do matki zaprzyjaźnionego dziecka i opowiedziałem, co się stało.

– Może pani przyjechać i zabrać dzieci? Nie chcę, żeby tu były, kiedy zjawi się karetka.

– Już jedziemy – odparła.

Odłożyłem słuchawkę i wbiegłem do łazienki.

– Ubierajcie się – zawołałem. – Możecie to zrobić jak najszybciej?

– Dlaczego?

Powiedziałem, że mamę zabiorą do szpitala, że to nic poważnego i że one pojedą do swojej przyjaciółki, i tam się pobawią.

Dziewczynki wyskoczyły z wanny i zaczęły się ubierać. Wyszedłem na dwór i okrążyłem dom. Ich samochód zbliżał się z szaloną prędkością, na pewno jechał setką. Zatrzymał się gwałtownie, ojciec dziewczynki wyskoczył z auta i podbiegł do mnie.

– Gdzie ona jest? Umiem udzielać pierwszej pomocy.

– Ona oddycha – odpowiedziałem. – Karetka zaraz tu będzie. Musicie zabrać dzieci. Zanim się tutaj zjawi.

Poszedł za mną. Dzieci wyszły z domu, a on eskortował je przed sobą. Wsiadli do środka i w tej samej chwili, w której usłyszałem syreny gdzieś na wysokości sklepu, samochód ruszył z podjazdu.

To było jak piekło. Chociaż to, co się działo, było proste: nadjechał samochód, zapełnił się dziećmi i odjechał, to było jak piekło ruchu. Wszystko inne zostało wymazane, jak za pomocą białego płonącego światła.

Z karetki wysiadło dwóch mężczyzn. Wydawali się spokojni. Jeden z nich spytał mnie, co się stało, a drugi wyjął walizkę. Odpowiedziałem na pytanie, gdy okrążyliśmy dom. Wskazałem im drogę na pierwsze piętro, przez bałagan, do rozgrzanej jak patelnia sypialni.

Twoja mama leżała tak jak wcześniej, jakby nic się nie wydarzyło.

Zacząłem płakać.

– Tu jest gorąco jak w saunie – skomentował jeden z mężczyzn i pokręcił głową.

Drugi zaczął ją badać.

– Jest w ciąży – powiedziałem.

– Wie pan, jakie leki zażyła? – spytał drugi.

– Nie.

– Gdzie je trzyma? W łazience?

– Tak.

– Może je pan przynieść?

Zszedłem na dół do łazienki i wyjąłem pudełka z lekarstwami z szafki, były pootwierane, część leżała również na krawędzi zlewu. Wszystko razem wrzuciłem

do reklamówki.

Na górze w sypialni mężczyźni wołali do niej głośno.

Odpowiedziała.

To był bełkot, ale mimo wszystko jakaś odpowiedź.

Jeden z mężczyzn zszedł na dół po nosze. Powiedział, że wszystko będzie dobrze. Dałem mu siatkę z lekarstwami.

Stałem tam i słyszałem, jak pracują, a łzy spływały mi po policzkach. Miałem wrażenie, że wszystko rozplywa się na boki, że nie istnieje już żadne centrum, nic, czego można by się uchwycić.

W końcu zeszli po schodach z Twoją mamą przypiętą do noszy. Była wciąż nieprzytomna. Ich ciężkie buty, wąskie schody, Twoja mama nienaturalnie duża, jak we śnie, gdzie proporcje są inne.

Gdy jechałem karetką do szpitala, to, co widziałem za oknem, zdawało się nie mieć żadnego powiązania ze mną. To, co się działo, również nie. To były tylko obrazy, bez wzajemnego związku. Kilka razy wciągnąłem głęboko powietrze, próbując być obecnym i rejestrować to, co się dzieje. Jednocześnie było we mnie coś, co chciało pozostać na zewnątrz, odsunąć wszystko na bok lub pozwolić, aby to, co się działo, przepływało przeze mnie, nie robiąc na mnie wrażenia.

Kierowca siedzący obok mnie włączył niebieskie światła błyskowe, gdy wyjechaliśmy na główną drogę. Właściwie to nie jest konieczne, powiedział, ale może być niewielki ruch, więc nie zaszkodzi jechać na sygnale.

Mijaliśmy samochody, które jechały przed nami, zataczając długie łagodne łuki. Większość pojazdów zjeżdżała na boki. Morze otworzyło się przed nami i po chwili zniknęło, gdy wjechaliśmy między drzewa.

Pozwoliłem jej leżeć.

Wzięła za dużo tabletek, a ja nawet tego nie zauważyłem.

W sypialni było gorąco jak w saunie.

Światło słoneczne połyskiwało wśród listowia, błyszczało w tafli wody, odbijało się od asfaltu. Wjechaliśmy do dzielnicy mieszkaniowej przed centrum miasta. Ludzie idący chodnikiem spoglądali na nas, gdy mknęliśmy ulicami; zrobiłbym to samo, gdybym był na zewnątrz, a nie w środku karetki.

Pozwoliłem jej leżeć.

W sypialni było gorąco jak w saunie.

Wjechaliśmy na teren szpitala od tyłu, gdzie natychmiast podniosła się brama wjazdowa. Zaparkowaliśmy w garażu wewnątrz budynku i Twoja mama została zanieśiona na noszach do sali, w której czekał już na nią zespół lekarzy i pielęgniarek.

Personel karetki przekazał im najważniejsze informacje, co się stało, co zażyła, że jest w ciąży, i wyszedł na zewnątrz.

Stałem przy ścianie z twarzą zalaną łzami.

– Jest pan jej mężem? – spytała jedna z pielęgniarek.

Przytaknąłem.

– Może pan tutaj usiąść – powiedziała i wskazała głową krzesło w rogu sali.

– Nie wiedziałem, że to zrobiła – wyjaśniłem łamiącym się głosem. – Leżała sama przez cały ranek.

– To nie pana wina. Nie wolno panu tak myśleć.

Ale właśnie tak myślałem. Pozwoliłem jej leżeć w łóżku przez wiele dni, w sypialni było gorąco jak w saunie, a ja nie przejąłem się nią na tyle, żeby zauważyć, że zażyła leki.

Ale nic nie powiedziałem, ponieważ słowa pielęgniarki były pocieszające, choć nieprawdziwe.

Twoja mama leżała na stole operacyjnym, była przytomna, ale zachowywała się jak w transie, nie rozumiała sytuacji, ale akceptowała to, że otaczali ją lekarze i pielęgniarki. Po pewnym czasie opuścili salę, została tylko jedna pielęgniarka. Już dawno rozumiałem, że życiu Twojej mamy nic nie grozi, w przeciwnym razie już by nie żyła. Ale nie miałem pojęcia, czy Ty jesteś cała i zdrowa.

Kilka godzin później wyczołgałem się z taksówki i wszedłem do ogrodu. Było tam Twoje rodzeństwo, ich przyjaciółka i jej matka. Dwoje dzieci grało na słońcu w badmintona, a dwoje siedziało w cieniu i obserwowało grę. Były całkowicie zaabsorbowane zabawą, śmiały się i żartowały, skupione tylko na sobie. Powiedziałem matce dziewczynki, że wszystko jest już dobrze, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Spuściłem wzrok, gdy to powiedziałem, ponieważ wciąż paliło mnie poczucie winy, że naraziłem jej córkę na coś takiego. Gdy spojrzałem w górę i napotkałem jej spojrzenie, rozumiałem, że w ogóle o tym nie myślała. Już zaczynało mi się zbierać na płacz, ale powstrzymałem się, bo nie chciałem, żeby dzieci to zobaczyły. Powiedziała, że dali sobie radę, że dzieci przez jakiś czas bawiły się u nich, ale potem chciały wrócić do domu. Że są najedzone i w dobrym humorze.

Byli u nas jeszcze przez chwilę, aż w końcu zabrali córkę i odjechali. Powiedziałem Twojemu rodzeństwu, że ich mama zostanie przez jakiś czas w szpitalu, ale wszystko jest w porządku i mamie nic nie grozi. Już wcześniej leżała w szpitalu, więc dzieci nie były zaniepokojone. Poza tym nie widziały karetki ani noszy, nie udzielił im się dramatyzm sytuacji, więc dopóki ja zachowywałem spokój, one również były spokojne. Po południu przyjechał mój brat z synem; po tym, jak wymieniliśmy kilka słów, stojąc przed drzwiami z niewielkim stosem walizek i toreb, i gdy opowiedziałem trochę więcej o tym, co się stało, niż wcześniej przez telefon, poszli na trawnik i zaczęli grać w badmintona. Nie rozumiałem, jak mogą grać, bo ja widziałem jedynie ciemność w świetle, widziałem jedynie upiorne cienie w głębokim, wypełnionym światłem słonecznym ogrodzie, chociaż jakaś część mnie wiedziała, że mój brat postępuje

śluszenie, że dla dobra dzieci musimy starać się żyć możliwie zwyczajnie.

Usiadłem na krześle pod oknem kuchennym, zapaliłem papierosa i patrzyłem, jak przerzucają białą piórową lotkę z czerwonym czubkiem nad siatką, jak za każdym razem lotka zastyga na moment – zupełnie jakby nic nie ważyła – na tle bezkresnego błękitnego nieba. Ciemnozielone cienie w głębi ogrodu. Słońce, które wisiało nad dachem letniego domku i płonęło bezgłośnie.

Po tym, jak zjedliśmy obiad na dworze, przy białym stole upstrzonym cieniami liści jabłoni, którą od czasu do czasu owiewała bryza, ze zmrużonymi oczami dzieci, które oślepiało światło słońca, znowu pojechałem do szpitala. Zaparkowałem na placu przed głównym wejściem i coś związanego z rozgrzanym asfaltem, ciemnym błękitem nieba, długimi cieniami i nasyceniem światła rzucanego przez nisko wiszące słońce przypomniało mi letnie wieczory z czasów, gdy dorastałem. Kiedy dzień właściwie się kończył, ale było tak ciepło, że braliśmy wieczorną kąpiel w morzu, u podnóża urwiska, tafla wody ciemna tuż przy skale, jasnoniebieska tam, gdzie światło słońca padało szerokimi strugami.

Chłodna toń, która na nas czekała.

Pojechałem windą w górę, ruszyłem w głąb korytarza, otworzyłem drzwi na oddział i wszedłem do środka. Pielęgniarka idąca przede mną spojrzała w moją stronę, a wtedy spytałem ją o Twoją mamę.

Leżała sama w pokoju, białym, wypełnionym światłem zachodzącego słońca. Kołdra, którą była przykryta, również była biała, tak jak ubranie, które miała na sobie.

Była blada i wycieńczona, leżała z głową na poduszce; gdy wszedłem do sali, odwróciła twarz w moją stronę.

– Och, Karlu Ove – powiedziała, gdy usiadłem obok niej. Jej głos był cichy, niemal szepczący. – Wybacz mi. Musisz mi wybaczyć.

Płakała.

Ja też płakałem.

– Nie wiedziałam, co robię.

– Wiem – odparłem i wziąłem ją za rękę. – Nie myśl o tym. To nie była twoja wina. I jest już dobrze. Jest dobrze. Jest dobrze, słyszysz.



TRZY

Przez kilka wiosennych dni ma się wrażenie, jakby tutejszy krajobraz otwierał się na wszystkie strony – na kilka tygodni, zanim eksploduje zielenią – kiedy drzewa są wciąż bezlistne, a ziemia naga, jakby nadal tkwiły w zimie, chociaż słońce świeci jak w pełni lata, a światło nie napotyka żadnych przeszkód, nie jest wychwytywane przez zboża ani trawy, korony drzew ani nic z tego, co rośnie, co – gdy tylko się pojawia – stwarza wokół siebie niewielką przestrzeń i staje się miejscem. Przez tych kilka wiosennych dni tutejszy krajobraz jest niejako bezmiejscowy, a objętość pod niebem, przez które przebija światło, olbrzymia.

Właśnie tak było tego kwietniowego dnia, gdy nadjeżdżaliśmy od strony dwóch małych wsi, z rozsianymi we wszystkie strony gospodarstwami, prosto w kierunku morza, które było tak ciemne, że nie odbijało promieni słońca, tylko leżało tam jak głęboka niebieska wstęga pod jasnoblękitnym sklepieniem nieba.

Zahamowałem przed mało przejrzystym skrzyżowaniem, włączyłem prawy

kierunkowskaz, przechyliłem się do przodu, żeby zobaczyć, czy nie zbliżają się jakieś samochody, po czym wjechałem na nadmorską drogę biegnącą wzdłuż poligonu aż do Kabusa, gdzie łączyła się z główną trasą do Ystad.

Powietrze nad pagórkami było lekko zamglone, jak to się często zdarza wiosną i latem.

Ściszyłem muzykę, żeby usłyszeć, czy się obudziłaś, ale chociaż z tyłu panowała zupełna cisza, nie sposób było to stwierdzić, ponieważ czasem patrzyłaś prosto przed siebie, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

– Widzisz krowy? – spytałem głośno.

Pasło się tam może ze sto krów, odpornej, nieco kudłatej rasy, wiele z nich o jasnym umaszczeniu, niektóre prawie całkiem białe, większość beżowych, niemal żółtawych, nieliczne brązowe, ale nie podchodzące pod czerwień, tak jak te, do których widoku przywykłem w dzieciństwie, lecz ciemniejsze, bardziej w kolorze ziemi.

Nigdy nie widziałem, żeby biegły, zawsze stały jak posągi i pasły się albo leżały i odpoczywały, na deszczu i na wietrze, w słońcu czy śnieżycy.

Nie wydawałaś żadnego dźwięku, właściwie to dobrze, pomyślałem, bo dzięki temu będziesz wypoczęta, kiedy zjawimy się u Twojej mamy, która nie może się doczekać, kiedy Cię zobaczy, i być może byłaby lekko rozczarowana, gdybyś wtedy spała.

Samochód wjechał między drzewa i wszystko zniknęło: krowy, równiny i widok na morze. Reszta drogi do Ystad biegła przez Sandskogen, który powstał z inicjatywy Karola Linneusza – gdy ten mniej więcej w połowie osiemnastego wieku podróżował po Skanii – prawdopodobnie po to, by związać ziemię i nie dopuścić do tego, by wiatry rozsypywały ją na pola.



Teraz las wyglądał tak, jakby zawsze tu był.

Gałęzie drzew były nagie, więc nadal można było przez nie patrzeć, w przeciwieństwie do tego, co stanie się już za kilka tygodni, kiedy listowie będzie tak gęste, że utworzy coś w rodzaju zielonego korytarza. Rzucałem szybkie spojrzenia w głąb lasu, z powodu prędkości wyłaniały się przestrzeń między drzewami i podłoże, beżowy dywan długiej, lecz płaskiej trawy, z której wyrastały pnie brzoź. Coś we mnie zidentyfikowało uczucie stąpania po tej trawie z czasów, gdy byłem mały i chodziłem po lesie przez cały rok, gdy zupełnie nieświadomie budowałem rezerwuar uczuć związanych z naturą, które potrafiły zejść jak lawina, gdy coś niespodziewanego je zbudziło – odgłos ptaka na wiosnę, chłodne, niemal przezroczyste powietrze w letni poranek, zapach mokrego śniegu zimą, mgła w ciemny jesienny wieczór.

Miałem nadzieję, że Ty i Twoje rodzeństwo również będziecie to robić, gdy staniecie się dorośli. Ale nie byłem do końca w stanie pojąć, że będziecie przeżywać ten czas, który teraz trwa, w ten sam sposób, w jaki ja przeżywałem własne dzieciństwo. Nasza codzienność, prozaiczne obiady, jazda to tu, to tam, wieczory na kanapie przed telewizorem.

Czy uda Wam się wyekstrahować z tego magię?

Oczywiście, że tak, bo koniec końców nie chodziło o wspomnienia, lecz o tę przestrzeń, w której świeciły, o brzmienie, które tworzyły, echo innych czasów. Dla moich rodziców lata, kiedy dorastałem, musiały być absolutnie niegodne uwagi. Śpiew ptaków był zwykłym śpiewem ptaków, letnie światło o poranku zwykłym światłem, mgła w jesienne wieczory zwykłą mgłą, zapach śniegu zwykłym zapachem śniegu.

Na rondzie na obrzeżach Ystad wybraliśmy drogę prowadzącą prosto do miasta, zamiast pojechać szybszą trasą przez teren przypominający krajobraz przemysłowy do autostrady, bo czas nas nie gonił, a w centrum miasta można było więcej zobaczyć. Długą, prostą jak drut aleją biegnącą w stronę dworca kolejowego i portu, gdzie nad nabrzeżem wznosiły się ogromne promy pływające do Polski i na Bornholm, obok teatru pochodzącego z przełomu wieków, z czasów gdy teatr stanowił ważną instytucję społeczną, obok przystani jachtowej, w górę zbocza z osiedlami mieszkaniowymi po obu stronach, gdzie na samym szczycie kolejne rondo łączyło drogę z miasta z tą, która biegła przez teren przemysłowy, i tą, która prowadziła do Malmö i Trelleborga.

Lubiłem to miasto; przez wiele stuleci leżało spokojnie nad Bałtykiem, nietknięte przez te wszystkie wojny, które toczyły się po drugiej stronie morza. Jak wszystkie prowincjonalne miasta było samowystarczalne i jak wszystkie miasta na terenach rolniczych nie lubiło nowości, jest dobrze tak, jak jest; to, co nie było dobre, pochodziło z zewnątrz. Wszyscy czytali lokalną gazetę, to ona była „prawdziwą” gazetą, a kto z nas nie lubi tej codziennej wyliczanki drobnych

zdarzeń, które są wszędzie takie same, lecz które dzięki lokalnemu kolorytowi nabierają znaczenia właśnie tam, gdzie się mieszka?

Jednak dopiero wiele lat po tym, jak przeprowadziliśmy się tutaj, uzmysłowiłem sobie, co było najważniejszym powodem, dla którego tak bardzo lubiłem tu mieszkać. Miało to związek z moim dzieciństwem. Dorastałem w miejscu położonym milę od stolicy regionu, liczącej około piętnastu tysięcy mieszkańców, na południu Norwegii, gdzie latem roiło się od turystów, a zimą okolica pustoszała. Tutaj struktura była identyczna, a nie uświadomiłem sobie tego od razu, ponieważ krajobraz był zupełnie inny, a struktura jakby niewidoczna. Ale Ystad przypominało Arendal i teraz, tak jak wtedy, lubiłem spędzać w mieście sobotnie przedpołudnie, zaglądać do sklepów, jeść bułkę maślaną w cukierni i przysłuchiwać się lokalnym rozmowom o lokalnych sprawach, patrzeć, jak sąsiedzi spotykają się na deptaku i jak się pozdrawiają, może wymieniają kilka słów i śmieją się z czegoś, zanim każde z nich pójdzie dalej w swoją stronę. Wystarczy dodać kapelusz, którego się uchyla, bokobrody, płaszcz i niskie obuwie gumowe nakładane na zwykłe obuwie, kiedy pada deszcz, i człowiek przenosi się w dziewiętnasty wiek.

Dorastając w takim miejscu, co prawdopodobnie Ciebie również spotka, najpierw tego nie dostrzegamy, a kiedy to w końcu zauważamy, w wieku kilkanastu lat, dochodzimy do wniosku, że to miejsce reprezentuje wszystko to, co złe na tym świecie, wszystko, od czego chcemy uciec, bo jest tak niewyobrażalnie małe, tak niewyobrażalnie ciasne; kiedy jesteśmy młodzi, przepełniają nas potężne uczucia i tęsknimy za tym, by wydostać się z tej „dziury” i wyruszyć w szeroki świat, gdzie jest to, czym żyjemy, i to, co dźwigamy, to, co ważne i wielkie, to, co nowe i otwarte na oścież.

W każdym razie tak było w moim przypadku.

A potem wydoroślałem, urodziły mi się dzieci i nagle znalazłem się w tym samym, w czym dorastałem, tylko widzianym z innej strony. To nie był świadomy wybór, nigdy nie pomyślałem, że chciałbym mieszkać tak, jak mieszkałem w dzieciństwie. Gdybym tak pomyślał, najprawdopodobniej nie zrobiłbym tego. Nie, to się po prostu stało. Pewnego dnia po prostu tu się zjawiłem. I gdyby mi się tutaj nie podobało, przeniósłbym się w inne miejsce. To znaczy, że musiałem lubić to, co małe i ciasne, musiałem lubić siedzenie w ogrodzie, z dala od ważnych i centralnych miejsc w świecie.

To, czego szukałem, nie było niczym nowym, lecz starym, wyrażonym przez to, co nowe.

Przez ośmiokilometrowy odcinek autostrady do Malmö nie wydałaś z siebie ani jednego dźwięku. Jadąc, słuchałem muzyki i przyglądałem się krajobrazowi. Pola różniły się barwą: od delikatnie zielonych i brązowych, w niektórych miejscach prawie czarnych, w cieniu wzdłuż skraju lasu, do tak suchych i jasnych,

że przypominały piasek. W pewnej chwili zobaczyłem dwie olbrzymie rury wysokości człowieka leżące na środku pola, słońce oświetlało je tak intensywnie, że wszystkie kolory zniknęły, wyglądało to tak, jakby leżały tam dwie rury światła, z czarnymi jak noc otworami po obu stronach. Las, który ciągnął się w głąb krajobrazu, z daleka przypominał zarośla; drzewa były nagie i w promieniach słońca mieniły się delikatną czerwienią. Potem dostrzegłem gęsty świerkowy zagajnik, wierzchołki błyszcząły jasnozielono, natomiast cały był wypełniony cieniem. Widok wzbudził we mnie coś w rodzaju pożądania; podobny efekt wywołuje woda o chłodnej, ciemnej barwie, jeśli krajobraz wokół niej przepelnia światło – chodzi o te pociągnięcia cienia, to poczucie głębi, kiedy wszystko inne jest płaskie.

Na krawędzi jezdni leżał martwy zając, kłębek futra z jasną kałużą krwi wypływającą spod niego na szary asfalt. Kilka kilometrów dalej zobaczyłem martwego borsuka, wyglądał na nietkniętego, jakby spał w słońcu z tym swoim biało-czarnym pyszczkiem.

Przed Malmö, na niewielkim wzniesieniu, skąd roztacza się widok na miasto i można rozpoznać trzy najwyższe budynki, Turning Torso^[10], Kronprinsen^[11] i hotel Hilton, którego zawsze wypatrywałem, ponieważ przez kilka lat mieszkaliśmy w jego bliskim sąsiedztwie, skręciłem w stronę autostrady do Helsingborga. W chwili, gdy przyspieszałem, żeby na nią wjechać, jedna z diod na tablicy rozdzielczej zaczęła migać. To była kontrolka rezerwy paliwa. Spojrzałem na wskaźnik: strzałka właśnie przesunęła się na czerwone pole. Zdziwiłem się, ponieważ zawsze wiedziałem, ile paliwa mam w zbiorniku, to była wiedza nieświadoma, po prostu się orientowałem, prawie tak, jak się wie, czy w chlebaku jest jakieś pieczywo, w łazience mydło, w lodówce mleko, jak wysoka jest trawa, jaki jest dzień tygodnia, pora dnia, mniej więcej jak ciężki będzie rower, który masz podnieść i schować do bagażnika.

Wiedziałem, że za Barsebäck jest stacja benzynowa, wypatrywałem jej z utęsknieniem, bo chciałem sprawdzić, jak się czujesz, kupić kawę, zatankować i uzupełnić płyn do spryskiwaczy.

Chociaż elektrowni jądrowej nie było stąd widać, to o niej zawsze myślałem, mijając Barsebäck lub skręcając na tamtejszą stację benzynową. Widziałem ją jedynie z daleka, z Malmö, i jej widok zawsze budził mój lekki niepokój. Nie dlatego, że bałem się awarii, która miałaby katastrofalne skutki dla całego regionu, lecz dlatego, że to, co tam robiono, było niemal boskie.

Gdy zaparkowałem przy dystrybutorze paliwa i wyłączyłem silnik, rozplakałaś się. Okrążyłem auto, otworzyłem drzwi, wdrapałem się do środka i pochyliłem nad Tobą.

– Hej, maleńka – powiedziałem. – Zbudziłaś się tak nagle? Ale nic się nie dzieje. Poczekaj chwilę, zaraz dam Ci mleka.

Rozejrzałem się za butelką, ale nigdzie nie mogłem jej znaleźć.

Gdzie mogła się podziać?

O kurwa, tylko nie to.

Zostawiłem ją u sąsiada.

Tak, teraz sobie przypomniałem, że odstawiłem ją na stół. Ale bezskutecznie usiłowałem przywołać wspomnienie siebie zabierającego butelkę od sąsiada.

– Kupimy nową – oznajmiłem. – Niedaleko jest centrum handlowe. Ale najpierw muszę zatankować. Okej?

Nie przestawałaś płakać. Odpiąłem pas bezpieczeństwa, wyjąłem Cię z fotelika i wyniosłem z samochodu. Przez kilka sekund przyciskałem Cię do piersi. Na szczęście się uspokoiłaś.

Trzymając Cię na ręce, otworzyłem wlew paliwa. Stałem przed dystrybutorem i sięgnąłem do tylnej kieszeni po kartę Visa.

Ale jej tam nie było.

Przecież zawsze ją tam trzymałem, w prawej tylnej kieszeni, razem z prawem jazdy.

Może włożyłem ją do drugiej kieszeni?

Nie, tam też jej nie było.

Patrzyłaś ukośnie na ziemię. Chwyciłem Cię obiema rękami i uniosłem przed siebie.

– Przydarzyła nam się mała katastrofa – powiedziałem. – Nie mamy pieniędzy. I zaraz skończy nam się benzyna. I nie mamy Twojej butelki – ani żadnej innej.

Nie spojrzałaś na mnie. Wciąż patrzyłaś ukośnie w dół.

– Załatwimy to jakoś, prawda?

Otworzyłem drzwi i posadziłem Cię w foteliku. Natychmiast się rozplakałaś. Zapiąłem Cię, zamknąłem drzwi, usiadłem za kierownicą, uruchomiłem silnik i znowu wjechałem na skąpaną w słońcu autostradę.

Gdy rano płaciłem rachunek, położyłem małe etui na karty na stół, ale nie pamiętałem, żebym po dokonaniu płatności wsunął je z powrotem do kieszeni.

Pamiętałem przebieg całego zdarzenia, które najwyraźniej dokonało się poza moją świadomością.

Kurwa mać.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Musiałem szybko zatankować, a Ty musiałaś dostać mleka. Nie znałem nikogo w Helsingborgu, a Twoja mama nie miała żadnych pieniędzy, wiedziałem o tym, bo poprzedniego dnia poprosiła mnie, żebym przywiózł jej trochę gotówki. Planowałem wypłacić pieniądze z bankomatu w szpitalu. Nic z tego. W banku również nie mogłem podjąć gotówki, ponieważ zawsze legitymowałem się prawem jazdy, którego także nie miałem przy sobie.

Może istnieje możliwość pożyczania jakiejś niewielkiej sumy na oddziale szpitala? I zwrócenia jej następnego dnia? Przecież nie zamierzam uciec z kasą.

– Wytrzymasz jeszcze godzinę? Jak myślisz? – spytałem.

Twój płacz rozdzierał serce.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Po prostu twój ojciec jest idiotą.

Zastanawiałem się, czy nie włączyć muzyki, ale zagłuszanie Twojego płaczu byłoby zbyt brutalne, więc słuchałem go, gdy wjeżdżaliśmy do Landskrona, aż w końcu, po około dziesięciu minutach, płacz przeszedł stopniowo w rozciągnięte w czasie łapanie powietrza i jakiś czas potem ucichł zupełnie.

Spałaś. Teraz chodziło o to, żebyś się szybko nie obudziła, więc gdy znowu włączyłem muzykę, była bardzo cicha, ledwo przebijająca się przez warkot silnika i szum opon toczących się po asfalcie.

Kawałek za Landskrona droga wznosi się dość gwałtownie, a ze szczytu, gdzie znajdują się stacja benzynowa i kilka restauracji fast food, rozciąga się widok na cały Helsingborg. Zapiera dech w piersiach, przynajmniej ja tak uważam, ponieważ w Skanii, która jest właściwie zupełnie płaska, nie ma wielu takich punktów widokowych, a położenie miasta – w wąskiej cieśninie między Danią a Szwecją – jest absolutnie wyjątkowe. Po drugiej stronie leży Helsingør, z zamkiem, gdzie mieszkał Hamlet, wyraźnie zarysowanym, a między tymi dwoma miastami kursują promy, duże, białe i piękne na tle błękitnej wody lśniącej w słońcu.

Jechaliśmy w dół zbocza, nad równiną, znowu pod górę, na obwodnicę Helsingborga, przez lekko opadający, nieokreślony teren, ni to miasto, ni nie-miasto, aż dotarliśmy do wielkiego ronda i przez kilkaset metrów droga została niejako zamknięta przez budynki, aby potem otworzyć się nad morzem, błyszczącym i mieniącym się w świetle; skręciliśmy w prawo i zmierzaliśmy prosto w stronę szpitala, który wznosił się na szczycie wzgórza.

Zawsze trudno było tutaj znaleźć miejsce postojowe, bo nie odważyłem się wjechać na parking podziemny naszym dużym autem po dwóch epizodach, gdy samochód był jeszcze całkiem nowy, a ja zarysowałem lakier, ocierając karoserią o betonowy słup i mur.

Zwykle robiłem kilka powolnych rund wokół parkingu przed głównym wejściem, bo prędzej czy później zawsze jakiś samochód odjeżdżał, robiąc mi miejsce, ale tego dnia mieliśmy szczęście: od razu znaleźliśmy dwa wolne miejsca obok siebie. Zaparkowałem, wyłączyłem silnik i poszedłem do tyłu po Ciebie.

Nadal spałaś. Wypiąłem fotelik, podciągnąłem rączkę do góry i wyjąłem go z auta, pilnując, żeby był odwrócony tyłem do słońca.

Te nowe ruchy, gdy szedłem przez plac, huśtając fotelikiem, obudziły Cię, lecz tym razem nie wybuchnęłaś płaczem, tylko leżałaś i mrugałaś oczami.

Chwała Bogu.

To byłby prawdziwy koszmar, gdybyś krzyczała, wchodząc ze mną na oddział, a ani Twoja mama, ani ja nie bylibyśmy w stanie Cię uspokoić, ponieważ chciałaś mleka, a my go nie mieliśmy. Wtedy personel szpitala zauważyłby to i pomyślałby swoje. Że jesteśmy niewydolni jako rodzice, że nie potrafimy się Tobą zaopiekować, i dowiedzieliby się, że w domu czeka jeszcze troje dzieci.

Bardzo Cię proszę, nie płacz, pomyślałem, gdy przechodziliśmy przez otwierane automatycznie drzwi. Nie płacz. Nie płacz.

Szpitalny hol przypominał małe targowisko, z apteką, kawiarnią i około trzydziestoma ludźmi; niektórzy siedzieli przy stolikach, inni szli korytarzem lub stali przed regałami w aptece albo przed ladą w kawiarni. Niektórzy chorzy, na wózkach lub przemieszczający się ze stojakami, na których wisiały zbiorniki przyłączone do ich ramion plastikowymi przewodami, inni zdrowi i energiczni, dwie rodziny z dziećmi.

– Tutaj się urodziłaś, wiesz? – powiedziałem i spojrzałem na Ciebie. Leżałaś zupełnie cicho i patrzyłaś przed siebie, a potem pomachałaś trochę jedną rączką.

Gdy przyszałaś na świat, spędziliśmy tu cały tydzień, przedtem również bywałem tu bardzo często, odwiedzając Twoją mamę, więc zdążyłem poznać to miejsce. Podeszliśmy do wind, nacisnąłem środkowy przycisk i wodziłem wzrokiem po cyfrach nad poszczególnymi drzwiami, żeby zobaczyć, która winda jedzie pierwsza i przed którą powinniśmy się ustawić.

Nawet zmiana oświetlenia w windzie ani ruchy, które wykonywałem, gdy weszliśmy do środka, nie sprawiły, że zwróciłaś uwagę na samą siebie i sytuację, w jakiej się znalazłaś. Patrzyłaś w przestrzeń, akceptując to, co się wokół Ciebie działo. Może głód był w tym momencie na tyle słaby, że zdołało go przyćmić nowe, stale zmieniające się otoczenie.

Twoja mama zobaczyła nas przez drzwi i pobiegła po pielęgniarkę, która wpuściła nas na oddział.

– O, moje serduszko! – powiedziała mama i pochyliła się nad Tobą. – Jaka ty jesteś śliczna! Jaka ty jesteś śliczna!

Odpiąłem szelki, wyjąłem Cię z fotelika i podałem Twojej mamie. Przytuliła Cię.

– Dostaliśmy pokój, w którym możemy razem posiedzieć – powiedziała.

– Trzeba ją przewinąć.

– Ja mogę to zrobić.

– Nie mam przy sobie mleka – przyznałem.

– Jakoś sobie poradzimy, prawda, serce? – zwróciła się do mnie.

Z fotelikiem w jednej i torbą w drugiej ręce ruszyłem za wami, obok otwartej sali telewizyjnej, gdzie zawsze siedzieli ludzie, do jednego z pokoiów na drugim końcu korytarza.

Staliśmy i podziwialiśmy Cię, gdy leżałaś na golasa na łóżku i machałaś

nózkami. Rozmawialiśmy o Tobie i pozostałych dzieciach, i o tym, że Linda wróci niedługo do domu; byłaś pełna wigoru i miałaś dobry humor, aż do czasu, gdy musieliśmy już iść, wtedy zaczęłaś marudzić i byłaś na granicy płaczu. Gdy Twoja mama ubierała Cię do wyjścia, poszedłem porozmawiać z jedną z pielęgniarek siedzących w pomieszczeniu przypominającym klatkę. Zauważyła moje spojrzenie, wstała i wyszła na korytarz.

Wyjaśniłem sytuację, że zapomniałem zabrać z domu kartę płatniczą, i że bak jest prawie pusty, że to, co zostało, nie wystarczy, by dojechać do domu. Spytałem, czy na oddziale jest jakaś kasa, z której mógłbym pożyczyć trzysta koron na paliwo. Pieniądze zwróciłbym następnego dnia.

– Niestety, nie ma takiej możliwości – odparła. – Nie możemy pożyczać pieniędzy odwiedzającym. Na pewno pan to rozumie.

– Ale ja oddam jutro całą kwotę. Przecież jutro znowu tu przyjadę. Potrzebuję pieniędzy na benzynę. Przyjechałem z maleńką córeczką. To jest sytuacja podbramkowa.

– Niestety, nie mogę tego zrobić – powtórzyła.

Spojrzałem na nią. Potem odwróciłem się i wróciłem do sali. Nie wspomniałem, że nie mam mleka dla Ciebie, bo wtedy na pewno zgłosiłaby to Urzędowi Ochrony Praw Dziecka.

Gdy Twoja mama po raz ostatni pocałowała Cię w policzek, zapiąłem szelki fotelika, podniosłem go z ziemi, pocałowałem Twoją mamę i ruszyłem w stronę wyjścia, a wtedy Ty zaczęłaś płakać, huśtając się w foteliku.

Teraz będzie już tylko gorzej, pomyślałem, gdy pomachałem Lindzie na pożegnanie i udałem się do windy. Co mam, kurwa, zrobić?

– Będzie dobrze, zobaczysz – powiedziałem do Ciebie, gdy zjeżdżaliśmy na parter, a Ty darłaś się wniebogłosy z oczami zalanymi łzami.

Przez hol, na parking, do samochodu. Przez chwilę rozważałem, czy nie wyjąć Cię z fotelika i przytulić, może przestałabyś płakać, ale w ten sposób dałbym Ci fałszywą nadzieję, bo prędzej czy później i tak musiałbym zapiąć Cię w foteliku i wsadzić do auta, a wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa. Lepiej załatwić to raz a dobrze, pomyślałem, zamontowałem fotelik, uruchomiłem silnik i opuściłem teren szpitala.

Co robić? Jechać na stację benzynową, wyjaśnić sytuację i poprosić, żeby pozwolili mi zatankować na kredyt?

Nigdy w życiu by na to nie poszli.

Skreśliłem w stronę centrum.

Mógłbym wejść do banku, przecież miałem pieniądze na koncie, a w Internecie były moje zdjęcia, mógłbym ich poprosić, żeby to sprawdzili.

Mogło się udać.

Ale gdzie znajdował się oddział Nordea?

Ruszyłem w dół i na skrzyżowaniu przy porcie skręciłem w prawo; jadąc szeroką ulicą, zaglądałem w głąb mijanych przecznic.

Nigdzie żadnego banku.

Wjechaliśmy na łagodne wzgórze nad miastem i znaleźliśmy się tuż za centrum, ale tamtejsze sklepy przypominały salony sprzedaży samochodów albo ogromne supermarkety, a nie miejsce, w którym mógłby stać bank.

Krzyczałaś przeraźliwie na tylnym siedzeniu.

W samochodzie było ciepło, może pomogłoby trochę, gdybym opuścił szyby, pomyślałem i nacisnąłem przycisk w drzwiach. Auto natychmiast wypełniło się furkoczącym powietrzem, ale było w tym coś dzikiego, niekontrolowanego, więc podniosłem szyby i zamiast tego włączyłem klimatyzację, jadąc z powrotem w stronę centrum.

Zaparkowałem u podnóża zbocza, tuż przy ulicy, która jak wiedziałem, biegnie w kierunku centrum, wyjąłem telefon komórkowy i wygooglowałem „Nordea Helsingborg”, kliknąłem na mapę, która ukazała się na wyświetlaczu, i przyglądałem jej się przez chwilę. Wyglądało na to, że oddział banku znajduje się nieco dalej, w głębi ulicy, przy której staliśmy.

– Teraz musimy tylko trzymać kciuki – powiedziałem.

Nie krzyczałaś już tak przeraźliwie, może dlatego, że byłaś wycieńczona. Wypiąłem fotelik, wyjąłem go na zewnątrz, zamknąłem drzwi i ruszyłem ulicą, z fotelikiem kołyszącym się w przód i w tył. Twoja twarz była mokra od łez. Jeszcze nigdy nie byłaś tak długo bez jedzenia i musiałaś doświadczać zupełnie nieznanego uczucia.

Szedłem tak szybko, jak to było możliwe, z fotelikiem objijającym się przy każdym kroku o moje udo. Żeby urozmaicić sobie drogę, czasem trzymałem fotelik w pewnej odległości od ciała, a czasem blisko siebie, czasem w prawej, a czasem w lewej ręce. Na ulicach roiło się od ludzi, którzy przechadzali się beztrudnie wzdłuż wystaw sklepowych, w okularach przeciwsłonecznych, z reklamówkami w dłoniach, niektórzy z lodami. Miałem wrażenie, że Ty i ja należymy do innego świata.

Znowu zaczęłaś płakać, ale nie tak gniewnie i nie z taką siłą jak w samochodzie.

Niektórzy spoglądali na nas.

Do diabła z wami, cholerni idioci, pomyślałem.

Oby pracownik banku był wyrozumiały.

To była Szwecja, więc szanse miałem niewielkie, tutaj wszystko musiało przebiegać zgodnie z zasadami.

I ludzie, rzecz jasna, przestrzegali zasad.

Dlaczego ja tego nie robiłem? Dlaczego zawsze pakowałem się w tarapaty?

Przypieszyłem kroku. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po lewej stronie

zobaczyłem szyld banku Nordea.

W środku było pełno ludzi, wyłącznie starych; siedzieli na krzesłach pod ścianą albo stali przed pulpitem na środku sali i powolnymi ruchami wypełniali swoje blankiety. Wielu z nich spojrzało na nas, gdy weszliśmy do banku i postawiłem fotelik z Tobą na podłodze, sięgając jednocześnie po numererek z automatu.

Zapowiadało się długie czekanie.

Odpiąłem Cię, wyjąłem z fotelika, przycisnąłem do piersi i zacząłem krążyć po sali, żebyś miała czym zająć myśli.

Po około dwudziestu minutach przyszła nasza kolej. Podeszedłem do okienka z Tobą na ręce.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odparła pracownica banku, kobieta po pięćdziesiątce.

– Mam problem.

– Tak?

– Mieszkam w Österlen. Kończy mi się benzyna. Zapomniałem zabrać z domu kartę bankomatową i dowód osobisty. Ale mam konto w Nordea i na koncie są pieniądze. Prawdę mówiąc, całkiem sporo pieniędzy. Czy istnieje możliwość wypłacenia jakiejś kwoty bez okazywania dowodu? Może mnie pani wygooglować, jeśli pani chce, w Internecie są moje zdjęcia, więc może pani sprawdzić, że jestem tą osobą, za którą się podaję.

Zaczerwieniłem się z upokorzenia.

Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

– To nie jest konieczne – powiedziała. – Pamięta pan kod? Kiedy przesyła pan pieniądze przez Internet?

– Tak. 4740.

– Zapisze mi pan swoje imię, nazwisko, adres i numer konta?

Zrobiłem, o co prosiła.

– Jaką kwotę chce pan wypłacić?

Spojrzałem na nią błyszczącymi od łez oczami.

– Nie wiem. Może tysiąc?

– To zależy od pana.

– W takim razie tysiąc pięćset.

Przez chwilę pisała coś na komputerze, wydrukowała dowód wypłaty, wyjęła pieniądze i położyła je na ladzie przede mną.

– Bardzo dziękuję! – zawołałem. – To fantastyczne!

Uśmiechnęła się i nacisnęła przycisk, który spowodował, że na ekranie nad nami wyświetlił się kolejny numer.

Pół godziny później siedziałem obok Ciebie na tylnym siedzeniu samochodu i wlewałem mleko do nowej butelki, którą właśnie kupiliśmy, potem ją zakręciłem

i wsunąłem smoczek do Twoich rozdziawionych ust. Piłaś łapczywie, z otwartymi oczami, które nie zwracały uwagi na cały boży świat, i przyłożyłaś dłonie do butelki, chociaż nie byłaś w stanie jej sama utrzymać.

– O kurwa mać! – zawołałem i wyjrzałem przez okno w chwili, w której jednocześnie mijały nas dwa cienie. Potem przeniósłem wzrok na Ciebie.

– Smakuje ci? Wygląda na to, że tak.

Piłaś, mlaszcząc i cmokając.

Gdy opróżniłaś butelkę, wytarłem Ci buzię, zmieniłem pieluszkę i zapiąłem w foteliku, a Ty zaczęłaś znowu przymykać powieki.

– Co za dzień! – powiedziałem, usiadłem za kierownicą, uruchomiłem silnik i wyjechałem z miasta, na wzgórze, do stacji benzynowej, gdzie płynnie zmieniające się cyfry na dystrybutorze, które zwykle wzbudzały we mnie lekką niechęć, ponieważ reprezentowały pieniądze znikające z mojej kieszeni, tym razem dały mi poczucie satysfakcji.

Przespaaś całą drogę do Ystad i pół godziny spędzone w okolicach tamtejszego dworca kolejowego. Może powinienem pozwolić Ci zostać w samochodzie, gdy wysiadłem, żeby odebrać Twoją babcię, która przyjechała pociągiem ze Sztokholmu, żeby nam pomóc, ale myśl, że w każdej chwili możesz się obudzić i ktoś Cię zobaczy samą w aucie, sprawiła, że zabrałem Cię w foteliku i zaniósłem na peron, na który zaledwie kilka minut później wtoczył się pociąg.

Twoja babcia pomieszkiwała u nas regularnie w ciągu ostatniego roku, ponieważ Twoja mama co jakiś czas lądowała w szpitalu, a ja, chociaż bardzo chciałem robić wszystko sam, zrozumiałem, że potrzebujemy pomocy, bo troje dzieci w dużym domu oznacza wiele praktycznych obowiązków obok codziennej pracy zawodowej, a kiedy byłem sam, biegałem od jednego zajęcia do drugiego, nie mając czasu ani głowy do tego, by móc dać dzieciom ciepło i bliskość, którymi ona, Twoja babcia, wypełniała dom, kiedy tu była.

Wysiadła z pociągu i przywitała się z Tobą wylewnie. Nie wspomniałem słowem o naszej małej przygodzie, powiedziałem tylko, że wszystko jest w porządku i że Twoja mama, jej córka, wkrótce wróci do domu, potem jedną ręką chwyciłem walizkę, drugą fotelik z Tobą i ruszyliśmy w stronę samochodu.

Gdy wyjechaliśmy z lasu na równinę, gdzie zaczynało się Österlen, morze rozciągające się przed nami nie było już intensywnie niebieskie, lecz lśniący żółte, niemal białe tam, gdzie światło słońca stykało się z taflą wody. Łopaty wiatraków widoczne w głębi krajobrazu, nad maleńkimi koronami drzew, kręciły się szybko na wietrze.

Tamtego popołudnia, kiedy oznajmiłem Twojemu rodzeństwu, że będą mieć siostrzyczkę, byli przeszczęśliwi. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczali, że spełni się ich marzenie i w domu pojawi się maleństwo. Ale Twój brat w to nie uwierzył! Często sobie żartujemy, opowiadam im różne historie i dzielę się

teoriami, które są tak nieprawdopodobne, że nie mogą być prawdą, chociaż oni – w każdym razie gdy byli mali – nigdy nie byli pewni, czy żartuję, czy mówię na poważnie. Twój brat nigdy nie lubił tej zabawy, być może dlatego, że jest w niej element niepewności, więc jego komentarz zawsze brzmiał: „tato, przestań zmyślać”.

Teraz też nie chciał w to uwierzyć.

Zapewniłem go, że nigdy nie robiłbym sobie żartów z czegoś takiego.

Ale nic to nie dało, nie wierzył mi za grosz. Czy może zadzwonić do mamy?

Oczywiście.

Wybrałem numer, otrzymałem połączenie i wręczyłem mu telefon. Wziął go do ręki, przyłożył do ucha i poszedł w głąb ogrodu. Słyszałem, jak coś mamrocze. Gdy odwrócił się w naszą stronę, jego twarz promieniała z radości.

– Będziemy mieli młodszą siostrę! – zawołał.

– Powiedz nam coś, czego nie wiemy – odparła Twoja najstarsza siostra, śmiejąc się z jego rozgorączkowania.

Pomyślałem, że naprawdę muszę przestać sobie z nim żartować.

Gdy się zjawiłaś, czekali na Ciebie całą jesień; myślę, że to oczekiwanie sprawiło, że dużo łatwiej było im przeżyć miesiące, które Twoja mama spędziła częściowo w szpitalu.

To się stało miesiąc przed terminem, Twoja mama była w domu, a wody odeszły nocą, obudziła mnie i zadzwoniła po karetkę; przyjechała cicho i spokojnie drogą za oknem. Padał śnieg i wszystko spowijała miękka ciemność. Rano powiedziałem o tym Twojemu rodzeństwu, byli podekscytowani, a gdy pojechali do szkoły, gdzie prawdopodobnie podzielili się tą wiadomością ze wszystkimi znajomymi, zadzwoniłem do Twojej babci, która natychmiast wsiadła do pociągu. Gdy przyjechała, pojechałem do szpitala w Helsingborgu. Cesarskie cięcie było zaplanowane na następny dzień, który był dniem urodzin Twojej siostry – właśnie kończyła dziesięć lat, to była ważna data, a ja musiałem do niej zadzwonić i powiedzieć, że nas nie będzie. Że musimy odłożyć świętowanie o kilka dni. Ale wtedy zjawiła się położna, która zaczynała dyżur i która nie mogła zrozumieć decyzji o cesarce; wywołała akcję porodową, dzięki czemu urodziłaś się jeszcze tego samego wieczoru. Następnego dnia wczesnym rankiem pojechałem do domu; po drodze zatrzymałem się i kupiłem iPhone'a, którego od wielu lat obiecywałem Twojej siostrze na dziesiąte urodziny, urządziliśmy jej przyjęcie, a potem znowu wyruszyłem do szpitala; leżałaś w małej oszklonej klatce na kółkach, w małej piżamce, małej czapeczce, pod małym kocykiem i spałaś.

Zachwył, który okazywało Twoje rodzeństwo, długo ich nie opuszczał; każdego dnia, gdy wracali ze szkoły, ostatnie metry dzielące ich od domu pokonywali biegiem, zrzucali tornistry i buty i w pośpiechu udawali się do pokoju, żeby Cię zobaczyć. W tym zachwycie i radości dorastasz. I one są bezwarunkowe,

nie zrobiłaś nic, żeby na nie zasłużyć, poza tym, że się urodziłaś.

Również tego popołudnia pierwszą rzeczą, jaką zrobili po powrocie ze szkoły, był bieg do Twojego pokoju. Cieszyli się również z tego, że przyjechała ich babcia. Natychmiast zawładnęła kuchnią, wyjęła jedzenie z lodówki, ustawiła garnki i patelnie na kuchence i wypełniła cały dom swoją energią. Zabrałem Cię do łazienki, położyłem na przewijaku, zdjąłem ostrożnie ubranie, podczas gdy Ty swoim zwyczajem utkwiałaś wzrok w małych samolotach obracających się nad Tobą.

Tego dnia ani razu nie pomyślałem o krwi, którą rano zobaczyłem w muszli klozetowej. A teraz właśnie sobie o tym przypomniałem, jakby to wspomnienie było związane z konkretnym miejscem, a nie ze mną.

Nie czułem już strachu, a jedynie irytację faktem, że coś jest nie tak. Że zawsze musi wyskoczyć coś niespodziewanego i zakłócić stały porządek.

Pochyliłem się, przycisnąłem wargi do Twojego ciepłego brzucha i dmuchnąłem.

Twoje oczy powiększyły się w zdumieniu.

Zrobiłem to jeszcze raz, a Ty się roześmiałaś.

Nałożyłem Ci czystą pieluszkę, nowe śpioszki i sweterek i podniosłem Cię, żebyś mogła zobaczyć się w lustrze.

– Kim jest to śliczne stworzenie? – spytałem.

Ponieważ nie okazałaś zainteresowania, zabrałem Cię do kuchni, gdzie Twoja babcia kroїła warzywa przy włączonym radiu i otwartym oknie.

– Mogę ją tutaj na chwilę zostawić?

– Oczywiście – odparła. – Potrzebujesz trochę czasu tylko dla siebie.

Przyniosłem z salonu bujaczek, postawiłem go na podłodze i zapiąłem Cię w nim. Potem ugotowałem wodę w czajniku i zalałem wrzątkiem brunatny proszek leżący na dnie filiżanki, którą wyniosłem na zewnątrz.

Ogród wyglądał teraz inaczej niż rano, gdy słońce znajdowało się po drugiej stronie nieba. Wiatr, który go owiewał, również robił swoje.

Spojrzałem na dywan z niebieskich kwiatów rosnących pod wciąż bezlistną gruszą i śliwą w głębi ogrodu. Błyszczały w świetle, o ostrej barwie na tle zielonej trawy, ale miękkiej formie. Gdzieś tam rosły także żółte żonkile, a wszędzie było pełno tulipanów, chwilowo zielonych i bez kwiatów, ale cóż to była za zielen! Soczysta, głęboka, obietnica życia.

Za kilka godzin, gdy zapadnie zmrok, niebieskie kwiaty przestaną błyszczeć i będą żarzyć się słabo w nienakającym świetle, które również będzie miało w sobie odcienie niebieskości, gdy wszystko, co zielone, zniknie.

Przeszedłem po kamiennej ścieżce do domu. W cieniu powietrze było ostre i zimne, jak to często bywa wiosną, kiedy światło i powietrze oznaczają dwie różne rzeczy. „Lato”, mówi światło, „zima”, mówi powietrze.

Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem za biurkiem.

To było miłe.

Bywałem tu, kiedy tylko mogłem. Kiedy Twoja mama była w domu lub któraś z Twoich babć mieszkała u nas, spędzałem tu prawie cały czas. Zawoziłem Twoje rodzeństwo do szkoły i odbierałem je stamtąd, ale przez resztę dnia siedziałem tutaj.

Po prostu lubiłem być sam. To chyba nie jest bardziej skomplikowane?

Mój ojciec, a Twój dziadek, też to robił. W domu, w którym dorastałem, znajdował się pokój podobny do kawalerki, to był jego pokój, to w nim przesiadywał całymi dniami.

Nie podobało mi się to, że powielam jego zachowanie, chciałbym być innym ojcem niż on. Ale gdy tylko zamykałem za sobą drzwi, miałem wrażenie, że Ty i Twoje rodzeństwo znikacie, nie myślałem więcej o Was, lecz skupiałem się na sobie.

Zresztą nie zawsze. Gdy przeżywaliśmy najtrudniejszy okres, myślałem wyłącznie o Was. O Tobie, która się jeszcze nie urodziłaś, i o trojgu Twojego rodzeństwa.

Pamiętam, jak kiedyś stałem tutaj na środku pokoju po odwiezieniu ich do szkoły, byłem zrozpaczony, w skrajnej desperacji, i nagle zacząłem płakać. Nie tak jak wtedy, kiedy jestem czymś wzruszony i moje oczy zachodzą łzami, ani tak jak tamtego letniego przedpołudnia, gdy przyjechało pogotowie, gdy łzy spływały mi strumieniami po policzkach, lecz gwałtownie, histerycznie, mocno, karykaturalnie.

Dłużej już nie wytrzymam, pomyślałem wtedy.

Przeszło mi po kilku minutach. I poczułem ulgę; to, co nie do wytrzymania, znów dało się wytrzymać.

Ani Ty, ani Twoje rodzeństwo nie widzieliście mnie nigdy płaczącego. Czujecie, że jestem silny – dzieci zawsze czują, że rodzice są silni – i to jest moim zdaniem niesamowicie ważne, żebyście nadal to czuły, aż do czasu, gdy jako nastolatki zaczniecie odczuwać swoją własną siłę i odkryjecie wszystkie moje słabości. Wtedy będziecie mieć dość siły, by to przyjąć.

A potem, jeśli urodzą Wam się własne dzieci, wszystko zacznie się od nowa.

Z okna nad biurkiem widziałem kuchnię i podobną do cienia sylwetkę Twojej babci, która powoli przesuwiała się w przód i w tył, przerywając tor światła wpadającego do pomieszczenia przez okno po drugiej stronie. Widziałem również głowy dzieci, gdy przemierzały kuchnię, i obserwując kierunek i prędkość, zgadywałem, co teraz robią.



Miałem wrażenie, że wydostaliśmy się z czegoś, ale z uczuciami już tak jest, że nigdy nie wiadomo, czego dotyczą, jak ani dlaczego. Ubiegłego lata wszystko we mnie płonęło, jakby wszystko, co nabierało się przez te ostatnie lata, zaczęło się palić. Kiedy człowiek przeżywa trudności, jego problemy rozprzestrzeniają się jak kręgi na wodzie i dotykają nawet najbardziej peryferyjnych spraw i relacji. Kiedy płomień gaśnie w jednym miejscu, pożar wybucha w innym, i w ten sposób znika jakakolwiek normalność, jeśli człowiek nie zawalczy o to, by się w niej utrzymać, nawet samemu nie rozumiejąc dokładnie, co się dzieje. Bo z jednej strony wszystko jest takie jak zawsze i musi takie być, a z drugiej wszystko jest ostre i pilne. Pożar pojawia się właśnie na skutek tarć między tymi dwoma poziomami. Był jak jeden z tych pożarów, które pojawiają się na wysypiskach śmieci i potrafią trwać latami. Mogą powoli gasnąć, zmniejszając swoją powierzchnię, aż w końcu ledwo się tlą, ale potem dochodzi do jakiegoś nowego, dramatycznego zdarzenia i znowu zaczynają się palić. Nikt tego nie zauważył, nikt o tym nie wiedział, nikt tego nie rozumiał, ponieważ wszystko wyglądało tak jak zwykle. Ale pożar strawił wszystkie relacje. Przyjaźń, pokrewieństwo, sąsiedztwo. Wiele tygodni zajęła mi odpowiedź na e-maile od ludzi, z którymi wcześniej utrzymywałem regularne kontakty, a gdy ktoś dzwonił, nie odbierałem telefonu. Dbałem tylko o tych, od których coś otrzymywałem; nie odwróciłem się plecami do tych, którym ja musiałem coś dać. To się po prostu działo niejako samo z siebie, jak to się często zdarza w przypadku działań, które nie są dobre: trzyma się je poza zasięgiem wzroku świadomości. Ta częściowa ślepotą stanowi jedną z form samooszukiwania się. Oczywiście, jest również całkiem możliwe, że nigdy naprawdę nie troszczyłem się o innych, tylko o siebie, i że teraz korzystałem z okazji, by żyć tak, jak chcę, że to, co się wydarzyło, wykorzystałem jako pretekst, żeby odrzucić wszystko inne poza tym, co nadawało sens mojemu życiu, to znaczy poza Wami i pisaniem. Bo pożar miał swoją dobrą stronę. Jeszcze nigdy nie miałem tylu powodów, by pracować, ani tylu powodów, by żyć.

Wyglądało na to, że samo przechodzi; tamtego wiosennego dnia, gdy siedziałem za biurkiem i spoglądałem w stronę kuchni po drugiej stronie ogrodu, ogarnęło mnie silne uczucie, że coś się skończyło, że coś odpuściło.

Miałem już kiedyś podobne myśli, przypomniałem sobie, a potem nastąpił dalszy ciąg.

Wstałem i poszedłem do domu. Gdy mnie nie było, usnęłaś w swoim leżaczku, a babcia przykryła Cię kocykiem, jedną rączkę miałaś pod, a drugą na nim.

– Serduszko zasnęło – powiedziała.

– Ma za sobą długi dzień – odparłem i udałem się do jadalni, żeby sprawdzić, czy stół jest nakryty do obiadu. Nie był, więc wyjąłem z szafki talerze i zacząłem je ustawiać, z jednego z nich zeskrobałem paznokciem resztki jedzenia

przypominające kilka zaschniętych płatków. Przez cały czas wyglądałem przez okno, gałęzie potężnego kasztanowca kołysały się na wietrze w górę i w dół, gałęzie, na których nierozwinięte jeszcze liście wyglądały jak małe bladozielone kokony.

Gdy słońce wisiało po zachodniej stronie nieba, o intensywniejszej barwie niż kiedykolwiek wcześniej tego dnia, pomarańczowej z delikatnym czerwonym odcieniem, wiatr zupełnie ucichł. Ubrałem Cię w maleńki kombinezon – leżałaś na moich udach z głową opartą o kolana – związałem Ci białą dzierganą czapkę, włożyłem do wózka i zawołałem Twoje rodzeństwo.

Dwoje z nich przyszło od razu i zaczęło ubierać się w kurtki i buty.

– Popilnujcie jej przez chwilę? – spytałem i poszedłem poszukać najstarszej córki. Leżała na swoim łóżku i grała na komputerze. Na podstawie rżenia wywnioskowałem, że to jakaś gra z końmi.

– Nie idziesz z nami? – spytałem.

– Chyba nie – odparła i podniosła wzrok. – Muszę?

– Jasne, że nie musisz, ale będzie fajna zabawa.

– Ha, ha. Twoja definicja fajnej zabawy różni się trochę od mojej.

– Niby jaka jest moja definicja?

– Siedzieć w górskim drewnianym domu, w swetrze zrobionym na drutach.

– Niby kiedy to robiłem?

– Może niedokładnie to, ale właśnie o tym marzysz. Przyznaj się.

– A o czym ty marzysz?

– O własnym pokoju w nowym domu, który nie ma ukośnych ścian i w którym wszystko jest nowoczesne.

– Okej – odparłem. – Dołącz do nas, jeśli zmienisz zdanie.

Nie odpowiedziała, nawet nie podniosła wzroku znad monitora. Zszedłem po schodach, włożyłem kurtkę, stare buty do biegania, a z kosza pod wieszakiem wyłowilem brązową czapkę.

– Wy też włóżcie czapki – zakomenderowałem. – Wieczorem będzie zimno.

– Tato, wzięłaś pieniądze? – spytała Twoja starsza siostra.

Skinąłem głową, włożyłem czapkę, jedną ręką otworzyłem drzwi, a drugą popchnąłem wózek z Tobą.

Twoje rodzeństwo właśnie przechodziło przez furtkę i dalej przez ogród na tyłach domu, gdzie cienie były długie, a w powietrzu stojącym nieruchomo nad ziemią pojawiło się coś zamazanego i lekko rozmytego. Ruszyliśmy powoli za nimi, Ty wpatrując się w niebo, ja w furtkę, którą należało pomalować, i w wyłożony płytami plac przy krótszej ścianie letniego domku, gdzie zaledwie kilka tygodni później mogliśmy siedzieć i jeść obiad, na zniszczone przez deszcze i wiatry meble z drewna tekowego, które przejeśliśmy po poprzednich właścicielach, a które teraz były przysypane liśćmi, tu i ówdzie tak ciemnymi

i wilgotnymi, że przypominały ziemię.

Schyliłem się pod sznurem na białynę rozpiętym między drzewem a ogrodzeniem sąsiedniej posiadłości – jedyną częścią naszego ogrodu, która była całkiem białą, a to z tego prostego powodu, że sąsiedzi zaofiarowali się, że skoro już malują u siebie, to mogą pomalować płot również po naszej stronie – minąłem kamienne ogrodzenie i wyszedłem na trawnik przed stodołą z czerwonej cegły, gdzie w cieplejszych miesiącach roku mieszkały od czasu do czasu dwa konie. Stamtąd dostrzegłem remizę ochotniczej straży pożarnej, w której teraz roilo się od ludzi, niektórzy z nich trzymali w dłoniach zapalone pochodnie.

– Widzisz to? – powiedziałem i pochyliłem się nad Tobą. – Wszystko w porządku?

Spojrzałaś prosto na mnie i posłałaś mi swój dziwny uśmiech.

Wyprostowałem się i ruszyłem dalej w stronę remizy. Twoje rodzeństwo podeszło do nas, chcieli nieść każdy swoją pochodnię, ale nie mieli odwagi ich sobie wziąć.

Zrobiłem to za nich. Ukłoniłem się tym sąsiadom, których znałem, ustawiłem wózek w pewnej odległości od nich, mając nadzieję, że uznają, że zrobiłem to przypadkiem – nie miałem pojęcia, o czym z nimi rozmawiać, a nie chciałem wyjść na gbura.

Twój brat ostrożnie zbliżył pochodnię do ogniska w beczce, a gdy zapłonęła, na sztywnych nogach podszedł do reszty dzieci, trzymając ją w przesadnej odległości od siebie. Twoja siostra zrobiła to samo.

Wielu ojców dzieci chodzących do szkoły z Twoim rodzeństwem było ubranych w kompletny mundur strażacki, nie wyłączając hełmu. Kiedyś spytali mnie, czy nie chciałbym do nich dołączyć, ale chociaż niewiele rzeczy uważam za piękniejsze od ognia i płomieni, grzecznie odmówiłem. Czasem widziałem, jak siedzieli w środku, a czasem na zewnątrz, obok dwóch ogromnych wozów strażackich. Po prostu nie wyobrażałem sobie, że mógłbym tam być, wśród tej wspólnoty; choćbym nawet chciał, to było zwyczajnie niemożliwe.

Uśmiechnąłem się na tę myśl. Wyobrażenie wewnętrznego pożaru niezbyt dobrze zniosło spotkanie ze strażakami w rzeczywistości.

Pożar był czymś wielkim. Ja byłem czymś małym.

Pochyliłem się nad wózkiem i pogłaskałem Cię po policzku, chcąc wywołać jeszcze jeden z Twoich radosnych uśmiechów. Ale nie udało mi się; zamiast tego przekreśliłaś głowę na bok i jednocześnie podwinęłaś nóżki.

Na środku drogi stał dwukołowy wózek ręczny ze sprzętem muzycznym, a obok niego mężczyzna trzymający wielką flagę Szwecji. Słońce chowało się właśnie za domami po drugiej stronie drogi, promienie nie sięgały już ziemi, lecz padały na drzewa nad nami, płonące złościście na tle szarzejącego gruntu.

Plac wypełnił się głośną muzyką marszową i wszyscy ruszyli powoli główną

drogą, w dół łagodnego zbocza; na czele około trzydziestoosobowego pochodu szli dwaj mężczyźni: jeden pchał wózek, a drugi niósł flagę. Ten i ów trzymał zapaloną pochodnię, w większości były to dzieci. Za nami rozlegało się głośne pomrukiwanie dwóch wozów strażackich, które właśnie uruchomiono i które miały jechać powoli za pochodem przez całą wieś.

To była noc Walpurgii, noc, kiedy w Szwecji śpiewem przyzywano wiosnę. Nie znałem tego zwyczaju, dopóki dwanaście lat temu nie przeprowadziłem się do Szwecji. I nie przestawał mnie zadziwiać. Trudno było pojąć, że to właśnie Szwedzi, którzy uważają się za najbardziej postępowych ludzi na świecie i nie chcą mieć nic wspólnego z przeszłością ani z tym, co archaiczne, dla których wszystko, co stałe i niezmienne, jest wsteczne, nawet ciało – postrzegane przez nich nie jako biologiczna namacalność należąca do natury, lecz konstrukcja kulturowa, rodzaj artefaktu, dla którego wytyczne opracowują na uniwersytetach – że to właśnie Szwedzi zbierali się raz w roku wokół gigantycznych ognisk, najbardziej archaicznych ze wszystkiego, i śpiewali stare pieśni wychwalające wiosnę, chociaż w tym wszystkim chodziło właśnie o to, że również nowe zawsze jest stare.

Ale jak ja to lubiłem!

Gdy szliśmy w pochodzie w dół zbocza i znaleźliśmy się na drodze prowadzącej na szerokie pola rozciągające się za wsią, miałem wrażenie, że wyobrażenia i symbole przez cały czas wpływają i wypływają z konkretnej rzeczywistości, w której zostały stworzone. W jednej chwili widziałem flagę, małe pochód, słyszałem dźwięki marsza, wszystko zebrane w jedną ekspresję pod niebieszcącym się niebem, w rolniczym krajobrazie, który otwierał się we wszystkie strony, podczas gdy słońce wisiało na zachodzie niczym czerwona kula za welonem z mgły, i wtedy coś się we mnie unosiło, uczucie, że jesteśmy teraz tutaj, że to jest nasz czas. A w następnej chwili widziałem ten idiotyczny wózek z brzydkim sprzętem muzycznym, dresy, kurtki trekkingowe, głowy jakby skurczone przez czapki, duże nosy, małe oczy, tłuste policzki, starych ludzi usiłujących podążać w takt muzyki, idących sztywnym, nieco niezgrabnym krokiem, zapach nawozu, to znaczy obornika, włosy kobiety idącej przede mną, które podmuch wiatru rozrzucił na twarzy, a których nie udało jej się okiełznać, próbowała raz, ale wiatr znowu je potargał, próbowała jeszcze raz niecierpliwym ruchem dłoni, ojciec upominający głośno swoją córkę.

Wtedy rozejrzałem się dookoła: ciemniejące pola, wielkie drzewa rosnące wzdłuż strumienia i wokół gospodarstw, mrok, który ogarniał wszystko, i czerwone snopy światła po zachodniej części nieba. A potem spojrzałem na Ciebie: jeszcze nie zdążyłaś zasnąć, leżałaś w wózku na plecach i wpatrywałaś się w kołyszącą się nad Tobą plastikową figurkę.

Gdy po raz pierwszy świętowaliśmy tutaj noc Walpurgii, jedna z Twoich siostr dała mi swoją pochodnię: była niemal wypalona i bała się ją trzymać, bo

płomienie znajdowały się bardzo blisko jej dłoni. Odebrałem ją od niej. Kilkaset metrów dalej droga wiodła przez most nad niewielkim strumieniem. Pomyślałem, że wrzucę dogasającą pochodnię do wody. Gdy zatrzymałem się przy balustradzie, ogień przypiekał mi już lekko dłoń. Wyrzuciłem pochodnię, która jednak nie wylądowała w wodzie, jak zakładałem, lecz obok, w trawie, która zaczęła się palić. Pobiegłem przez most, w dół zbocza, kopniakiem zepchnąłem pochodnię do wody i przydeptałem palącą się trawę. W tym czasie tuż nade mną przeszedł pochód, a potem przejechały dwa ogromne wozy strażackie. Czerwony z wysiłku i od spojrzeń, które mi posłano, wdrapałem się na górę i truchtem dogoniłem procesję.

Przypomniało mi się to zdarzenie, gdy szliśmy przez most, pokonywany przeze mnie każdego roku, ale nigdy poza tą jedną nocą. Ognisko, wokół którego się zebraliśmy, znajdowało się w odległości pięciu minut drogi od mostu, na polu u podnóża małego wzniesienia, tuż przy strumieniu. Ognisko mogło mieć około trzech metrów wysokości, kształtem i szerokością przypominało starodawny stóg siana. Dzieci wrzuciły do niego pochodnie i wtedy zaczęło płonąć. Ludzie stali nieco wyżej, wzdłuż łagodnego zbocza, wszystkich razem mogło ich być około pięćdziesięciu. Jeszcze wyżej stały zaparkowane wozy strażackie, a na polu, w pewnej odległości od ogniska, urządzono grill i postawiono stragan, na którym klub sportowy sprzedawał kielbaski i napoje.

Niebo nad nami szybko pociemniało i na wschodzie pojawiły się pierwsze gwiazdy; w tym samym czasie na zachodzie słońce opadało w welonie czerwieni. Ognisko płonęło już porządnie, trzeszczało, dudniło i wyrzucało snopy iskier, dym i wirujące płatki popiołu w stronę niebiesko-czarnego nieba. Dzieci biegały dookoła niego, zziębnięte i podekscytowane, wołały do siebie, krzyczały i śmiały się, bo nadeszła wiosna, pełna lekkości, światła i niezwykłych uczuć.

Nadal czuwałaś; wsunąłem głowę do wózka, potarłem nią o Twój brzuch, ale nie zaśmiałaś się, tylko patrzyłaś na mnie wielkimi oczami, gdy prostowałem plecy.

– Tato, tato! Możemy coś kupić? – zawołała Twoja siostra. Stała obok nas, z czerwonymi policzkami, w białej kurtce delikatnie połyskującej w szarawym świetle.

– Możesz to zrobić sama?

– Jeśli pójdziesz ze mną.

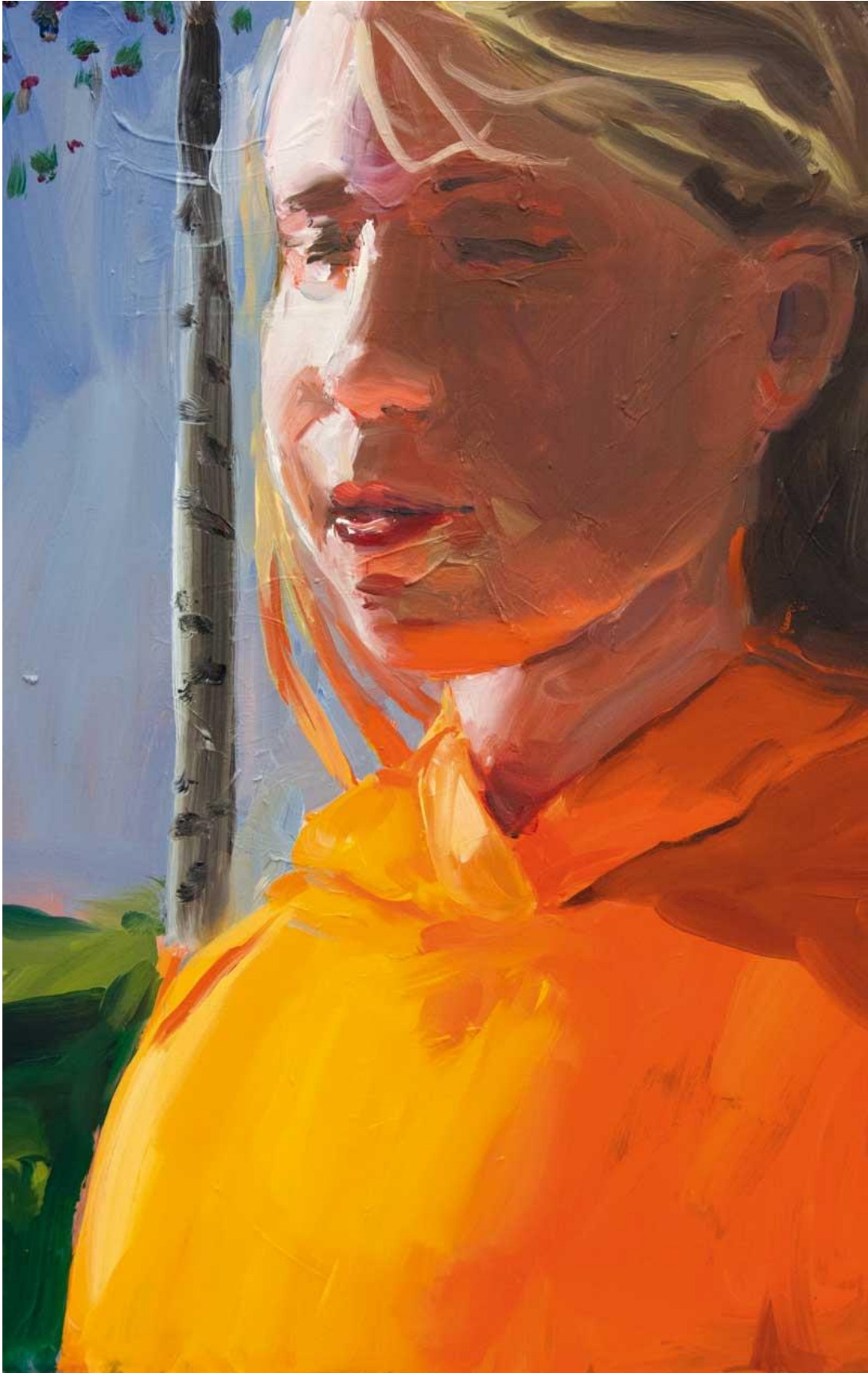
Poszedłem za nią do stoiska, pchając wózek po wybojach. Tam, gdzie nie docierało ciepło ogniska, było zimno. Stała za ostatnią osobą, a gdy przyszła na nią kolej, gdy składała zamówienie i płaciła, podszedłem bliżej, żeby dać jej poczucie bezpieczeństwa.

Pochłonęła kielbaskę, zabrała butelkę i pobiegła do koleżanek i kolegów z klasy. Stałem z jedną ręką w kieszeni i drugą zaciśniętą wokół rączki wózka. To, co trywialne w plastikowych butelkach z ketchupem i musztardą, w przypalonych

kielbaskach, stole kempingowym, na którym stały butelki z napojami, było niemal niepojęte – pod gwiazdami, w tańczącym świetle ogniska. Miałem wrażenie, że stoję w banalnym świecie i spoglądam do świata magii, jakby nasze życie toczyło się na granicy dwóch równoległych rzeczywistości.

Wywodzimy się z piękna, odległego, budzącego podziw i lęk, ponieważ nowo narodzone dziecko, które po raz pierwszy otwiera oczy, jest jak gwiazda, jak słońce, ale wiemy nasze życie w tym, co małe i głupie, w świecie przypalonych kielbasek i chyboczących się stołów kempingowych. To piękno, potężne, budzące podziw i lęk, nie opuszcza nas, jest nieustannie obecne we wszystkim, co pozostaje niezmiennie: w słońcu i gwiazdach, w ognisku i ciemności, w niebieskim dywanie kwiatowym pod drzewem. Nie możemy ich do niczego wykorzystać, bo są dla nas zbyt potężne, ale możemy na nie patrzeć i bić im pokłony.

Długo tak stałem i przyglądałem się ludziom, którzy stali w mroku, rozmawiali i śmiali się, dzieciom, które biegały między nimi, pomarańczowym płomieniem ogniska, które strzelały w górę. Gdy pochylilem się nad Tobą, po moich policzkach spływały łzy. Uśmiechnęłaś się, widząc moją zbliżającą się twarz, bo jeszcze nie wiedziałaś, czym jest płacz.



EPILOG

Dzisiaj jest środa, 13 kwietnia 2016 roku, za dwanaście minut jedenasta, i właśnie skończyłem pisać dla Ciebie tę książkę. To znaczy skończyłem godzinę temu, ale pojechałem do szkoły po Twojego brata, bo źle się poczuł; gdy dotarłem na miejsce, leżał na kanapie przed klasą. Teraz leży na kanapie w domu i ogląda telewizję. Ty jesteś w żłobku. Masz dwa lata i jesteś wesoła i energiczna, od rana, gdy wstajesz w swoim łóżku ze szczebelkami i wołasz mamę, żeby Cię z niego wyjęła, do wieczora, kiedy kładziesz się z butelką z mlekiem w dłoniach, zawsze posłusznie, bez najmniejszego protestu. Kilka dni temu obudziłaś się, gdy wstałem, żeby przyjść tutaj i trochę popracować. Było parę minut po czwartej. Podniosłaś się i spozjrzałaś w mrok za oknem.

– Tata, księżyc! – zawołałaś, wskazując palcem.

Przystanąłem na chwilę i pochyliłem się, by móc zobaczyć to samo co Ty.

Księżyc wisiał na niebie, świecąc w ciemności.

Nie wiem, co mnie tak ucieszyło. Może to, że orientowałaś się w świecie i potrafiłaś zidentyfikować ciała niebieskie. A może to, że zrobiłaś osobistą uwagę, że to był Twój księżyc. To takie dziwne, kiedy pojawia się mowa; nagle mówisz: „ciemno”, kiedy wychodzimy na zewnątrz i rzeczywiście jest ciemno, lub „gwiazdy”, albo kiedy siedzisz z tyłu w samochodzie, co wciąż lubisz bardziej niż cokolwiek innego, i wołasz: „CIEŻARÓWKA!”, kiedy widzisz ciężarówkę, a w następnej sekundzie: „TATA, CIEŻARÓWKA STAJE!”.

Ale to z mamą spędzasz najwięcej czasu, to ją wołasz, kiedy coś się dzieje, to ona Cię pociesza i daje poczucie bezpieczeństwa. To, co wydarzyło się latem niemal trzy lata temu i konsekwencje tego zdarzenia, mamy już dawno za sobą. Twoja mama wróciła ze szpitala tamtej wiosny i od tego czasu jest z nami. Napisała dwie książki, kiedyś je przeczytasz. Twoje rodzeństwo bawi się z Tobą każdego dnia; stoisz przy ścianie z zamkniętymi oczami, a oni Cię szukają albo gonią przez pokoje, a Ty biegiesz ile sił w nogach, to znaczy szybko tylko jak na kogoś tak małego jak Ty.

Potrafisz liczyć do piętnastu, ale zawsze pomijasz trzy. Wiesz, do kogo należą poszczególne przedmioty w domu i lubisz nazywać ich właścicieli, bez względu na to, czy chodzi o buty czy kurtki, zabawki czy kaski. Masz przytulankę, misia polarnego, którą wszędzie ze sobą zabierasz. Lubisz oglądać filmy z serii *Epoka lodowcowa*, a pierwszym słowem, które wypowiedziałaś, poza „mama”, było „dziękuję”. Uwielbiasz obracać się w kółko, aż zaczyna ci się kręcić w głowie, i machać do ludzi, znajomych i nieznanym. Uważasz, że ślicznie wyglądasz w niebieskiej sukience: gładzisz się wtedy po klatce piersiowej i mówisz: „śliczna”.

Rozumiesz?

Czasem życie sprawia ból, ale zawsze jest po co żyć.

Postarasz się o tym pamiętać?

PRZYPISY

[1] Szwedzki Urząd Komorniczy (przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] W norweskiej terminologii odpowiednikiem rodziny nuklearnej jest rodzina jądrowa (*kjernefamilie*).

[3] Fragment tytułowej piosenki z albumu *London Calling* (1979) brytyjskiego zespołu The Clash.

[4] W języku norweskim jastrząb zwyczajny to „hønseskauk”, z czego „høns” oznacza kurę domową.

[5] Nord-Norge – region geograficzny w północnej Norwegii, składający się z trzech okręgów: Nordland, Troms i Finnmark.

[6] W powieści Bjørneboe salamandrami nazywa się zwolenników szkoły przywiązującej większą wagę do wyników niż do potrzeb uczniów.

[7] Raukary – szwedzka nazwa ostańców wapiennych na wyspach Gotlandia, Fårö, Lilla Karlsö oraz Olandia.

[8] W oryginale napis na szyldzie reklamowym brzmi SKÅNES SOMMERLAND, natomiast narrator odczytuje go jako SJELENS SOMMERLAND.

[9] Systembolaget – państwowa sieć sklepów mająca w Szwecji monopol na sprzedaż napojów o zawartości alkoholu powyżej 3,5%.

[10] HSB Turning Torso – wieżowiec powstały w 2005 roku, liczący 54 piętra. Budowla przekręca się w górę co 10 stopni, co oznacza, że skręt budynku od podstawy do szczytu wynosi 90 stopni.

[11] Kronprinsen (pol. książę koronny) – piąty najwyższy budynek w Szwecji, powstały w 1964 roku. Wieżowiec ma 82 metry wysokości i do 2005 roku był najwyższą budowlą w Malmö.

